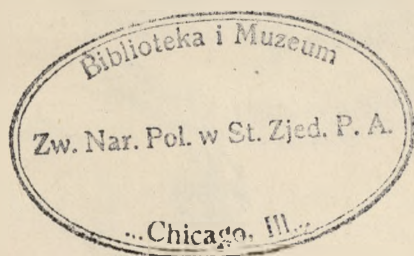

C1834



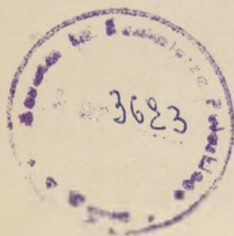

Biblioteka i Muzeum
Zw. Nar. Pol. w St. Zjed. P. A.
...Chicago, Ill...

MARIA RODZIEWICZÓWNA

STRASZNY DZIADUNIO

POWIEŚĆ







GLASGOW 1944
KSIĄŻNICA POLSKA
(THE POLISH LIBRARY)





Printed in Scotland, by Allan Fowler Ltd., Glasgow, C. 1

SPIS RZECZY:

I.

DELFIN.

— Hieronim, słyszysz, wstawaj! A to sen do zazdrości! Hieronim, Rucio, to ja Żabba!

— To mi dopiero nowina! — odparł z pod burki stłumiony, zaspany głos. — A czego tam chcesz? Pali się?

— Wstań, to zobaczysz!

— Ale kiedy ja nie chcę ani wstawać, ani patrzeć.

— Ano, to się utopisz!

— Coo?

Z pod burki wyjrzała na świat rozczochrana, płowa czupryna, potem senna twarz młodego człowieka.

Ziewnął przeciągle, pięściami przetarł oczy i spojrzał.

— Bogi Olimpu i Walhalli! Co to, potop? — krzyknął, porywając się na równe nogi.

Było się czego dziwić. Chłopski alkierz, gdzie się to działo, po ramy okien pełen był wody. Wszystkie sprzęty były już zatopione; szczelinami wdzierał się nurt, sycząc; wkoło panowała głucha cisza, tylko zdala dochodziła przeciągła wrzawa głosów ludzkich i przeraźliwy ryk bydła.

Zbudzony, stojąc po kolana w wodzie, rozejrzał się zdumiony.

— Cóż milczysz? — krzyknął do towarzysza. — Gadaj, co się stało!

— Powódź! — lakonicznie odparł zagadnięty.

— Wieś zatopiona? Gdzie koledzy?

— Zatopiona. Koledzy bezpieczni pod lasem. Ja zaszedłem po ciebie.

— Rychło w porę! — zamruczał pan Hieronim. — O włos nie zginąłem przez twą troskliwość.

— Spałeś jak pień!

— Jak pień! Zgrabna metafora. Ciekawym, jakbyś ty spał, gdybyś wrócił z linji po trzech dniach roboty.

— Grocholski był z tobą, a jednak pierwszy się stawił na alarm.

— Grocholski musi myśleć o pani naczelnikowej. Zakochani mają zawsze lekki sen, jak panienki. Nieprawdaż?

— Musi być — odparł Litwin.

Tu pan Hieronim zakrzątnął się, brodząc po wodzie i monologując pod nosem:

— Już wiem, to mi pewnie dziadunio nasłał to nieszczęście za to, żem nie chciał pójść na medycynę. Bogi piekielne, czy jest w waszej śpiżarni mąk gorsza od doli studenta na praktyce? Jako Hiob wyjdę z tej okazji, jeśli życie zachowam. Tłumok w wodzie, odzienie wniwecz; moje rachunki, plany, pożarła ta ciecz nikczemna. Dobrze, że choć skrzypce w całości. A masz czółno, Żabba?

— Niema — odparł spokojnie.

— Jakto, niema? Piechotą pójdziemy po wodzie?

— A juści. Albo to dla ciebie co nowego? Ty, Delfin?

— Otóż to! Dlategom nierad mej reputacji marnować w tej obieży! Hm, a gdzież to smyczek? Leżał na oknie, czy pod oknem! Przepadł! Doprawdy, czuję i w tem palec dziadunia. On ma jakieś konszachty ze złemi mocami i używa ich na moją zatratę. Oj, oj! Niema smyczka, niema!

— Porzuć gadanie i chodźmy! — wtrącił Żabba.

— Łatwo ci to powiedzieć! Ale ja, z duszą muzykalną, cierpię nad tą stratą!

Chłopak załamał ręce patetycznie, oczy mu się jednak śmiały.

— Dajże pokój, albo to czas błaznować?

— Na błaznowanie powinien człowiek mieć czas, bo inaczej, cóż robić z życiem! Trzeba będzie dostać żółtaczki, zapchać mózg cyframi, tak wyglądać jak ty, skrzeku pospolity!

Przy tej oracji pan Hieronim wziął zmokły tłomoczek na plecy, skrzypce pod pachę i wydostał się oknem na świat boży. Kolega zebrał resztę manatków i podążył za nim, nieobrażony bynajmniej zoologiczną przenośnią swego nazwiska.

— Słuchajno, Żabba, a gdzież to ci bezpieczni koledzy pod lasem? Prowadź, bo doprawdy zgłupiałem ze snu i paniki. To nie moja specjalność wodna komunikacja.

— Tędy — rzekł Żabba — widzisz, koledzy na górce!

— Aha! Widzę, że idziemy prosto na doły z gliną! Śliczna awantura! I to morze było wczoraj nikczemną kałużą. I wierz tu pozorom. Chłopi uciekli i wrzeszczą. Głupi naród! Co to im pomoże? Ale, że mnie ten wrzask nie zbudził!

— Kiedy bo spałeś jak pień!

— Jak pień! Ten zawsze swoje — mruknął młody chłopak i umilkł na chwilę.

Woda dochodziła im do pasa, prąd walił z nóg, targał tu i tam. Było dziwnie przykro borykać się z rozpętanym żywiołem, nie wiedząc, gdzie i co się ma pod stopami, bo woda rozmulona, pełna zielska, była czarna jak atrament.

Nad tą wodą sterczały dachy chat, łby bydła, drzewa lasu — i na wzgórzu tłum ludności, zbitej w niesforną, wyjącą gromadę.

Pan Hieronim z za pleców kolegi spojrzał w stronę lasu, odmierzył okiem odległość i zaśmiał się niefrasobliwie.

— Stroiki inżynierowej musiały ulec smutnym wypadkom — zauważył wesoło.

— Zostały w chacie podobno.

— Otóż tak, dobrze jej! Poco jeździ z mężem, nieodstępna, jak wyrzut sumienia. Siedziałaby w mieście. Bardzo się cieszę z tej straty. Będzie miała naukę na przyszłość. Potrzebna nam tu, jak dziura w bucie! Wiecznie kogoś zbałamuci, a my za tego musimy wszystko odrabiać. Szkoda, że ten fircyk Grocholski nie poszedł na dno z jej sukienkami. Brr, co tu wody!

Chłopak odsapnął, bo go już nurt za piersi chwytał.

— I powiedz mi, Żabba, skąd się ten tani płyn wziął w takiej ilości, przez jedną noc?

— Z gór — wygłosił zapytany.

— Ale z jakich?

— Skąd ta rzeka płynie.

— Gruntownie znasz kwestię! Cóż to? Alpy, Himalaje, Andy?

— Góry i kwita!

— Otóż i odpowiedź inżyniera! Poproszę naczelnika, żeby cię wysłał na praktykę do wiejskiej szkółki na zarysy geografji!

— Nie durz mi głowy! — burknął Litwin.

— To dopiero głowa drogocenna! Żeby ją wytrząść, to przysięgnę, że mak by się sypał.

Kolega coś zamruczał niewyraźnie. Nigdy nie próbował walczyć na języki z panem Hieronimem. Drwin jego i przedrzeźniań bała się cała akademja.

Wzgórek pod lasem zbliżał się widocznie. Można już było rozróżnić wyraźnie kilka postaci czarnych, a jedną jasną i usłyszeć nawoływania znajomych głosów.

— Salve! Salve! — wołał pan Hieronim, wyprzedzając Żabbę. — Nie krzyczcie! Wierzę w wasze dobre intencje co do mej osoby! Jestem wam mocno obowiązany, a jak

będę w możności odwdzięczenia, to klnę się na bogi, że sam się pierwej uratuję, a po was poślę modły do nieba! Witajcie, witajcie!

Żabba, słuchając tego, uśmiechał się lekko.

— Aha, dopominasz się solidniejszej wdzięczności! — śmiał się pan Hieronim. — Bądź spokojny! W takim razie poślę po ciebie tego raka, co to chodził po drożdże na Podlasiu.

— Hm, to dobrze! Już wolę modły!

— Jak się masz, Ruciu, jak się masz? Tędy, tędy! — wołano ze wzgórza.

Chłopak dopadł stromego brzegu, rzucił nań swe mienie, potem wdrapał się jak kot, pomógł Żabbie i dopiero wtedy otrząsnął się z wody i ukłonił całemu towarzystwu.

— Staję do apelu, panie naczelniku! — ozwał się do średnich lat mężczyzny. — Rzeka odarła mnie z owoców pracy, nie mam nawet ołówka!

— Dobrze, że żyjemy i kasa uratowana! — odparł naczelnik.

— Ale moje suknie tam! — wskazała desperacko pulchną rączką dama różowa i biała, uczepiona do naczelnikowego ramienia.

— I mój frak przepadł! — jęknął Grocholski melancholijnie.

— Szkoda! — zaśmiał się Hieronim. — Zagrałbym wam Tadeusza żeby nie to, że i mój smyczek zginął.

— Ale widok przepyszny! — ozwał się naczelnik.

Wszyscy spojrzeli na rzekę. Istotnie, widok był piękny grozą i ogromem.

Niewielki potok, płynący wczoraj jeszcze o kilkaset kroków od wsi, leniwy, cichy, przez pół doby urósł do niezwykłych rozmiarów.

Olbrzymiemi wałami parła fala przed sobą środkiem prądu stogi siana, deski, zielsko, liście, gałęzie, wszystko splątane w bezładny kłąb.

Huk i wrzenie kotłowało się jak w zbutowanem mieście, rzeka wyglądała jak lud rozjuszony, pijany, ryczący, żądny krwi i ognia.

— Przypomniała babka dziewic wieczór*) — zauważył Hieronim, trącając lekko Grocholskiego. — Cóż, Jasiu, nie popłyniesz na ratunek sukni damy twego serca? — zagadnął zcicha.

— Tej sztuki nawet tybyś nie dokazał.

— Doprawdy? Czy wiesz o jakich ważnych przeszkodach?

— Wiem: niemożliwość!

Oczy chłopca zamigotały sinawym błyskiem polerowanej stali.

— Niemożliwość! Hieronim Białopiotrowicz, wasz sługa, nie wie, co to za facecja, co się tak brzydko wabi!

— Et, porzuć! — wtrącił Żabba. — Choćbyś chciał, to nie możesz wyłowić smyczka!

— Milcz! Nie otwieraj krwawiących się ran, bo jak się rozgniewam, to cię wrzucę tam, gdzie najady przymierzają sukienki naczelnikowej, będziesz dopiero krzyczał z zachwytu!

Koledzy parsknęli śmiechem. Litwin skrzywił się, jak ktoś, co chce kichnąć, a nie może, i mruknął uparcie:

— Ale taki, smyczek przepadł całkiem!

— Masz, idź go szukaj! — zawołał swawolnik, porywając czapkę towarzysza i ciskając ją daleko w wodę.

— Ajej, ajej, ajej! — lamentował poszkodowany. — Jedna była, nowiutka. Teraz mi słońce mózg przepali!

— Niewiele go znajdzie! Aha, nie piszcz, nie lamentuj, nie biegaj jak kura za kurczętami! Skacz, Żabbo, jeszcze ją dogonisz!

— Bodaj ci się dziadunio przyśnił!

Hieronim chwilę patrzył na niezaradność kolegi, potem

*) Przysłowie litewskie.

skoczył na brzeg, wywrócił w powietrzu koziołka, wpadł w wodę, dognał czapkę, chwycił ją w zęby i, bawiąc się z siłą prądu spienionej fali, w parę minut stał już na lądzie.

— Brawo! — zawołała piękna pani. — Pan pływa, jak ryba.

— Czy to komplement, Grocholski? — szepnął Hieronim.

— Domowego wyrobu — odparł któryś z kolegów, bo Grocholski uśmiechnięty, odpowiadał damie:

— Dla niego to zabawka! W naszych oczach przepływał Newę pod Kronsztadem. Daliśmy mu wtedy przydomek Delfin.

— Panowie! — zawołał naczelnik, który, nie mieszając się do rozmowy, z lunetą przy oku śledził brzegi rzeki. — Patrzcie, tam w lesie, między drzewami coś płynie!

— Gdzie, gdzie? — wołała krótkowzroczna pani, mrużąc oczy i skubiąc męża za rękaw. — Co płynie? Gdzie? Pokaż, mój drogi!

— Płynie dach, a na dachu coś siedzi, niby gęś, niby pies! — pouczył uprzejmie Hieronim.

— Jaka gęś, jaki pies? — wtrącił Żabba.

— Pstrokata! Może to zresztą koza, ma na sobie trochę czarnego i trochę białego. Widzisz przecie!

— Człowiek płynie!

— Ty wszędzie widzisz nadzwyczajności!

— Ale kiedy to naprawdę człowiek — kobieta!

— Może nawet młoda i ładna, do ciebie podobna!

— Panowie, to rozbitek tonie, słyszycie!? — wołał naczelnik, odejmując lunetę od oka.

Zamilkli wszyscy. Dach się zbliżał, rzucany tu i tam prądem, chwilami fala nakrywała go zupełnie, chwilami wyrzucała na powierzchnię. Wnet nawet naczelnikowa dostrzegła postać ludzką przyczepioną do szczytu, i do wszystkich uszu doleciało rozpaczne wołanie ratunku.

— Aha, ratuj! Niema czółna! — rzekł Grocholski, oglądając się wokoło.

Hieronim milczał, stalowe jego oczy nie schodziły z rozbitka, nie śmiał się.

— Delfin! — szepnął Żabba. — Skacz! Szkoda człowieka!

Inżynier dosłyszał i obejrzał się niezadowolony.

— Co pan robisz? — upomniał Litwina. — Oliwę lejesz na ogień. Ten szaleniec gotów na wszystko!

— Wiem, panie naczelniku! Nic mu się nie stanie!

Hieronim się roześmiał.

— Nie darmo żyjemy tyle lat, jak bracia. Żabba szynkuje moją skórą, jak własną. Bądź spokojny, brateńku, nie trzeba zachęty. Czekam tylko, żeby się to zbliżyło dostatecznie. Przyniosę ci w prezencie tę ładną kobietę!

— Okropność! Pan się utopi! — krzyknęła blednąc, naczelnikowa.

— Ej, broń Boże! No, teraz dobrze, w miarę! Hop!

Nim się zdołano obejrzeć, chłopak już zrzucił surdut i buty — płynął ukośnie pod prąd, na środek. Towarzystwo skupiło się na brzegu, śledząc z natężeniem tę walkę. Naczelnik oddał szkło żonie i uśmiechał się z zadowolenia. Grocholski bił brawo. Żąbby oczy, zwykle trochę senne, błyszczały niepokojem i dumą. Zszedł nad samą wodę i cisnąc w ręku ogromną gałąź, obojętny, że mu rzeka dochodziła do kolan, gotów był rzucić się na pomoc druhowi, choć pływać nie umiał i choć obaj kłócili się całe życie.

Ale Delfin nie potrzebował pomocy.

Sapiąc, parskając, miażdżąc fale siłą pięści, pływał wciąż, nie ustając i nie słabnąc. Czasem wstawał nawpół i śledził ścigany przedmiot, czasem jego jasną głowę nakrywał bałwan, ale przestrzeń, dzieląca go od dachu, zmniejszała się z każdą chwilą, a prąd, druzgocący całe osady, oślizgiwał się bezsilny po smukłych, sprężystych członkach nieustraszonego chłopca.

— Brawo! — krzyknął Grocholski.

Mokra, pełna zielska i szlamu głowa wyjrzała obok dachu, nerwowa dłoń chwyciła rozbitka. Nieszczęsna kobieta, czy koza rozpaczliwie trzymała się drzewa. Obrońca, wisząc w powietrzu, zdyszany, nie mogąc dobyć głosu z zalanego wodą gardła, szarpnął ją z całych sił. Szczap deski, w który wpiła się rękoma, oddarł się z trzaskiem, krzyknęła okropnie i, nie puszczając drzazgi, zsunęła się w rzekę. Woda trysła, zakrywając wszystko, zniknęli oboje. Dach, uwolniony od ciężaru, podniósł się nieco i popłynął szybciej.

Po chwili z pośród huczących bałwanów ukazały się dwie głowy. To Delfin wracał, wolniej, mozolniej, z ładunkiem.

Prąd go już targał i zawracał, szamotali się ze sobą w wielkiej ciszy, bo patrzący, tamując dech, czekali, jak się to skończy, i nie wołali już brawo.

Hieronim dyszał, pracując jedną ręką, coraz częściej ginął pod falą, ale pomimo osłabienia trzymał mocno trofea swej wyprawy, kobietę omdlałą, siną, może martwą.

— Rucio, Rucio! — krzyknął Żabba.

Głos przyjaciela ocucił zmęczonego. Zebrał resztę sił, rzucił się naprzód. Główny prąd został za nim. Jeszcze sto kroków, jeszcze pięćdziesiąt. Żabba wszedł po ramiona w wodę, rzucił mu gałąź.

— Brawo, Delfin!

Krzyczał Grocholski, inżynier, piszczała dyszkantem inżynierowa, krzyczeli obaj koledzy. A biedny Delfin, zziajany, bez tchu, blady jak ściana, leżał na brzegu, ociekając wodą, chrapiąc jak zdławiony zwierz i trzymając wciąż za ramię drobną postać rozbitka.

Żabba ukląkł nad nim i podczas, gdy inni zajęli się uratowaną, on ocierał twarz i ręce przyjaciela, powtarzając uparcie:

— A co? Ja mówiłem, że mu to nic! Ja mówiłem!

— Uf! — odsapnął wreszcie Hieronim, siadając na zie-

mi. — Szkoda, żem o zakład nie poszedł. Zasłużyłem sobie na dobrą indemnizację! Uf! Tom się zmachał!

— A ja mówiłem, że to kobieta! — szepnął Litwin.

— Czy żyje przynajmniej? Podobna do ciebie? — zagadnął chłopak, oglądając się wokoło i wstając.

— Żyje, biedactwo, żyje! — wołała pawim głosem naczelnikowa.

— Pokażcie mi ją! Może to syrena?

— Aha, syrena! — parsknął śmiechem Grocholski, odstępując od leżącej na trawie ofiary powodzi.

Hieronim spojrzał ciekawie i skrzywił się.

Przed nim, okryta pledem inżynierowej, leżała dziewczynka kilkoletnia, drobna, chuda, sina.

Miała na sobie strzępy grubej koszuli, czerwoną, wyszarzaną spódniczkę do kolan, bose, ciemne nogi krwawiły się w kilku miejscach, malutką jak pięść twarzyczkę zakrywały zupełnie roztargane czarne włosy, pełne zielska i szlamu.

W kurczowo zaciśniętej ręce trzymała wciąż drzazgę dachu, a wyglądała bez życia.

— Ten patyk z suchej miotły już nie zipie! — zawołał Hieronim, klękając nad nią.

— Owszem, owszem! — wołała pani naczelnikowa. — Serce bije, ręce ciepłe!

— Bo jeszcze nie zastygły! — mruknął student, biorąc na kolana głowę dziewczynki i odgarniając włosy z jej czoła.

— Szaniarski! — zainterpelował jednego z gapiących się kolegów. — Masz pewnie w mantelzaku butelczynę?

— Mam parę kropel! — odparł zagadnięty.

— A co? Duszą i starką Szaniarski ratuje zawsze z najgorszych niebezpieczeństw! Dajno, bracie!

Student przyniósł rżniętą flaszkę. Hieronim z trudnością otworzył zaciśnięte zęby dziecka i wlał w gardło trochę wódki.

— No, że niepiękna, to widoczne, ale że uparta, o tem ja coś wiem. Ledwiem ją oderwał od dachu i maluczko mnie

nie pociągnęła na dno! No, nie szczerz zębów! Połknij jeszcze odrobinę!

Naczelnik tymczasem, spojrzawszy obojętnie na zdobycz pana Hieronima, odszedł znów nad wodę, wezwawszy Grocholskiego i Żabbę.

Wzięli narzędzia, odmierzyli wysokość wody, powódź już nie rosła. Zaczęli naukową gawędkę.

— Trzeba nam będzie poszukać schronienia za lasem w jakiejś bezpiecznej wsi.

— Byłem tam onegdaj na robocie — objaśnił Grocholski.— Sądzę, że się znajdą mieszkania.

— A ot i słońce zachodzi! — wtrącił Żabba.

— Możemy iść. Co przepadło, zginęło! Ciekawym, czy Białopiotrowicz ocucił małą.

Wrócili do drzewa, gdzie skupiła się reszta. Dziewczynka siedziała już na ziemi, otulona burką studencką, zalękła, drżąca, wlepiając w twarz Hieronima piwne, łzami zaszłe oczy.

— No, żyje! — rzekł naczelnik. — To i dobrze. Możemy iść.

— Dokąd? — zagadnęła pani i nie czekając na odpowiedź, trzepała dalej: — Ale, wiesz mężu, to niemowa! O co się spytać, milczy!

— Niemowa? Krzyczała przecie ratunku. Mniejsza z tem. Chodźmy! Znajdą się rodzice!

Żabba wziął dziecko za ramię.

Spojrzała dziko, usunęła się.

— Oho, księżniczka z bajki. Bierz ją, Ruciu!

— A biorę. Może się rozmyśli i przemówi.

Orszak ruszył. Na czele wódz rzeszy z lunetą pod ręką, dalej pani pod eskortą Grocholskiego i dwaj studenci, obładowani tłomokami. Pochód zamykał Żabba z przyjacielem.

Dziecko, gdy je Hieronim wziął na ręce, zaczęło płakać. Nie zważał na to, i niosąc je, ruszył za towarzystwem, dowcipkując po swojemu z Żabbą.

Po chwili uspokoiło się biedactwo, spojrzało w górę, w śmiejące się oczy chłopca, przytuliło mu się piersi, przymknęło zmęczone płaczem oczy.

Usypiała, kołysana ruchem i okropnem zmęczeniem. Już jej nic złego nie mogło spotkać.

Szli tak wśród lasu godzinę, i mrok zapadł zupełny, gdy zaczerniała przed nimi wieś, mrugając światełkami z okien. Zaczęto nawoływać ludzi.

Po chwili tłum ich otoczył. Dobijano się jak o honor o przyjęcie rozbitków, porwano ich tłomoki, i Hieronim ani się obejrzał, jak się znalazł z Żabbą w obszernej izbie, otoczony całą chłopską rodziną, wyprzedzającą się w usługach.

Dziecko spało cichutko.

— A to co, panie? — zagadnął gospodarz, gdy chłopiec układał drobiazg ten na swej burce, na ławie.

— Szczupak na sprzedaż. Niech śpi tymczasem.

— Ej, pan żartuje! Toż to człowiek!

— Nawet kobieta. Złowiłem w powodzi. Może ją znacie?

Wszystkie twarze pochyliły się nad uśpioną, każdy się cofnął, ruszając ramionami.

— Nietutejsza — odparł gospodarz. — Musiała ją rzeka z góry gdzieś porwać. No, niech śpi! Jak ma rodziców, to się upomną. Prosimy tymczasem panów na wieczerzę.

Młodzi ludzie rzucili się do jadła z dobrze zrozumianą zaciekłością; wśród wrzawy rozmów, śmiechu z anegdot Hieronima, szczęku misek i łyżek, nikt nie dosłyszał płaczu rozbitka.

Zbudził ją hałas, przeraził widok tylu obcych, i łkała, tuląc się do ściany, jak młody wilczek, nawpół tylko oswojony.

Nagle przypomniał ją sobie Hieronim, zajrzał w kąt.

— Może ci się jeść chce, dziecko? — spytał, głaszcząc ją po głowie.

— Bardzo! — szepnęła, biorąc w obie dłonie jego rękę.

— No, to chodź do stołu!

Chciała usłuchać, ale nie miała siły utrzymać się na nogach; upadła, rzucając mu spojrzenie konającego ptaszka.

Wzrok ten dziwnie mu szedł do serca.

Żabba miał siostrzyczkę w takimże wieku, która mieszkała razem z nimi w Petesburgu. Chłopiec, sierota bez ojca i matki, lubił dziecko, bawił się z niem, swawolił, kupował łakocie. Przed rokiem szkarlatyna ją zabiła. Konając, patrzyła na brata i przyjaciela takim samym żałosnym wzrokiem, prosząc o ratunek.

Student się pochylił, wziął na ręce małą, pocałował w chude policzki i zaniósł do stołu.

— Mleka, matko! — poprosił gospodyni.

Nakarmił ją, trzymając na kolanach. Piła chętnie, chciwie, ciepło wybiegło jej na twarzyczkę rumieńcem. Milczała jednak ciągle, patrząc nieufnie, dziko, z pod roztarganych włosów. Potem dostała dreszczów, sen ją znów morzył niespokojny, gorączkowy.

Pomimo jednak namowy, nie puściła ręki studenta, którą cisnęła do piersi nerwowym, lękliwym ruchem. Wezwana na spoczynek przez gospodynię, rozpłakała się okropnie, nie zdołano jej oderwać od opiekuna. Poniósł ją z sobą do alkierza, gdzie im wyznaczono mieszkanie.

Żabba już tam siedział od godziny nad stronicą cyfr, szukając w płomyku lampki natchnienia. Obejrzał się na przyjaciela.

— Cóż to będzie? — zagadnął burkliwie.

— Nic — odparł Hieronim — będzie nasze petersburskie życie, kiedy Wańdzia żyła.

Wspomnienie siostry ułagodziło Litwina. Zamilkł chwilę, zdjął ciemne nieodstępne okulary, przetarł je, oparł łokieć o stół i gryzł przez chwilę pięści. Nie o cyfrach myślał w tej chwili, bo się znów obejrzał i mruknął:

— Podściel jej moją burkę, jeżeli trzeba!

— Już dobrze, nie beczy. Wiesz, mam taką głupią naturę, że jak dzieciak płacze, to...

Nie dokończył, splunął i rzucił się na łóżko, tonąc w pierzynach gospodyni.

— Uf, alem się zmachał! Powiadam ci, Józiu, ani jeden członek nie został w subordynacji. Dobranoc, a obudźno mnie, jakby tam przypadkiem archanioł trąbił na sąd, bo jak mi Bóg miły, gotówem nie posłyszeć!

Żabba kiwnął głową. Matematyka zajęła mu całą myśl. Mruczał wpółsennie formuły.

A dzieciak jęczał we śnie niezrozumiałe wyrazy, żałośnie z rozdzierającą skargą, to z dziką zaciętością. Litwin skrzywił się parę razy, ale nie gniewnie, opędzał się od tego głosu, jak od natrętnego wspomnienia, co mu gmatwało naukę, przywołując obraz jedynej zmarłej siostrzyczki.

Hieronim chrapał jak drwal. Szczęśliwy! Miał dwadzieścia lat, czyste sumienie i szalone zdolności. On nie znał bezsennych nocy, spędzanych nad oschłą nauką. On się bawił w akademji.

II.

„ŻONA” HIERONIMA.

W dwa dni po wylewie rzeki Grocholski wczesnym rankiem wstąpił do mieszkania dwóch przyjaciół. Rodzina chłopska już się rozpierzchła na robotę po polach; na progu chaty skulona, zapuchła od płaczu, siedziała dziewczynka znajda. Patrzyła uparcie w stronę lasu, nie spojrzała na wchodzącego. W chacie stara prababka przyjęła go kaszlem.

— Witajcie! Panowie, co tu mieszkają, poszli? — zagadnął.

— Poszedł jeden, ten biały, wesoły, poszedł. A ten czarny, ze szkłem, w komorze.

Grocholski wszedł do alkierza. Żabba istotnie sechł nad książką, jak zwykle.

— Dzień dobry! Rucia niema?

— Niema — odparł grobowy głos, któremu towarzyszyło ukośne, niechętne spojrzenie w stronę natręta.

Pomimo to Grocholski usiadł na stosach pierzyn, zapalił papierosa i zaczął szturm do mruka:

— Czy Hieronim dostał gdzie smyczek?

Chudy palec Żabby wskazał na przeciwległą ścianę, gdzie instrument wisiał w komplecie.

— Aha, jest, to i dobrze. Powiedz mu, niech dziś wieczór

przyjdzie do naczelnika. Będę mu towarzyszył na trąbce. Urządzimy koncert.

— Bardzo potrzebne! — zamruczał Litwin, nie odrywając się od czytania.

— Ty się na tem nie znasz.

— Chwała Bogu!

— Et, nieznośny jesteś pedant! Cóż u was słychać?

— Ja nie mam zwyczaju słuchać.

— Dziecko jest jeszcze? Nie oddaliście rodzicom?

— Musi być nie, kiedy jest — była logiczna odpowiedź.

— Szaniarski mówił, że ją Rucio traktuje, jak żonę.

— Nie wiem, jak się żonę traktuje, bom kawaler.

Grocholski parsknął śmiechem. Ton nosowy Żabby, spokój i flegmatyczna twarz były nadzwyczaj komiczne.

Śmiech kolegi obraził Litwina. Drwiny znosił tylko od Hieronima. Obrócił się plecami do warszawiaka, zatkał uszy rękoma, długi nos pochylił nad książką i zapadł w kompletne milczenie.

Grocholski pokręcił się jeszcze chwilę, porozrzucał papiery, popróbował skrzypiec, wziął jakąś księgę i wyszedł, gwiżdżąc.

Mała siedziała na temże miejscu, w też samej pozycji i pa trzała na las.

— Jak się masz? A gdzie twój mąż? — zagadnął wesoło student.

Bez wahania wskazała ręką w kierunku wzroku i odparła poważnie:

— Poszedł tam.

— Czemuż ty nie poszłaś z nim?

— Nie pozwolił.

— Czekasz na niego?

— Czekam.

— Ot, daj pokój! Chodź ze mną! Ja ci nic nie będę zabra-

niać. Kupię nową sukienkę, czerwone trzewiczki i mnóstwo paciorków. Chodź, ja będę twoim mężem!

Dziecko spojrzało wściekle na niego, pokazało język i, jak Żabba, odwróciło się impertynencko plecami.

Odszedł, śmiejąc się, jak szalony.

W południe Żabba, idąc z rachunkami do naczelnika, potknął się o dziecko na progu i zamruczał:

— Chodź ze mną!

Odmówiła mu. Odmówiła też wezwaniu na posiłek; nie ruszyła się, gdy gospodarze wrócili z pola.

Hieronim o zmroku, idąc z piosenką na ustach, z żartem w oczach, spotkał ją na drodze.

Wybiegła naprzeciw niego, dojrzawszy go cudem w ciemnościach i powitała milczącym szczerym uśmiechem.

— Ejże, to ty? — zawołał uradowany. — Myślałem, że się kto o ciebie upomniał i zabrał.

— Albobym poszła! — odparła zuchwale.

— A jakby ojciec przyszedł?

— Niema ojca, niema nikogo. Nikt nie przyjdzie...

— Gdzieżeś była, nim cię woda porwała?

— Nie powiem, bo mnie tam odprowadzisz, a ja nie chcę!

— Oho! To stanowcze. Cóżeś robiła dziś?

— Czekałam na ciebie.

— A jadłaś cokolwiek?

— Nie.

— I ja nie. Ale płakałaś, niecnoto! Oczy czerwone!

Skinęła główką, biegnąc obok niego, i nie odstąpiła już ani na krok przez cały wieczór.

Przy ludziach nie mówiła nic, wodząc tylko po wszystkich oczyma, a po wieczerzy, gdy Hieronim zabrał się odniechcenia do piśmiennej roboty, usiadła cichutko, pragnąc tylko, by ją tak zostawiono w spokoju.

Grocholski przerwał skupienie naukowe. Koncert mu leżał

na sercu; zanim przyciągnęła reszta towarzystwa, klnąc na czem świat stoi takie wakacje, dziki kraj, powódź i nudy!

— Czemuście nie wzięli z Petersburga małpy i pozytywki! — wołał Hieronim, podnosząc głowę od stronicy wyrachowań.

— Czemuś z tą radą na miejscu nie wystąpił?

— Nie miałem czasu o tem pomyśleć. Dziadunio mnie ambarasował razem z kochanym Wojcieszkiem!

— Albertem — poprawił Żabba.

— Palniesz bąka w milczeniu, gdy będziesz mnie musztrował! Gdzie tytoń?

— Na szafie.

— Cóż było z dziaduniem i Wojcieszkiem? — pytał Grocholski, zapominając o muzycznym popisie.

— Była farsa. Pewnego dnia wpada do mnie kuzynek, wyprasza Józefa z pokoju, nie podobała mu się świątobliwa mina skrzeka, i nuż mi prawić jakąś zawiłą, erotyczną historję. Małom jej słuchał, ale sens pojąłem. Dziadunio zabronił Wojciechowi się kochać, wybrał mu jakąś narzeczoną, het, tam, w tym bobrzym kraju, w Mozyrskiem, kazał zachować dla niej nieskalane serce. Aż tu Wojciech raptem się zakochał. Owoc zakazany smaczny, ale boi się dziadunia. W prośby do mnie o firmę. Czemu nie? Strasznie lubię płatać sztuki dziaduniowi. Afiszuję się tedy z panną tydzień, dwa, trzy. Nie wiem, co przez ten czas Wojciech skorzystał, mnie się okroiło z dziesiątek buziaków, z czego byłem najzupełniej zadowolony; grać rolę firmy bardzo mi przypadło do smaku. Czego się śmiejesz, Żabba?

— Z niczego — odparł Litwin.

— Dowód idjotyzmu, mój drogi, śmiech z niczego.

— Więc cóż dalej? — zagadnął Grocholski.

— Aha, dalej? Pewnego wieczora wracam z kursów, stroję się na jakąś hecę z panną, gdy w tem przynoszą list od dziadunia. Znam to pismo, wiążą się z niem wszystkie złe chwile w mem życiu! Otwieram i cóż znajduję? Oto słowo

w słowo, kreska w kreskę historję owych trzech tygodni. Jak Wojciech przyszedł, co mówił, gdziem potem był, com robił, nawet czas i miejsce każdego z dziesięciu buziaków Moja rola firmy tak tam była przedstawiona pesymistycznie, że mnie raptem odpadł gust do dalszego ciągu. Na końcu był zamieszczony rys dziejów Wojciechowej piękności. No, nieciekawy, ale urzędowy autentyk. Otóż i farsę zrobiliśmy dziaduniowi! Posłałem list cały kuzynowi i drapnąłem. Jestem pewien, że dziadunio już wie, gdzie jestem, co robię i że wam to mówię w tej chwili... I chcieliście, żebym o małpie pamiętał!

— Ktoś cię szpieguje z jego rozkazu.

— Niech go złapię, tego faceta? Chyba Żabba?

Litwin na dźwięk swego nazwiska podniósł głowę i rozejrzał się błędnie.

— Czego? — spytał.

— Niczego, błotny słowiku!

— Pewnie też dziadunio wie o twojej żonie? — wtrącił Szaniarski.

— A jakże. Ani chybi. Ale to mniejsza. On się mnie wyrzekł w godzinę chrztu. Odtąd prześladuje niezmordowanie, jakby spełniał obowiązek najświętszy.

— W godzinę chrztu? Cóż to? Chciał cię zastawić poganinem?

— Blisko tego. Trzeba wam wiedzieć, że u niego wszystko być musi na komendę. Miał dwóch synów i powiedział sobie: jeden mój wnuk będzie Litwinem, drugi Wielkopolaninem i nuż zaczynać od chrztu. Paf! Nazwali pierwszego Wojciechem na chwałę Bożą. Wojtaszek nie może im tego dotąd darować. Jak przyszła kolej na mnie, ojciec już nie żył. Chciał dziadunio, bym się wabił Olgierd. I o włos się to nie stało. Byłbym bałwochwalcą wedle planu, ale matka zbuntowała się na tę zbrodnię. Dała mi patrona. No i za to wyrzekł się mnie dziadunio! Myślał, że bez jego rubli zostanę dzikim człowiekiem, kominiarzem, czy lokajem! Hej, hej!

Bez pogańskiego imienia Litwin ze mnie! Twardą mam głowę. Rozbijałbym nią orzechy w potrzebie i na złość dziaduniowi koleguję z wami, zamiast ekonomować gdzieś w Mozyrzu.

Oczy chłopca zaszły skrami dumy. Zaśmiał się.

— A Wojtaszek kurczy się, lęka, drży, schnie ze strachu. Tfu! To mi życie! Jabym nie potrafił słuchać kaprysów, chybababym kochał. No, jakże, Groch? Idziemy drumlić naczelnikowej? To chodźmy prędzej, póki wcześnie! Ona mi zawsze na sen działa, a jeszcze pod wieczór, to gotówem zadrzemać na dobre! Nie męcz się tak, Żabba; zrobię razem ze swoją i twoją część! Idź spać!

Tu mała rączka dotknęła go; dziecko stało gotowe do drogi.

— Zostaniesz, mała! — rzekł. — Ty się nie znasz na muzyce i wdziękach naczelnikowej.

Wahała się jeszcze.

— No, dobranoc! Żabba zostaje, nikt ci krzywdy nie zrobi!

— A ty wrócisz? — spytała, gdy się pochylił do niej.

Wrócę, wrócę!

— Chodźmy! — napędzał Grocholski. — Naczelnikowa czeka nas niecierpliwie.

— Bardzo to pochlebne dla męża! — zauważył Hieronim, rzępoląc ku uciesze całej wsi.

I tak minęło kilka tygodni. Rzeka, napsociwszy coniemiara, wróciła pokornie w dawne koryto. Grono inżynierów kończyło spiesznie roboty.

Hieronim, który w swej dobroci odrabiał za wszystkich naukową pańszczyznę, mrugał bardzo znacząco w stronę poważnego zwierzchnika, gdy ten patrzył gdzieindziej. Ruch nie był pochlebny dla wieku i urzędu męża pięknej pani.

Żabba jeden tylko nie okazywał zmiany usposobienia na myśl o Petersburgu.

Dziecko wciąż było z nimi. Daremne były poszukiwania i rozsyłane wieści. Nikt się po zgubę nie zgłaszał. Przyjaciele po naradzie postanowili ją zabrać z sobą.

Pewnego wieczora w biurze naczelnika Hieronim z Grocholskim wypłacali robotników od pomiaru, gdy jeden ozwał się znienacka:

— Pan obiecywał dziesięć rubli za odnalezienie rodziców tej małej, co siaduje na progu chaty, gdzie pan mieszka?

— Ano, to i cóż? — zagadnął Hieronim.

— Dajcie dziesięć rubli, panie; ja wiem.

— Czyjaż ona?

— Szynkarza w Wierzbówce. Pytał się o nią.

— Nie kłamiesz? — rzekł student, dobywając asygnatę. — Daleko to stąd?

— Bogiem się klnę! Zresztą pan się przekona, Wierzbówka o dziesięć mil pod miastem. Cerkiew tam wielka, a szynkarz rudy. Wania Kruńców się nazywa.

Hieronim rzucił pieniądze i wypadł na ulicę. Nie chciał wyznać, że mu żal było dziecka, więc złością żal pokrywał.

Zastał ją, jak zwykle, na progu, smętnie wyglądającą jego powrotu, i napadł zgóry, podniecając się krzykiem:

— Ach, ty mały kłamco! Mówiłaś, żeś sierota, a ojciec cię szuka! Wykierowałaś mnie na cygana, czy ludożercę! Powiedzą, że dzieci przywłaszczam! Nie byłabyś kobietą! Ledwie ci zęby wyrosły, już zmyślasz i udajesz! Poczekaj, odwiozę cię do rodziców i poproszę, aby ci wsypali kupę rózeg na pamiątkę! Poczekaj! Nauczę cię katechizmu!

Rodzina gospodarza, zwabiona krzykiem, wyległa do sieni. Hieronim, sapiąc z gniewu, czy przykrości, powtórzył nowinę.

Dziecko powstało nieme, z zuchwałym błyskiem oczu. Nie broniła się i nie płakała.

— Dajcie mi jutro koni, gospodarzu — rzekł student — odwiozę ją szynkarzowi. Chodź, mała!

Obejrzał się. Nie było jej. Jak wąż wyśliznęła się z pośród otaczających i znikła.

— Pójdzie i utopi się! — mignęła myśl chłopca. — Wilki zjedzą! — poprawił się natychmiast.

— Mała! — krzyknął, wychodząc z chaty. — Chodź tu zaraz!

Żadnej odpowiedzi. Zbieg wypowiedział posłuszeństwo, umknął, przepadł w cieniach nocy.

— Światła! — zakomenderował student. — Chodźmy szukać!

Synowie gospodarza skoczyli za nim, wrzeszcząc jak na wilczej obławie. Rozbiegli się na wsze strony. Pół wsi, zaalarmowanej wrzawą, podążyło za nimi. Latarnia Hieronima migała to tu to tam na przedzie. On pierwszy dostrzegł drobny ruchomy przedmiot, toczący się jak piłka w stronę lasu, i dognał kilku susami.

— A, tuś mi, ptaszku! — zawołał zdyszany, rzucając latarnię i chwytając ją za ramię.

Szarpnęła się, zgrzytając zębami. Chciała zginąć z honorem, wyznał to w duchu chłopiec.

Podarła mu kurtkę, podrapała twarz, ugryzła w ramię; w garści u dzikiego dziecka został pęk jego jasnej czupryny. Pokonał ją wreszcie, i niosąc, zawrócił do wsi, nawołując towarzyszów wyprawy.

Już się nie tuliła do niego, jak wtedy, gdy ją niósł z powo dzi. Teraz oparła mu obie pięści o piersi i odpychała od siebie prześladowcę. Oczy jej się paliły jak fosfor.

Tak weszli do alkierza, gdzie ich powitał Żabba zdumiałem spojrzeniem.

— Patrz, com sobie zrobił! — śmiał się Hieronim, ocierając krew z twarzy i wskazując poszarpaną odzież.

— Ksantypa! — rzekł Litwin poważnie.

Więzień skrył się w najciemniejszy kąt izdebki i dyszał.

— A to żmija! Ledwiem dał radę! No, teraz noc całą trze-

ba wartować, bo tylko czeka sposobności, żeby znów drapnąć. To jednak rozczulające przywiązanie do rodziców!

— Dobrze, żem ja nikogo z wody nie ratował — zdecydował Żabba. — Krew ci płynie z twarzy.

— A płynie! Pazury, jak u kota! Tfu, co to złości w tem mizernem ciele! I gdzie się to mieści? Chcesz jeść, mała?

Milczenie. Zajrzał do niej. Siedziała zwinięta w kłębek, nieporuszona.

— Uważaj na nią, Józik, nim się posilę i wrócę od naczelnika.

— Uhm! Te dzieci, to skaranie Boże! Potrzebny ci był ten kłopot? Trzeba było oddać policji! Zawsze sobie napytasz biedy przez to amatorstwo bachorów. Ciekawym, ile ich mieć będziesz, jak się ożenisz?

— Tuzin, braciszku, ani jednego mniej! To moje ostatnie słowo! Bywaj zdrów!

Chłopiec wybiegł z izby, nucąc wesoło jakąś zwrotkę.

Żabba mruczał niechętnie. I jemu żal było dziecka, przywykł do niego, wolałby nie mieć wcale, niż tracić. To też gderał zawzięcie na nieobecnego kolegę.

— Zawsze tak z nim, a wszystko z gorączki! Teraz pilnuj tego biedactwa. Nie słodko jej być musi w domu, kiedy się tak broni!

Zdjął okulary, poszedł w kąt.

— No, nie kapryś, dziecko! Te chimery do niczego się nie zdadzą. Wyjdźno tu na światło! Biją cię w domu?

Łkanie było jedną odpowiedzią.

— No, nie płacz! Nie możemy cię zabrać. Trzeba wrócić do ojca.

— Niema ojca! — zamruczała. — Ja nie chcę wracać!

— To nie racja drapać Rucia. Toż jego boli.

— Niech boli! Poco powiedział, że kłamię i krzyczał? Ja jego niecierpię!

— Kogo? Mnie? — spytał wesoły głos na progu. — Co ty jej prawisz, Żabba?

— A nic! — odparł Litwin, wstając. — Nie chce wracać do domu.

— Dobra sobie!

— At, szkoda dziecka! Niechby się zostało!

— Milczałbyś! I mnie szkoda, pomimo, żem podrapany i pokąsany przez tę małą osóbkę! Cóż robić? Skończyłeś robotę, nie? Siadaj, zgryziemy ją we dwóch! Za tydzień jedziemy do Petersburga. Grocholski kwili gdzieś z naczelnikową. Mamy i jego część. Dajno cyrkiel i nie myśl o błaźnicy!

Nazajutrz wczesnym rankiem wózek wywiózł ze wsi zbiega. Żabba ją wsadził na wózek, uściskawszy serdecznie. Hieronim to klął, to gwizdał. Konie leciały cwałem. Wieczorem ujrzano wieś, woźnica wskazał ją biczyskiem.

— Ot i Wierzbówka! Widzi pan karczmę? Tam na progu, w czerwonej koszuli, to szynkarz.

Wóz stanął. Szynkarz wyjął fajkę z ust, zdjął czapkę i postąpił kilka kroków, zataczając się.

— Aha! Pan ją przywiózł! Wilki jej nie zjadły, Nu, idź do izby! Dostaniesz od gospodyni!

Dziecko przytuliło się do studenta, drżąc febrycznie.

— To nie wasze? — zagadnął Hieronim.

— Boże broń! Cudze! Darmozjad! Już cztery lata, jak mi zostało na karku!

— Czyjaż ona?

— A tego pana, co tu mieszkał!

— Gdzież rodzice? Pomarli?

— A niby pomarli.

— Jakto niby?

Hieronim poczuł, jak drobne palce dziecka wpiły mu się w dłoń.

— A tak! Przywieźli go z młodą żoną i tą małą w kołysce; mieszkał u mnie, nudził, polował, żeby czas zabić. Żona zrazu

płakała: potem zaczął tu zjeżdżać prokurator z miasta — mąż polował. Raz wracał późno, zajrzał przez szybę, coś mu się nie podobało; młody był i zły, a w strzelbie miał dwa naboje. Więc wpakował jeden prokuratorowi w głowę, a żonie w piersi drugi i nie chybił! Gwałt się zrobił. Zastaliśmy go, jak nabijał strzelbę dla siebie: nie dali mu dokończyć, wzięła policja! Ot, jak było!

— I cóż się stało z tym biedakiem?

Gorące wargi dziecka spoczęły na dłoni chłopca; dziękowała mu za to słowo, może pierwsze dobre, co posłyszała o ojcu.

— Walał się dwa lata po tiurmach i umarł. Dziecko mi zostało, istny czort. Złe, uparte, leniwe! Obrzydły mi sceny z nią w domu, a tu się nikt nie zgłasza. Niełakoma gratka. Córka mordercy! Tfu! Może pan wstąpi na zakąskę?

— Dziękuję... Wyratowałem ją z rzeki. U was wody niema?

— A niema. Na tydzień przed powodzią uciekła. Gdzieś się błąkała tymczasem po kraju. Nu, podziękuj panu i marsz do domu! Słyszysz?

— Na co ona wam? — rzekł chłopak. — Kupiłem ją sobie od śmierci i u mnie niech zostanie. To moja krew.

Twarz dziecka, zalana łzami, podniosła się ku niemu; nie zważał na to.

— To pan jej krewny! Nu, ja zawsze mówiłem gospodyni, że swoi się upomną o swoje i zapłacą za utrzymanie.

— A ile chcecie?

— Sto rubli. Warto: odzienie w kawałki leci, trzewików nie nastarczyć, a co natłukła naczyń przez te cztery lata, to i nie zliczyć!

— Macie może jej papiery?

— Jest skrzynka. Reszta gratów poszła na pogrzeb kobiety i na koszty.

— Dobrze, dobrze. Dajcie skrzynkę!

Szynkarz pobiegł do chaty, a Hieronim tymczasem oparł obie ręce na ramionach dziecka i spytał:

— Czemuś mi tego nie powiedziała sama?

— Bałam się. Śmiałbyś się z tatusia, jak oni, a na matkę pluli! Oh! Ja nie chcę, żeby się z tatusia śmiali, nie! A potem powiedziałeś, że kłamię, widzisz, toś ty kłamał!

— Ja, dziecko, ja! Będę ci odtąd wierzył na słowo; pojedziemy razem.

— Razem! — zaśmiała się przez łzy, obejmując jego szyję rączkami i chowając promieniejącą twarzyczkę w jasne włosy opiekuna. Serce jej skakało pod jego dłonią, jak szalone!

— Macie, panie, skrzynkę! — przerwał szynkarz.

Chłopak przejrzał papiery. Było ich dosyć dla policji. Zapłacił za nie sto rubli. Był to owoc dwumiesięcznej wakacyjnej pracy.

Szynkarz począł błogosławić i dziękować; zjawiła się też gospodyni i dwie córki.

Mała, oparta dumnie o studenta, patrzała na nich z bezmierną pogardą. Wiedziała ona z czteroletniego doświadczenia, co warte słodkie ich miny i uśmiechy.

— Cóż, panienka, do swoich wracasz? — ozwała się do niej gospodyni, szorstką ręką dotykając twarzy.

Uchyliła się od pieszczoty dość niegrzecznie.

— Pojadę, gdzie on! — odparła krótko

— Szczęść-że ci Boże! Może chcesz jeść na drogę?

— Jak zechcę, to on mi kupi!

Wózek ruszył zpowrotem. Woźnica uśmiechnął się lekko, oglądając się za siebie.

— I za co pan zapłacił sto rubli? — ozwał się.

— Albo co?

— Cztery lata ją morzyli głodem, ubierali w łachmany, chodziła boso, a co tamte dzieci stłukły, na nią zrzucały. A co ona im się napracowała! Czy nie tak, mała?

— A tak, ciągle bili.

— Zato cię teraz nikt nie trąci. Bądź spokojna; znam twe pazurki i będę ich się strzegł na przyszłość.

Spojrzała żałośnie na ślady podrapań i spuściła pokornie główkę.

Nakarmił ją na popasie, ułożył do snu i sam drzemał całą drogę, spokojny, że już nie spróbuje ucieczki.

Głośne okrzyki zbudziły go nagle.

Stali we wsi. Koledzy otaczali wóz tłumnie.

— A to co? Przywiozłeś małą! — wołał Żabba uśmiechnięty radośnie.

— Gdzież Wierzbówka? — badał Grocholski.

— Na karcie geograficznej szczegółowej.

— A szynkarz? A rodzice?

— Woda ich zmyła.

— Jakto? Wszystkich?

— I wszystko! Nawet patent na wódkę.

— Et, bredzisz!

— Et, czas mi zajmujesz!

— Ach, ty smyczku!

— Ach, ty pusty futerale od fleta!

Wózek ruszył dalej wśród śmiechu. Żabba przyczepił się do skraju i jechał, trzymając się szerokich pleców woźnicy.

— Dziecko nasze?

— I jak jeszcze nasze! Masz, czytaj!

Litwin wziął podany papier, zmrużył oczy.

— Zapomniałem okularów! — rzekł desperacko.

Stanęli przed chatą. Wysiedli wszyscy, po chwili zebrała się reszta kolegów.

Żabba wsadził szkła na nos i zaczął na głos czytanie:

„Roku 18** maja 14 dnia ochrzczono w kościele parafjalnym w Poniewieżu dziewczynkę, córkę Kazimierza i Marji małżonków Obojskich, imieniem Bronisławy Marji Kazimiery".

— Gwałtu! — wykrzyknął Żabba, przerywając czytanie.— To ona, ta mała!

— Ona! — potwierdził Hieronim.

— Hurrah Delfin! — wołał Grocholski.

— A co? To dlatego, że nie myślę o naczelnikowej. Kobiety strasznie zabijają spryt w człowieku! Dowód na tobie! No, dosyć, nie czytaj, Żabba, kto ją do chrztu podawał, ochrzcimy ją po swojemu. Hola Szaniarski, skocz po butelczynę! A kto na kuma?

— Ja! — ozwał się Żabba.

— To dobrze! A imię?

— To już ma — protestował Grocholski

— Głupiś! Nie będziemy, wołając, recytować całej litanji!

— Marja! — poddał Grocholski.

— Czyta się naczelnikowa! Imię twojej damy! Nie chcę, żeby była do niej podobna.

— Kazimiera! — szepnął Żabba.

— Czekaj! Co to znaczy? Kazi, to jest psuje, mir — spokój. Pfe! Ma ona nam psuć spokój? Nie pozwalam!

— Bronisława, brzydko — skrzywił się Grocholski.

— Jak dla kogo! Dla zaczepiających — tu się ukłonił w stronę warszawiaka — niewiele obiecujące, ale dla prawnych posiadaczy cenne! Niech będzie Bronisława! Co, mała, zgoda?

— Tatuś mnie Bronką nazywał — szepnęła.

— A co! Będziesz tedy Bronisławą i obyś była wierną nazwie! Ty tego nie rozumiesz tymczasem, ale kum rozumie, niech ci to wytłumaczy w czas i porę właściwą. Słyszysz, Żabba? Przeczytaj w katechiźmie o obowiązkach chrzestnych rodziców! Rozumiesz? Gdzież ten Szaniarski z winem? Pić chcę, jak sikawka straży ogniowej. Czego szukasz, Żabba?

— Szukam listu.

— Jakiego listu?

— Do ciebie od dziadunia. Przyszedł wczoraj...

— Coo! — Pan Hieronim siadł, wytrzeszczając oczy. — Bogi piekielne, cóż nowego? A co, nie mówiłem wam, że on już wie, gdzie ja jestem?

— I co robisz w tej chwili! Pewnie się zaprasza na kuma! Nazwie ją po litewsku, Biruta! — zaśmiał się Grocholski.

— Gdzież ten list, marudo! — wołał student.

— Aha, gdzie? Albo ja wiem! Zawsze mi głowę zdurzysz swoją gorączką. Gdzieś go schowałem, bo z pieniędzmi.

— Z pieniędzmi! Świat się kończy!

— Ot, jest, masz!

Chłopiec zapomniał o pragnieniu i figlach. Podarł kopertę, uszkodził trochę list i zaczął czytać, komentując każde słowo.

,,Jeżeli pamiętasz, że masz dziada" — oho, ktoby nie pamiętał — ,,któremu byłeś całe życie zgryzotą" — bodajby cięższych nie miał — ,,to wymagam, abyś wnet, po otrzymaniu niniejszego, stawił się osobiście u mnie". — Ciekawym, poco mu potrzebne oglądanie tej zgryzoty. — ,,Wiedząc, że żyjesz w nędzy i korzystasz z publicznej jałmużny" — Co? Sfiksował stary! — ,,posyłam ci na koszty podróży sto rubli, wymagając ścisłego rachunku i oddania tego, co pozostanie".

— Tfu, do djaska! Ja, Hieronim, mam jechać za cudze pieniądze i gryzmolić jakieś rachunki? Dziadunio dostał rozrzedzenia mózgu!

— No, czytaj dalej!

,,Mieszkam, jak zawsze, w Tepeńcu, powiat Mozyrski, i czekam ciebie. Twój dziad, Polikarp Białopiotrowicz".

Student zmiął list w gałkę i cisnął ją pod sufit, pieniądze rzucił na stół, siadł, wziął pióro i zaczął coś pisać.

— Jest wino! — wołał Szaniarski, wchodząc.

— Pijcie sami! Mnie po każdym liście dziadunia, jakby kto żółcią potraktował. Zatruje mi humor na trzy doby! No, odpiszę mu choć raz!

Pióro skrzypiało zajadle. Koledzy rozgościli się po łóżkach

i stołach, wzięli dziewczynkę i wywiadywali się wszystkiego z własnych ust ofiary. Opowiadała teraz chętnie i roztropnie szczegóły czteroletniej niewoli; o śmierci rodziców milczała uparcie.

Nagle Hieronim wstał.

— Gotowe? — spytano.

— Uhu! — odparł.

— To czytaj!

,,Szanowny dziaduniu! Jeżeli korzystam z jałmużny publicznej, to do tej publiki cię nigdy nie zaliczałem. Sto rubli odsyłam bez rachunku, na inny użytek! Jeżeli będę miał czas i ochotę, to przyjadę do ciebie za własne fundusze, terminu nie określam i pozostaję pamiętnym wnukiem".

Zwinął list, wsunął do środka pieniądze i odsapnął.

— Aż mi lżej! No, dajcie kieliszek! Zdrowie Bronki, na szczęśliwy powrót i pomyślne kursy! Dajcie i mojej żonie kropelkę!

— Na szczęśliwe pożycie! — rzekł Grocholski.

— Nie wspominaj tego, bo mi naczelnik staje w oczach!

— Więc nie jedziesz w Mozyrskie? — zagadnął tę kwestię adorator naczelnikowej.

— Najpierw dajcie mi sposób przeistoczenia się w kaczkę, bo tam dostać się można zapomocą pletw i skrzydeł, inaczej wcale nie. To kraj ziemnowodnych istot!

— Statki kursują po Prypeci podobno.

— A niech sobie kursują zdrowe! Jak mi się zechce eksploracyjnej wyprawy, to ruszę. Tymczasem pijmy i hajda do Petersburga! Dziadunio dostanie ataku apopleksji, gdy mój list otrzyma!

— Albo to prawda! — wtrącił Żabba. — On innej odpowiedzi nie czeka! Umyślnie tak napisał, żeby sto rubli odzyskać. Już ja go znam.

— A często ty masz podobne odezwy? — spytał Szaniarski.

— Miałem ich pięć w życiu. Ilekroć mnie coś złego spot-

kało. Oj, ten dziadunio! Pierwszy list przyszedł, jakem matkę kładł w trumnę. I wiecie, co w nim było? Żem to ja ją do grobu wtrącił, ja, com ją kochał i czcił, jak świętą! Miałem wtedy lat czternaście, zostałem sam! Pochowałem matkę i przysiągłem na jej grobie dawać sobie sam radę na świecie i prędzej zamrzeć z głodu, niż poprosić o pomoc dziadunia! W dwa lata potem otrzymałem drugi list. Dowiedział się, żem chorował przed egzaminami, chciałem zostać drugi rok w klasie. Radził, bym dał za wygraną zarozumiałej pewności siebie i poprosił go o pomoc, której może udzieli. List cały był jedną obrazą i obelgą. Zgrzytnąłem zębami i, słaniając się na nogach, poszedłem na egzaminy. Zdałem je w gorączce. Matka tam chyba modliła się za mnie i wyprosiła patent. Odwieźli mnie koledzy do mieszkania, i gdyby nie Żabba, poniósłbym świeżutki patent świętemu Piotrowi, jako certyfikat zgonu. Trzeci raz w Petersburgu to było. Rozmyślaliśmy z Żabbą, jaką drogę obrać, do których wrót wiedzy zapukać, jak krajowi najlepiej usłużyć; przychodzi list: ,,Zostań doktorem, chcę mieć swego medyka! Radzę ci to ze względów dziedzictwa; jak mi usłużysz, to ci co zapiszę''. Dosyć tego; poszedłem w drugą stronę, na inżyniera. Trafił dobrze dziadunio, bo trzeba wam wiedzieć, że boję się okropnie umarłych i chorych! Czwarty raz pisał w sprawie Wojciecha, a to piąty!

Student kopnął nogą niewinny papier.

— I nigdy nie odpisywałeś?

— Owszem, zawsze, ale Żabba konfiskował odpowiedzi przez oszczędność marek! Dzisiejsza pójdzie!

— Czego on chce właściwie od ciebie?

— Kat go wie! Chce dokuczać, musi mu to sprawiać przyjemność, jak mnie kieliszek wina, a Grocholskiemu buziak naczel...

Zaczęty wyraz skonał na ustach chłopca, który podskoczył jak ruszony sprężyną.

Naczelnik stał w progu.

— Panowie, do roboty! Jutro wyjeżdżamy! Śpieszcie się! Białopiotrowicza zabieram z sobą. Reszta niech kończy zadania!

— Mane, Tekel, Phares! — zamruczał Hieronim, idąc na wezwanie.

Reszta się rozpierzchła podniecona nadzieją wyjazdu.

Bronka po swojemu usiadła na progu, nucąc dziecięcym głosikiem piosenkę, którą wczoraj śpiewał Hieronim. Była nad wyraz szczęśliwa.

III.

„D Z I A D U N I O“

Hieronim Białopiotrowicz był już sierotą, gdy na świat przyszedł. Ojciec zginął na polowaniu, rozszarpany przez niedźwiedzia; matka łzami oblała urodzenie jedynaka, jedyne wspominenie krótkotrwałego szczęścia, jedyny łącznik między nią i rodziną męża.

Niesłodkie miała życie biedna wdowa. Od chrztu syna stosunki z teściem zaostrzyły się, panowała między nimi głucha walka. Pan Polikarp Białopiotrowicz, magnat, miljoner, stworzony był na wschodniego satrapę, nie cierpiał oporu i nie znał go w życiu.

Słuchali go ślepo synowie, bali się jak ognia podwładni, trząsł całym domem. Despota to był chłodny, zamknięty w sobie, milczący.

Otwierał usta dla krótkiego rozkazu, ostrej wymówki lub surowego wyroku. Wesołym go nikt nie widział, ale też nie unosił się nigdy złością, nie zniżał się do tłumaczeń lub prośby.

W atmosferze tłoczącej grozy, pustki i ciszy lękliwej przeżyła matka Hieronima osiem lat po śmierci męża. Dzieciak ją bawił swawolą, zachęcał do jej znoszenia, zajmował długie godziny. Poza granicą Tepeńca mogła mu dać ledwie kawałek chleba; posag jej był niewielki.

Kwestja nauki zerwała ostatecznie stosunki. Na wzmiankę o szkolnem kształceniu wnuka, pan Polikarp zmarszczył siwe, krzaczaste brwi i odparł krótko:

— Nie potrzeba! Zostanie tu!

Matka nazajutrz wzięła dziecko i wyjechała bez pożegnania. Pan Polikarp nie protestował. Chłopiec rósł, pożerał nauki, z krwią matczyną wyssał żelazną wytrwałość, wiarę w siebie i niechęć do dziada. Gdy tracił jedyną opiekunkę, był już prawie człowiekiem; nie lękała się dlań niczego i tylko, konając, gorąco prosiła:

— Ruciu, pamiętaj o mnie i bądź prawym!

A potem błogosławiła go na sierocą dolę i zasnęła z rękoma na jasnej głowie chłopca.

,,Bądź prawym" nie wyszło mu nigdy z pamięci. Lata minęły. Z gimnazisty wyrósł młodzieniec, człowiek, co siłą energji potrafił chodzić na kursy, dawać lekcje, pomagać kolegom, żyć z dwojga rąk i głowy, nie prosząc nigdy o pomoc. Czasem bardzo głodny, chciał iść po zapomogę do składkowych studenckich funduszów i wracał. Myślał, że odbierze grosz chorym, słabym, może niezdolniejszym — i cierpiał. ,,Bądź prawym" matczyne tłumiło w nim głód, podniecało jakąś szaloną egzaltację energji.

W trzecim roku przyznano mu stypendjum. Stypendjum owo nazywał pan Polikarp korzystaniem z publicznej jałmużny.

Obok tego niezmordowanego bojownika pracy żył brat stryjeczny, rzucając garściami dziadowskie ruble w błoto stolicy, gdzie przebywał, pilnując jakichś interesów.

Czasem Hieronim, biegnąc na lekcję, spotykał kuzyna, rozpartego we własnym powozie. Pozdrawiał go bez zawiści i zazdrości wesołym okrzykiem, ale nie odwiedzał nigdy. Dziadunio na to tylko czyhał, by go nazwać pasorzytem Wojciecha.

— Ciekawym, czem Wojciech płaci za te setki tysięcy sknerze? — mówił czasem do Żabby.

— Giętkim karkiem — mruczał Litwin, wyznający absolutną pogardę dla uległości i pochlebstwa.

Ci dwaj nierozłączeni, których koledzy nazywali Kastorem i Pollusem, mieszkali razem u jakiejś dalekiej krewnej Żabby, utrzymującej umeblowane pokoje niedaleko akademji.

Zajmowali dwa pokoiki wielkości dużej szuflady, stołowali się u kuzynki, żyjąc w przykładnej zgodzie z jej białym kotem i siwym pudlem, którego edukacją zajmował się Hieronim. Nazywał starą pannę ,,panią Dulską'' i płatał jej ciągle figle, użytkując w ten sposób wieczory i święta.

Od roku do towarzystwa pudla i kota przybyła Bronka, powitana przez panią Dulską ze zgorszoną miną i protestem z racji braku miejsca. Hieronim odurzył ją do reszty tysiącem poleceń, które naturalnie sam wykonał, i po tygodniu weszło wszystko w zwykły tryb zegarkowy.

Koledzy chodzili na kursy, wracali na obiad, poczem Żabba szedł do książek, Hieronim biegł na lekcje, lub odrabiał za nieuków techniczne rysunki; wieczorem, jeśli ich nie opadli koledzy, wracali się obadwa do mieszkania starej panny.

Wówczas Bronka siadała na kolana opiekuna i wydawała swą lekcję alfabetu, oraz niezgrabnych patyków, mających kiedyś zostać literami; potem następował popis pudla, daremne próby wykształcenia kota i ogólna wesoła herbatka.

Dziecko wyrosło, wybielało, straciło dzikość i mrukliwość; była to teraz szczera, otwarta istotka, ulubienica starej panny, Żabby, a nawet pudla. Hieronim ją stroił, pieścił, pilnował wygód i zdrowia, poświęcał dla niej koleżeńskie zebrania; powstrzymywała go od hulanki, nęciła do domu. Odpłacała mu za to wielką wiarą, ufnością, posłuszeństwem; wosk to był pod jego dłonią, z którego tworzyć mógł, co chciał.

Rok minął, nadchodziły wakacje. Jakim sposobem Hieronim, pomimo ciężkich egzaminów, do których przygotowywał

siebie i dwunastu co najmniej kolegów, potrafił wykończyć model pompy na konkurs, tegoby on sam nie umiał wytłumaczyć.

Pewnego dnia Żabba wrócił sam na obiad, rozpromieniony, choć wyglądał, jak odkopany z grobu nieboszczyk.

— Zdaliśmy, ciociu! — odetchnął, siadając do stołu.

— Chwała Bogu! A gdzie pan Hieronim?

— Poszedł wywiedzieć się o rezultacie konkursu.

— Ach, to się spóźni, obiad wystygnie!. Broniu, zanieś jego część do kuchni! Jedz, chłopcze! Od tygodnia darmo mi płacicie, jedzenie nietknięte zostaje!

— Och, żeby ciocia wiedziała, jak to ciężko!

Litwin westchnął, przesunął ręką po czole, na którem mozolna praca wyorała się kilku głębokimi brózdami. Wspomnienie odbierało mu apetyt.

— Nie myśl o tem, Józiu, nie myśl! Jeszcze rok — pocieszała go — posil się! Odpoczniesz przez wakacje. Nabierzesz sił

— Zabierają nas znów na praktykę! Nie wiem, co myśli Rucio!

— Panie — zaszczebiotała Bronka, skubiąc go za rękaw — czy on zaraz przyjdzie?

— Zaraz dziecko! Przyniesie ci książeczkę, mówił.

— Jej nie książka w głowie! — wmieszała się stara panna. — Głodna, a tak ją rozpieścił, że bez niego do stołu nie siądzie.

Dziecko zniosło w milczeniu naganę. Siadło na brzeżku krzesła, wzięło kawałek chleba i zaczęło zeń wygniatać gałeczkę. Po chwili podniosła ciemną główkę, z pod obciętej grzywki wzrok jej strzelił ku drzwiom; skoczyła je otwierać.

Na schodach czysty głos śpiewał wesoło:

— „Hej, wakacje, to rzecz miła!“

Porwał dziecko na ręce, podniósł w górę, pocałował w śmie-

jące się oczy i powitał potem resztę towarzystwa okrzykiem:

— Niech żyją pompy! Zwyciężyłem!

— Co? Wziąłeś nagrodę? — krzyknął radośnie Żabba.

— Napompowałem pięćset rubli. Nie będę spać ze strachu przed zbójami. Czy nie ma pani rewolweru?

— Ja, rewolweru! Jezus Marja!

Kuzynka Żabby cofnęła się przerażona samym dźwiękiem tej nazwy.

— Nie ma pani? To dziwne! Może pani zapomniała? Pewnie leży w tualecie!

— Co pan wygaduje! Proszę lepiej jeść. Obiad ostygł, a dziecko czeka dotychczas.

— Już siedzę i pożeram. Chodź, Broniu! Co tak męczysz ten chleb?

Odebrał jej z rąk gałeczkę. Była to dość podobna do oryginału głowa pudla.

— Co to takiego? — zaśmiał się.

— To Medor! — odparła, pokazując mu białe ząbki.

— Bardzo piękne, ale o tem potem. Przeżegnaj się i jedz! Zbladłaś, biedactwo!

I on sam był blady i zmęczony. Egzaminy i konkurs wycieńczyły go jak piwniczną roślinę.

— Co robisz z sobą, Ruciu? — zagadnął Żabba.

— Ach, dużo rzeczy! Tydzień śpię, tydzień jem, to dwa, tydzień przygotowuję Bronię do gimnazjum, to trzy.

— Nie jedziemy na praktykę?

— A poco? Mam moc pieniędzy dla nas trojga.

— Grocholski bardzo namawia.

— Dość się dla niego napracowałem. Co zanadto, to niezdrowo! Broniu, jakże tam z kaligrafją?

— Napisałam.

— A z rachunkami?

— Umiem.

— No, zobaczymy! Siedem razy osiem?

— Pięćdziesiąt sześć!

— Doprawdy? A może czterdzieści dziewięć?

— Nie; to ty nie umiesz, kiedy tak!

— Dziękuję za naukę. Masz książeczkę, com ci obiecał. Po wakacjach pójdziesz do szkół. A wiesz dlaczego?

— Wiem. Żeby być panią i cudzego chleba nie jeść!

Mówiła z przejęciem, topiąc weń swe piwne, myślące oczy. Rozumiała treść słów.

— Zuch z ciebie! A gałeczki możesz lepić, jeśli ci to robi przyjemność. Daj łapę, Medor!

— Ależ, Ruciu! — upomniał Żabba.

Dzwonek w sieni przerwał początek gderania.

Hieronim skoczył otworzyć. Przed nim stał smukły, młody człowiek. Podobni byli do siebie z rysów, tylko wyraz twarzy przybyłego był twardszy, zużyty, wytarty swawolą, wyglądał starzej o lat dziesiątek.

— Jak się masz, Wojtaszku! — powitał student.

— Tysiące razy mówiłem ci, żem Albert! Uwziąłeś się mnie prześladować tem śmiesznem imieniem!

— A, fe, tak się odzywać o biskupie męczenniku!

— Ja sam męczennik!

— Aj! Cóż tam? Dostałeś reumatyzmu na wyścigach? Mdli cię po wczorajszej kolacji?

— Ty zawsze błaznujesz! Czy dajesz mi audjencję na schodach?

— Ale, gdzie ci się podoba, choć na dachu; jestem obywatelem całego świata! Może wyjdziemy na miasto?

— Wolę wstąpić do ciebie, jeśli tam niema tego tam Żabby.

— Tego tam Żabba! Poczekaj, aż wrócę, wysłuchaj tymczasem lekcji Broni! — zakomenderował Hieronim, zamykając jedne drzwi, a otwierając przeciwległe, prowadzące do ich schronienia.

Wojciech padł na łóżko, nie rozbierając się z paltota. Stu-

dent, podśpiewując, zapalił świecę i stanął przed milczącym kuzynem.

— Czy chcesz się przespać? — zagadnął.

— Jestem zgubiony! — wyrzucił z siebie rozpacznie zagadnięty.

— To smutno. Podziel się tą troską, zamiast jęczeć jak w melodramacie!

— Dziad kazał przybywać na ślub!

— Cóż w tem tak okropnego? To się ożenisz! Będzie was dwoje, potem troje...

Wojciech wstał gwałtownie, położył ręce ciężko na ramionach stryjecznego brata.

— Ja się nie mogę żenić, rozumiesz?

— Bo co?

— Bom już żonaty!

— Uf, — rzekł Hieronim, jak ktoś, co nagle wpadnie w wodę — uf, to źle! To nawet bardzo źle! I dziad wie o tem?

— Albo ja wiem? Pewnie! To wezwanie jest zrobione umyślnie!

— I pojedziesz?

— Wolę kulę w łeb !

Zamilkli. Hieronim przeszedł się po pokoju.

— Wiesz co? — odezwał się nagle. — Najlepiej, żebyś tam, do Tepeńca, posłał swoją żonę! Niema jak kobiety do dyplomacji.

— Niech cię kat porwie z takiemi radami! Przyszedłem po ratunek do ciebie, a ty drwisz!

— Po ratunek, do mnie! Chcesz może, żebym i twoją żonę przyjął do siebie, jak tamtą wtedy? Servus, na to mnie nie weźmiesz!

— Chcę cię błagać o łaskę! Jedź do dziada!

— Dobrze, a potem co?

— Wstaw się za mną!

— Ja do dziadunia? Czyś oszalał? On mnie psiarnią wyszczuje!

— Nie. On już stracony dla mnie! Przeklnie! Teraz twoja gwiazda wzejdzie. On cię kocha.

— Miałem tego rozczulające nawet dowody.

— To nic! Pojedź! Wytłumacz, że kochałem...

— Ach, to już twoje kochanie!

— Kochałem, mówię ci, postąpiłem bez rachunku; że go błagam o przebaczenie, żem niewinny i proszę o pozwolenie...

— Rychło wczas! Z kimżeś się wreszcie ożenił?

— Z panną B., córką radcy dworu.

— Oh? — gwizdnął przez zęby Hieronim. Był to bardzo wątpliwy objaw zadowolenia.

— Zrób mi to, bracie! Do śmierci ci nie zapomnę, a potrafię się wywdzięczyć!

Student namyślał się chwilę. W duchu klął kuzyna, ale głośno odparł:

— Na nic się to nie zda, ale jeśli ci na tem zależy, zrobić mogę. I tak nie wiedziałem, co robić z wakacjami. Użyję ich na dyplomatyczną misję! Potrzebny ci był ten kłopot! Tfu! Sameś nie wiedział, co z dolą począć. Szczęście ci samo szło w ręce, nic ci nie brakło. Ech, żeby dziadunio ci wlepił sto kijów na kobiercu, miałbyś, czego trzeba!

— Jakiś ty rozumny! — mruknął kuzynek, orzeźwiony obietnicą Hieronima. — Nie będziesz mądrzejszy, gdy się zakochasz!

— Nie będę się bał dziadunia, ani oglądał, co on na to powie, to pewne! — odparł hardo Hieronim.

Wojciech zamilkł, wziął za czapkę.

— Jak tu u ciebie czarno i ciasno! — zauważył już zupełnie swobodny.

— Żółwia skorupa! — zaśmiał się właściciel izdebki.

— Chodźmy na miasto!

— Dziękuję! Mam jeszcze wyżej głowy zajęcia.
— Wszakżeś chlubnie zdał egzaminy. Wolnyś!
— Prawie!
— Kiedyż pojedziesz?
— Jak trochę wypocznę.
Uścisnęli sobie dłonie. Wojciech wyszedł.
— Słuchaj-no! — zawołał za nim Hieronim. — Jak mi psy dziadunia poszarpią odzienie, to sprawisz nowy garnitur!
— Wszystko, co zechcesz! Bywaj zdrów!
— Dobranoc, Wojtaszku!
— Albercie — upomniał Żabba, wychodząc z pokoju starej panny.
Hieronim stał chwilkę zamyślony, z marsem na twarzy, wreszcie ramionami ruszył.
— Tak się zmarnować haniebnie — zamruczał — na to trzeba być głupcem, głupcem, głupcem!
— I tacy się pomieszczą na ziemi! — uspokajał Żabba.
Hieronim rzucił się na łóżko. W pięć minut już chrapał.
Rozmowa z kuzynem była powodem, że go w tydzień później znajdujemy na statku parowym, kursującym po Prypeci.
Lato objęło płaskie brzegi monotonną zielonością daleko, jak okiem zajrzeć. Krajobraz był równy, smutny, pusty, tchnący przygniatającą tęsknotą. Niekiedy przerywała to zielone morze traw siwa, brudna wieś lub lesiste czarne wzgórze. Czasem z za szuwarów wysuwało się chłopskie czółno lub stado kaczek. Kłąb dymu maszyny słał się jak czarne plamy po łąkach, gwizd parowca drżał w dzikiej ciszy, biegł po toni, ginął po zakątkach.
Oprócz Hieronima, jeden był tylko podróżny, wpół-chłop, wpół-mieszczanin, ćmiący lulkę na przodzie i spoglądający sennym wzrokiem na wodę. Student, oparty o galeryjkę, był skazany na milczenie i samotność.
Późnym wieczorem zostawił go statek w nieznanej, nielud-

nej osadzie. Chłopi na brzegu przed karczmą objaśnili go, że do Tepeńca nie więcej mili, ale on się nie kwapił. Szynkowa gościna ponętniejszą mu była, niż dziadowska, mocno wątpliwej serdeczności. Został na nocleg w osadzie.

Towarzysz podróży, ów pół-mieszczanin, pół-chłop, był znów z nim, kopcąc lulkę i rozglądając się sennie po karczemnej izbie.

Nazajutrz, o świcie, chłopskim wózkiem, ruszył nasz bohater do celu podróży.

Droga się wiła grobelkami, to się oddalając, to zbliżając do rzeki; widok zakrywały łozy i olchy, cisza bezludna tłoczyła piersi.

Pomimo fantazji wrodzonej pan Hieronim miał coraz silniejszą pokusę drapnąć zpowrotem; chłop powożący odbierał mu resztę odwagi opowieścią o ,,strasznym panu''. Tak się zwał dziadunio Polikarp w ustach ludu okolicznego.

— Serdytyj pan! — powtarzał ciągle, trzęsąc kołtuniastym łbem i cmokając na konika.

— A widziałeś go kiedy? — badał Hieronim.

— Dzięki Bogu, nie, ale mój swojak widział go raz jeden. Bardzo się zląkł.

— Milutki być musi! — pomyślał student.

Słońce wyjrzało zupełnie z za wody i w tejże chwili rozchyliły się, jak brama, olchy na grobelce. i roztoczył się przed okiem jadącego szeroki, w słonecznych złotych ramach krajobraz. Na lewo pomarszczona, białawosina toń Prypeci, na prawo bór jodłowy ,wprost, na stromem wzgórzu, jakby z wody wyrosły, przepyszny dwór, otulony stuletnią wysadą.

Słońce biegło po fali, po koronach drzew, złociło krzyż kaplicy, słało się po łąkach i zaglądało aż na wózek chłopski i w zachwycone oczy Hieronima. A przed nim coraz bliżej wychodziły, jakby na powitanie, czy obronę, mury z czerwonej cegły, stare lipy ciekawe, łupkowe dachy, wieżyczki, ogrodzenia i mrugał coraz jaśniej krzyż kaplicy.

— Prr! Stój, siwa! — przerwał mu oglądanie głos chłopa.

— A cóż tam? To Tepeniec? No, to jedź do dworu!

— Ej, panoczku, ja już zawrócę! Do dworu nie puszczają furmanek, a psy mi klacz rozszarpią. Pan piechotą pójdzie.

I, nie czekając odpowiedzi, postawił na drodze torbę studenta, pomógł mu wysiąść, zaciął konia i uciekł.

Pan Hieronim ruszył, śmiejąc się, ku bramie.

— Smocza jaskinia! — monologował. — Dziadunio posiada ogromną popularność u sąsiadów, aż miło, jak go kochają! Aa, jak się macie, przyjaciele?

Ta ostatnia interpelacja stosowała się do gromady psów, wszystkich gatunków i koloru, co jak pułk zbirów powitały go u bramy.

Student, bezpieczny za sztachetami, ukłonił się im bardzo nisko.

— Bardzo mi przyjemnie oglądać wasze czcigodne oblicza, bardzo przyjemnie! Wiem, wiem, że macie szczerą ochotę wejść w bliższe stosunki z moją garderobą, ale to gusty niechrześcijańskie i niestosowane do naszego klimatu! Tak, tak! Nawet zupełnie nieprzyzwoite! Nie krzyczcie tak wszyscy naraz, bo was nie rozumiem. Niech się każdy rozmówi pokolei ze mną! Odpowiem na wszelkie zapytania, mogę nawet pokazać papiery!

Ale psy nie zadawalniały się gawędką. Hałas rósł, zamiast się zmniejszać, a nikt nie przybywał na pomoc oblężonemu. Nie pomogły protesty i prośby o pokój, nawet obietnica łokcia kiełbasy; psiarnia obstąpiła szczelnie wejście i, szczerząc kły, broniła heroicznie wstępu.

— Nie chcecie kiełbasy? Jesteście osły! Bywajcie zdrowi! — zawołał zniecierpliwiony student, pokazując im figę i odchodząc od bramy.

Szczekanie towarzyszyło mu chwilę, potem ucichło.

Szedł wzdłuż muru, zaglądając czasem do wnętrza. Wszędzie było pusto. Ruch skupił się na gospodarskich dziedziń-

cach; po szpalerach ogrodu, które mijał, świergotały ptaszki i brzęczały pszczoły, ogród był jak zaklęty.

Tak idąc, obszedł połowę fortyfikacyj, wydostał się z obrębu sadu, okrążył park nad rzeką. Gąszcz nieprzebyty zasłaniał mu widok do środka, gdy nagle nad samą wodą zagrodziły mu drogę sploty brzóz płaczących i zabiegł przed oczy grobowiec familijny, świecący białemi ścianami i nieco dalej stara kaplica, uwieńczona krzyżem. Chłopiec zatrzymał się.

Dzieciństwo mu stanęło jak żywe przed oczyma: i matka, i ojciec, którego znał tylko z napisu na grobowym kamieniu, i przechadzki po parku.

Jeszcze w ostatniej chorobie mówiła matka, jak jej żal, że nie zobaczy grobowca w Tepeńcu, że się nie położy w grobie obok trumny męża, i ta skarga ozwała się po latach w sercu syna-sieroty.

Położył ją daleko na obcym cmentarzu; jak zawsze, tak i w spełnieniu tego ostatniego jej pragnienia stał na przeszkodzie dziad Polikarp.

W Hieronimie zagrała krew, wszystkie krzywdy i bóle odżyły we wspomnieniu i wnet duma ofiary ozwała się gwałtownie: Poco iść do tego starca bez serca? Poco przestępować próg tego domu, który powinien być dla niego rodzinnym, a był wrogim?

— Zajdę do grobu, za ojca się pomodlę i wrócę! — zamruczał, przeskakując mur.

Krypta była otwarta, w półcieniu świeciły napisy na zapełnionych niszach; puste czerniały ponuremi otworami, czekały na lokatorów.

Obok grobowca szemrała krynica, wąskim strumieniem ku rzece; zresztą nic nie przerywało ciszy.

Hieronim ukląkł na kamieniach i zaczął odmawiać pacierz.

Wtem z ogrodu doszedł jego uszu krok dwóch ludzi i cicha

rozmowa. Słów nie rozpoznawał z powodu szmeru strumienia, i nie ruszał się z miejsca.

Po chwili rozmowa ucichła, krok się zbliżał, ale już pojedyńczy i czarny cień stanął u wejścia do grobu.

Student podniósł oczy.

Wchodzący, był to człowiek olbrzymiego wzrostu, ubrany w samodziałową kapotę i jałowicze buty. Krótko ścięty, biały jak mleko, włos pokrywał głowę; twarz była opalona, chuda, z wyrazem kamiennej ostrości. Potęgowały ten wyraz brwi olbrzymie, krzaczaste, złączone prawie z sobą, z pod których wyglądały zmrużone, siwe oczy, przenikliwe, świdrujące w spojrzeniu i wielkie, siwe wąsy, spadające po tatarsku wdół.

Przestąpiwszy próg, starzec zatrzymał wzrok na Hieronimie przez sekundę, potem na napisie grobu, u którego on klęczał ,a potem przeszedł nim cały rząd katakumb. Nareszcie oparł się oburącz na lasce, zakończonej srebrnym toporem, i, jakby czekał końca modlitwy chłopca, pozostał nieruchomy, zagradzając mu drogę.

Hieronim odmówił wszystkie wiadome sobie pacierze, a widząc, że cierpliwością nie zwycięży, wstał, żegnając się pobożnie.

— Dlaczegoż to wchodzicie przez mur, mój młody panie? — zagadnął bez żadnego wstępu.

— Bo mi nikt bramy nie otworzył — odparł student.

— Jakże wam na imię i czego tu chcecie?

— A wam co do tego? — zapytał hardo Hieronim.

Błyskawica przeszła po oczach starca.

— I bardzo mi do tego, bom tu pan!

— Aa, to przepraszam! Hieronim Białopiotrowicz mi na imię, a przy tym grobie pomodlić się mam wszelkie prawo! Dlatego tu jestem.

— Może też znajdziesz słusznem z dziadem się przywitać po modlitwie za ojca?

— I owszem. Dziad mi daruje niegrzeczną odpowiedź. Nie wiedziałem, do kogo mówię.

— Doprawdy! Ze znajomością wcale się nie spieszyłeś. Czy mam obecną twoją bytność uważać za wypełnienie wezwania?

— Tak; wcześniej być nie mogłem. Teraz służę dziadowi, jeśli jestem potrzebny.

— O usługi nigdy nie proszę. Miałem wówczas interes do ciebie, spóźniłeś się!

— Bardzo mi przykro; byłem zajęty.

— Wiem, patronowaniem temu dziecku, córce zbrodniarza i nierządnicy. Nasienie wiele obiecującej rośliny.

Hieronim poczerwieniał, zagryzł wargi, hamując gwałtowny wybuch. Stary śledził uważnie jego rysy.

— Ta filantropja niedaleko cię zaprowadzi. Dziewczyna, gdy dorośnie, odda ci kamieniem za chleb — mówił dalej z wyraźną chęcią rozdrażnienia wnuka.

— Może być, ale to moja osobista rzecz. To żaden interes.

— Ach, tak, wiem, że jesteś tu za interesem, i to nie osobistym. Jest to druga niepotrzebna filantropja. Może wstąpimy do domu?

— Jeżeli dziad mówi, żem się spóźnił, to może odjadę zaraz.

— Pójdziesz ze mną, błaźnie, a odjedziesz, gdy cię odprawię! — odparł starzec, miażdżąc go spojrzeniem.

Jak kula o pancerz, ośliznął się rozkaz i wzrok o niefrasobliwą naturę chłopca. Zaśmiał się.

— Ani pójdę z musu, ani będę czekał odprawy. Wolnym ptak i pan sobie, a ci, co mieli władzę nade mną, dawno pomarli. Idę za wami tymczasem.

Polikarp Białopiotrowicz zatrzymał się jak wryty, ciężka dłoń spadła na ramię mówiącego.

— A ja ci mówię, że będziesz mnie ślepo słuchał i robił, co każę! Ja ci będę władzą! Rozumiesz?

— Bardzo niedostatecznie! Ejże, spróbować można; ale nie warto, będzie fiasko!

Starzec zbył milczeniem przechwałkę; szedł ku domowi.

— Ile masz lat? — zagadnął po chwili.

— Dwadzieścia.

— Stawałeś do poboru?

— W jesieni mnie to czeka, ale odsłużę po skończeniu kursów, jeśli mnie zupełnie nie uwolnią.

— Kogóżby brali, jeśli tacy, jak ty, silni, nie pójdą? Nie masz zresztą żadnego prawa do ulg. Będziesz żołnierzem, panie inżynierze, to cię nie minie!

— Sześć miesięcy, to nie wieki!

— Karabin nosić, to dostatecznie. A potem lat parę rządowej służby za stypendjum.

— Dziad to tak dobrze zna jakby sam przechodził.

— Ja wszystko wiem. Mogę ci na palcach policzyć biedy, które cię czekają.

— To mi nie nowina. Bieda hartuje człowieka.

— Różnie bywa. Mierna, przeplatana lżejszą dolą, ożywiona nadzieją i młodością pobudza do czynu. Są inne, które demoralizują. Te dopiero przyjdą na ciebie.

Zamilkł znów. Głos dziada chłodem i przykrością ściskał duszę studenta. Przypomniał sobie dzieciństwo i gniotącą atmosferę Tepeńca, którą lat tyle znosili z matką. Bogu dziękował w duszy, że to tylko przemijająca wizyta, i klął przez zęby obmierzłego Wojciecha i wszelkie dyplomatyczne misje.

Po szerokich, marmurowych schodach weszli do domu. Minęli przepyszne gobelinami obwieszone salony, dębem wykładaną jadalnię, długi szereg mieszkalnych komnat. Pusto było i głucho, dreszcz wstrząsnął mimo lipcowego słońca; ze ścian nieruchomym wzrokiem patrzyły na młodzieńca portrety protoplastów, pod nogami niekiedy skrzypiała mahoniem wykładana posadzka. Straszny to był dom.

Służba milcząca, pokorna, otwierała im drzwi, gnąc się aż

do ziemi przed panem; szli tak, mijając przepych ów ponury, pyłem zasnuty, martwy i zimny.

W biurze swem, jedynym zamieszkałym pokoju, zatrzymał się pan Polikarp ruchem wskazując miejsce wnukowi. Usiadł też sam.

— A zatem do interesu! Twój godny bratanek prosił cię o wstawienie się do mnie! Cóż powiesz?

— To samo, co mówiłem Wojciechowi, że zrobił kapitalne głupstwo i niema żadnej mocy poprawienia mu w czem losu.

— I słusznie! Cóż ty znaczysz dla mnie, żebyś mi śmiał radzić, lub się mieszać w moje plany! Wojciech ci mówił, że na ciebie przyszła kolej moich łask. Możeś myślał, że tak jest istotnie?

— Jeśli dziad, nie wiem jakim sposobem, chyba cudem, zna naszą rozmowę, to nie może mnie o to posądzać; zresztą dowiodłem tylekroć, że mi o wasze łaski nie chodzi.

— Zapewne zapewne, zuchwałości i uporu nikt ci nie odmówi. Jesteś nieodrodnym synem swej matki.

— Dziękuję dziadowi za to zestawienie. Jest to dla mnie najwyższa pochwała!

— Niewybrednyś!

Znów poczerwieniał chłopiec, ale się jeszcze pohamował.

— Wracając do Wojciecha — zaczął po małej przerwie, targając swe początkujące wąsiki — postępek jego był do przewidzenia. Dziad się pewnie go spodziewał?

— Przynajmniej nie zadziwił mnie. Dziwię się raczej, że chce zbliżenia ze mną. Żona jego posiada miljonowy majątek, jestem mu niepotrzebny.

— Alboż on o majątku myśli? Cierpi nad zerwaniem stosunków, nad niełaską i utraceniem serca dziada.

— Taak! Ale ja nie cierpię, ani żałuję, ani wierzę w to, co mówisz. Wasz świat składa się z frazesów, ale tu, w Tepeńcu, nikt ich nie używa i nie potrzebuje. Wojciecha wykreśliłem

z rachunkowej księgi i z pamięci. Sądzę, że nie mam żadnego wnuka.

— To wasza wola. Darujcie Wojciechowi...

— Nie darowywam nigdy! — przerwał ostro starzec.

Hieronim zamilkł. Sprawa była zakończona bez apelacji. Pan Polikarp wstał i zadzwonił.

— Śniadanie tutaj! — rozkazał lakonicznie.

Student był rad z tej dywersji. Rozmowa się rwała co chwila, po raz pierwszy w życiu brakło mu konceptu i werwy; dziad mu mimowoli imponował.

Dla dodania sobie rezonu wstał i podszedł do okna, aby wyjrzeć na ogród; nie śmiał nawet zapalić papierosa.

— Dziad zupełnie samotny — zauważył po chwili.

— Osamotnienie jest właściwością starości — odparł zwolna zagadnięty — ja zresztą nie znoszę towarzystwa. Ludzie nie zapełniają życia, wnoszą w nie tylko chaos.

— Są różni; można wybierać. Samemu trudno wytrzymać. Nie wszyscy są lekkomyślnymi młodzikami, bez sądu i rozwagi!

Znów zaległo milczenie.

— Czy myślisz u mnie spędzić wakacje — zagadnął nagle stary, rzucając w stronę wnuka przelotne spojrzenie.

— Broń Boże! Jakżebym śmiał! Nie lubicie ludzi, a musielibyście patrzeć na mnie i rozmawiać. Przybyłem, boście mnie wzywali przed rokiem, i myślałem, że mi się należy prosić za bratem.

— Dla siebie nie masz żadnej prośby?

— Nie; to jest... miałbym może...

Starzec obrócił się frontem do niego, był ciekawy.

— Kiedy miałbyś, to mów! Nie słuchałeś mnie nigdy, może ja cię posłucham!

— Chciałbym przewieźć tu, do grobowca, zwłoki matki; jeśli dziad pozwoli, będę mu bardzo wdzięczny!

— Nie, nie pozwolę! Matka twoja wyrzekła się tego domu

i rodziny; przez bunt przeciw mej władzy straciła prawo spoczywania wśród moich przodków i dzieci.

— Błogosławię ją za ten bunt i wolę. Zrobiła mnie człowiekiem; umarła jak święta. Nie mówcie mi nic na nią, dość odmowy, nie poproszę was o nic więcej.

— Nigdy? — zapytał z przyciskiem starzec.

— Nigdy! Jak ona, tak i ja, nie mam rodziny i domu i o prawa się moje nie upomnę. Wyklęliście nas oboje, jak zbrodniarzy. Za co? Za to ,że ona mnie kochała, a ja, że pracowałem, jak mnie nauczyła, bez pomocy. Szpiegi dziada nie potrafią na mnie znaleźć nic nieszlachetnego, wstydu nie zrobiłem nazwisku. I za to cierpię od was! Jeśli mnie dziad sprowadził, by ranić i naigrawać się z tego, co czczę, to mogę was opuścić. Nie trzeba mi ani złota, ani łask!

Starzec słuchał go zimno, obojętnie.

— Nie dostaniesz ani złota, ani łask — odparł powoli — i możesz być przekonanym, że nie przez czułą troskliwość szpiegowałem cię dotąd i szpiegować będę nadal. Potrzebny mi jesteś jak pion na szachownicy i co zechcę, zrobię z tobą.

— Ze mną? Ha! ha! — chłopiec zaśmiał się szyderczo. — Dziadowi się to dotąd tak udawało?

— Skądże, błaźnie, możesz wiedzieć, czy mi się udawało? Woskiem jesteś w moich rękach, mówię ci!

— To dobre i wcale dla mnie nowe! Dziad widocznie nie wiele wymaga!

— Owszem, bardzo wiele!

Podczas tej rozmowy służba wniosła śniadanie. Po ostatniej odpowiedzi pan Polikarp ruchem zaprosił młodzieńca do stołu. Sam ledwie tknął jadła, obserwował swego gościa i milczał.

Skończywszy, chłopiec się skłonił i powrócił na swe obserwacyjne stanowisko, do okna.

Gospodarz domu wydawał lokajowi krótkie rozkazy.

— Możeś ciekawy mych bogactw? — zagadnął, gdy się służący oddalił. — Przejdziemy się trochę.

— Nie ocenię rolnych bogactw, bo nie mam o wsi najmniejszego pojęcia, ale przejść się, to i owszem.

Poszli tedy szpalerami ogrodu na łąki i pola, a wracali przez folwarczne dziedzińce.

— Czy znasz się choć trochę na maszynach? — spytał pan Polikarp, stając u drzwi stodoły.

— Jakże? Przecież to mój fach. Wziąłem niedawno huk pieniędzy za projekt pompy.

— No, to mi zreperuj młocarnię!

— Z największą przyjemnością. A gdzież ten defektowy okaz?

Było to jakieś przedpotopowe cudo, sklecone z belek, klekocące, niesforne, odmawiające posłuszeństwa.

— Arko przymierza! — śmiał się chłopiec, drapiąc się po kołach i wałkach, zaglądając we wszystkie szczeliny. — Toż ona pamięta patrjarchów! Czemu dziad nie kupi maszyny nowego systemu, lekkiej i małej? Tę najlepiejby było podarować na opał, do archeologicznego muzeum!

— Więc nie potrafisz zreperować?

— I owszem, ale to praca na kilka tygodni i bardzo nieprodukcyjna.

— A no, to zabawisz parę tygodni. Co do korzyści, to już moja rzecz. Cóż chcesz za robotę?

— Ależ nic, to niewarte wzmianki. Nie jestem rzemieślnikiem.

— Jednak brałeś pieniądze za tę tam pompę. Dam ci to, com obiecywał mechanikowi: sto rubli i dwóch cieśli do pomocy. Przytem utrzymanie.

Chłopiec śmiechem przyjął umowę. Pozostał w Tepeńcu dla tej ważnej przyczyny i reperował starannie ten zmurszały zabytek przeszłości.

Natura jego była jeszcze potrosze dziecięca. Bawiło go to

zajęcie. Śpiewał, gwizdał, komenderował majstrom, często sam się brał do dzieła. Uwalniało go to od pobytu z dziadem, którego widywał tylko chwilowo, a nie rozmawiał prawie nigdy.

Starzec niekiedy wstępował do stodoły, opierał się obu rękoma na belce i obserwował wnuka z pod nawisłych, siwych brwi. O czem myślał wtedy? Zapewne o swych skarbach.

Czasem o zmroku, masztalerz podawał chłopcu pysznego araba do konnej przejeżdżki; czasem rybacy zapraszali go na połów po jeziorach; czasem nadleśny przychodził z propozycją polowania.

Pan Polikarp ich wysyłał, sam nie zaproponował nigdy, a chłopiec, choć lubił to wszystko, nie prosił także. Po paru tygodniach swobody, dostatków i rozrywek wiejskich, zatęsknił za towarzystwem, za życiem studenckiem.

Wyhasał się konno, nastrzelał mnóstwo zwierzyny, zwiedził okoliczne lasy i pola, dokuczyła mu samotność, cisza i spokój. Prypeć wydała mu się kałużą, okolica pustynią, dziad wawelowym smokiem. Napędzał majstrów, jak mógł.

Wtem pewnego wieczora wręczono mu depeszę od Żabby. Zbladł, przeczytawszy podpis. Nielada bieda napędziła flegmatyka do elektrycznego pośrednictwa.

,,Dziecko chore, przyjeżdżaj natychmiast, bo straciłem nadzieję'' — przeczytał.

Skoczył do pałacu i wpadł jak bomba do gabinetu dziada.

— Muszę jechać dzisiaj! — zawołał zdyszany.

— Tak? Skończyłeś robotę? — spytał starzec zimno.

— Ej, co mi tam robota! Muszę wracać! Dziad daruje, ale to nie cierpi zwłoki!

— A co mi tam do twojej zwłoki? Jak złożysz maszynę, to możesz sobie jechać, dokąd chcesz. Pierwej nie!

— Maszyna może poczekać, wrócę ją dokończyć!

Starzec wstał, zatrzymał go za ramię.

— Słuchaj i wybieraj! Jeśli zostaniesz, wszystko, co mam,

twoje będzie, jeśli odjedziesz wyrzekam się ciebie; choćbyś głodem umarł, nie dam ci chleba kawałka, zginiesz! No, wybieraj: raz ostatni podaję ci rękę!

— Dziękuję dziadowi! Skarby wasze, to niewola. Macie zresztą dwóch wnuków, nie możecie krzywdzić Wojciecha, a ja nie chcę niesprawiedliwości!

— Więc odrzucasz!

— W takich warunkach odrzucam.

— A więc giń! — krzyknął starzec, odtrącając go od siebie. — Idź mi z oczu i abyś nie śmiał wspominać, żeś moim wnukiem.

Hieronim pobladł śmiertelnie.

— Nie zrobię wam tego honoru! Do piekła prędzej pójdę po pomoc, niż do was! Niech was dławią skarby i pycha!

Drzwi się za nim zamknęły. Pan Polikarp słuchał chwilę odgłosu kroków, potem usiadł przy biurku, sięgnął po wielką rachunkową księgę i zadzwonił.

Lokaj zjawił się natychmiast.

— Bazylego! — rozkazał pan krótko.

Twarz jego uspokoiła się zupełnie. Nie było na niej śladu obrazy i gniewu. Schylił głowę nad księgą i pisał, nie zważając, że drzwi rozwarły się znowu.

Gdy skończył, podniósł oczy.

W progu stał wezwany, sztywny, nieruchomy, milczący. Hieronim byłby poznał tę figurę. Był to ten sam pół-chłop, pół-mieszczanin, który mu towarzyszył na statku.

— Pojechał? — spytał lakonicznie pan.

— Poszedł — odparł podobnież sługa.

— Możesz i ty wracać. Wszystko dobrze. Pieniądze ma?

— Ma!

— Oto są dla ciebie. Pilnujże starannie i nie rób na markach oszczędności. Dziecko ciężko chore?

— Szkarlatyna, miałem wczoraj wiadomość.

— Przez depeszę, to dobrze. Rad jestem z ciebie! Tamten wyjechał zagranicę?

— Do Paryża. Szczepan jest z nim.

— Nic już Szczepan nie pomoże. Skończone! Ty mi tego strzeż, Bazyli, nie przemilcz niczego!

— Złego nie znajdę, chyba skłamię!

— To dopiero początek. Przyślij mi zaraz swój adres, skoro wrócą do Petersburga. Będziesz miał trudną robotę!

— Na rozkazy pańskie!

Człowiek się skłonił głęboko, zgarnął pieniądze i wyszedł, cofając się do drzwi.

Nad Tepeńcem zaległa znów ponura cisza. Nie słychać było śmiechu i śpiewu chłopca; młocarnia, nawpół skończona, sterczała jak szkielet, a pyszny wierzchowy arab napróżno grzebał nogą, czekając jeźdźca. Hieronim był daleko. Spieszył jak mógł, do małej mieściny rybackiej nad Bałtykiem, gdzie Żabba z Bronką i panią Dulską spędzali wakacje. Po tygodniu, pod wieczór, dobił się do celu, głodny, upadając ze zmęczenia. Na progu domostwa zetknął się z przyjacielem, aż się zachwiali obadwa.

— Żyje dziecko? — huknął Białopiotrowicz.

Żabba nim odpowiedział, pomacał swój nos, który przy starciu najwięcej ucierpiał.

— A to zawsze tak, z twojej gorączki! — zamruczał.

Hieronim odtrącił go bez ceremonji nabok i poszedł dalej. W pierwszym pokoju pani Dulska mieszała jakąś miksturę. Na jego widok złożyła ręce, jak do modlitwy.

— Dzień dobry pani! Jakże Bronia?

Na dźwięk tych paru słów, nim zdumiona stara panna zdołała oprzytomnieć, srebrny głosik dziecięcy rozległ się z sąsiedniej izby:

— Panie, panie, ja tutaj! Proszę przyjść, bo mi wstać nie pozwalają!

Hieronim poskoczył. Dziecko z pościeli wyciągnęło dc

niego rączęta, wstało nawpół i przytuliło mu się do piersi zdyszane, szczęśliwe, obejmując go z całych sił za szyję.

Cień z niej został przezroczysty prawie, płakała z radości i dotykała rączkami włosów, twarzy, odzienia, jakby wątpiła, że to on.

— Cóż to, Broniu, gdzieżeś się napytała tej biedy? — zagadnął, gładząc ją po główce. Patrzył na nią całem sercem, uśmiechnięty i uspokojony.

— W całej wiosce grasowała szkarlatyna — odparła pani Dulska, podając jej lekarstwo.

— Czemużeś nie doniósł mi zaraz? — spytał Hieronim Żabby, który wchodził właśnie, a jeszcze tarł nos.

— Wybierałem się napisać — odparł flegmatyk.

— Ale co?

— Alem zapomniał, bo dziecko było uparte, nieposłuszne, złe. Mieliśmy z ciocią koło niej tyle roboty, co przy dwudziestu pacjentach.

— Wiesz — ozwała się Bronia, a oczy jej nagle zabłysły — pani chciała mnie wybić!

— Czemuż nie wybiła — śmiał się Hieronim.

— On nie pozwolił! odparła poważnie, wskazując na Żabbę. — Za to go kocham i słuchałam potem. Nikt nie ma prawa mnie bić, nikt!

— Doprawdy? Nawet i mnie nie wolno?

Spojrzała mu zdziwiona w oczy, myślała chwilę.

— Nie; tatuś mnie nie bił, to i ty nie będziesz. A gdybyś kiedy wybił, to... — zawahała się chwilę, poczerwieniała, potem schowała twarz na jego piersi i zamilkła.

— To co? — badał ubawiony. — Tobyś mnie pewnie pokąsała?

— Nie, ale uciekłabym!

— Wiem; masz do dezercji lekkie nogi! Tylko ostrożnie, bym się nie złapał, bo odpokutujesz ciężko!

— Poco jej gadać takie rzeczy i straszyć bez potrzeby —

zamruczał Żabba. — Dostanie gorączki. Ledwie ją i tak uratowaliśmy. Ty bo masz dziwną ochotę do drażnienia!

— A ty do gderania! Każ mi dać co jeść i gdzie spać, bom bez sił prawie. Czy cię główka boli, dziecko? — dodał, dotykając rozpalonej skroni.

— Et, kaprysy! — wmieszała się stara ciotka. — Pan ją rozpieścił bezmiernie, nauczył grymasów! Czy kto słyszał, żeby taki drobiazg śmiał się obrażać za każde słowo, słuchał tylko tych, którzy się jej podobają, robił, co chce i rezonował ze starszymi? Józef nie śpi ani jednej nocy od dwóch tygodni, bo ona chce, żeby jej coś opowiadał; ja znoszę miny tej błaźnicy, jakby jakiej księżniczki; a pan gotów trzymać ją tak na ręku do rana! Et, to już za wiele!

— Pewnie, że za wiele cioci skarg! — ujął się Żabba. — Choremu trzeba dogadzać. Niech żyje tylko. Wiesz, Ruciu, mnie się ciągle zdawało, że to Wańdzia. Pamiętasz?

Hieronim ucałował dziecko w czoło, położył je, okrył i wyszedł, przeprowadzony łzawym wzrokiem.

Pomimo zmęczenia, długo w noc rozmawiał z przyjacielem. Żabba, zwiesiwszy długi nos nad szklanką piwa, słuchał, myślał i milczał.

— Jakże ci się dziadunio podoba? — zagadnął Hieronim, skończywszy opowieść. — Milutki, co? Ani słowa!

Litwin wypił zawartość swej szklanki, skrzywił się i głową pokiwał.

— Podoba mi się bardzo — odparł.

— Z czego, bąkało?

— A no, ze wszystkiego. On jest wielki uczony, robi próby in anima vili!

— Cóż to, ja mam być psem, czy królikiem?

— I morskie świnki biorą do tych prób.

— No, więc cóż z tego?

— A nic. Zobaczymy, jak wyda dzieło.

— Et, głupiś, Żabba! Co do mnie, rad jestem, że się wreszcie odczepiłem od niego!

— To dopiero zaczepka, a nie odczepka — wygłosił patetycznie Litwin.

— Resztę mózgu morze ci wypłukało ze łba! Gadasz, jak wyrocznia, dwuznacznikami. Chodźmy spać!

— Zobaczymy, czy dziecko spokojne — poprawił Żabba.

Dziecko miało trochę gorączki. Gdy weszli pocichu, usłyszeli, jak mówiła wpółsennie do siebie:

— Żebym miała czarne perełki, tobym zrobiła i oczy; z chleba nie można; żeby dużo, dużo chleba, toby był cały człowiek, alko koń — taki duży!

— O figurkach swoich myśli — szepnął Hieronim.

— Aha, lepiła tu przed chorobą twój wizerunek z chleba na prezent. Perełek na oczy ciągle się napierała. Jak wyzdrowieje, trzeba jej zacząć dawać lekcje rysunku.

Po chwili mała przestała majaczyć; oddech się uspokoił; koledzy wysunęli się niepostrzeżenie. Byli o nią spokojni, a niewiadomo, który się czuł więcej szczęśliwym jej życiem.

IV.

PUSTKA.

Minęło lato. Znów w ciasnem petersburskiem mieszkanku zebrało się pracowite grono. Codzień rano dwóch młodych ludzi schodziło na śnieżną ulicę, eskortując małą dziewczynkę z tornistrem książek na ręku. Doprowadzali ją do gimnazjum, a o zmroku zabierali do domu. Spieszyli bardzo, zziębnięci wszyscy troje, głodni i zmęczeni. Mniej śmiechu było wieczorami, bo Hieronim wracał późno z prywatnych lekcyj, odrabiał z Bronią jutrzejsze zadania, pomagał Żabbie, sam pracował więcej.

Przy lampie siedzieli we troje, zatopieni w nauce. Dziecko zbladło, spoważniało, pożerało wiedzę zajadle, podnosząc niekiedy z niemą prośbą oczy na przyjaciela, którego uśmiech, zawsze jasny, dodawał jej otuchy. Wówczas pochylał się ku niej i cierpliwie tłumaczył trudną kwestię, szepcząc, by nie przerywać skupienia kaszlącemu Żabbie.

A Żabba kaszlał nieustannie. Napadło go to z pierwszemi mrozami i nie chciało opuścić pomimo ziółek ciotki. Na inną kurację, a choćby na kilkotygodniowy wypoczynek, nie było środków pieniężnych i sposobu, przy małych zdolnościach biedaka.

Ślęcząc nocami nad bibułą, mozolił się, sechł i kaszlał. Za

każdym cięższym atakiem czoło Hieronima pokrywała chmura. Znajomy student medycyny mówił mu, że na to był jeden ratunek: klimat i spokój, a on, choć się zabijał pracą, nie mógł tego dać przyjacielowi.

Więc coraz częściej na twarz wesołego chłopca występowały cienie, coraz mniej się śmiał, coraz rzadziej żartował z panią Dulską i swawolił z Bronią. Z Żabbą już się nie drażnił.

Życie upominało się o swe prawa nad niefrasobliwą, śmiałą, a serdeczną duszą sieroty; roztaczało wokoło niego ponure mgły, rzucało na silne barki coraz to nowe ciężary.

Nie stało mu czasu na swawolę i wytchnienie, musiał pracować na dwoje teraz; a gdy, pomimo trudu, odzywała się ochota do żartu i gawędy, to ją zabijał kaszel Żabby, krótki, suchy, złowieszczy. Chłopiec zwieszał głowę.

Bronia była mu jedyną otuchą i pociechą w życiu, przywiązywał się do niej z dnia na dzień coraz silniej, poznał, jak drogą mu była po tym strasznym niepokoju, gdy ją mógł utracić; odtąd strzegł ją jak oka i nie opuszczał nigdy.

Rzadkie wolne chwile i święta spędzał w domu z nią, wypytując o koleżanki i strapienia klasowe, przeglądając rysunki, pomagając lepić figurki.

Koledzy śmiali się z niego, Żabba gderał, ciotka ruszała ramionami tylko, dziecko dziękowało pieszczotą, cieszyło się z owych chwil na tydzień przedtem i to go zadawalniało.

Pewnego dnia, wychodząc z instytutu, Żabba rozminął się z Hieronimem. Tłum kolegów ich rozdzielił i Litwin sam ruszył ku domowi.

Przypomniał sobie, że przyjaciel miał lekcje na mieście i obiecał wrócić późno, więc zawrócił w stronę gimnazjum po Bronię.

Przed drzwiami przybytku wiedzy było pusto. Dziewczęta już się rozpierzchły do domu, na całe dwa tygodnie. Była to właśnie sobota przed świętami Bożego Narodzenia. Żabba

wstąpił do znajomego stróża, u którego Bronia czekała czasem na przybycie opiekunów.

— Poszła już — objaśnił stróż.

— Sama?

— Nie widziałem. Wyszedłem na miasto, a kiedym wrócił, nie zastałem jej. Będzie temu pół godziny.

Litwin trochę się zaniepokoił, ale wnet pomyślał, że może Rucio go wyprzedził i wziął dziewczynkę do sklepu farb. Od miesiąca marzyła o malowaniu.

Poszedł do domu na spóźniony obiad. W mieszkaniu ciotka była sama, drzemiąca nad pończochą.

— A gdzie Bronia? — zagadnął.

— Niema jeszcze.

— A bo i w gimnazjum niema.

— Znajdzie się. Nie twój kłopot. Jedz spokojnie. Coraz trudniej zebrać was na obiad!

Litwin umilkł, ale co chwila był niespokojniejszy. Gdy skończył, zamiast wypocząć, chodził od okna do okna i mruczał. Minęło parę godzin.

— Czy to pan Hieronim dziś przyjdzie? — zagadnęła ciotka frasobliwie.

— Zaraz będzie. Poszedł na lekcje.

Żabba zapalił lampę w swojej izdebce, ale czytać nie mógł; nasłuchiwał.

Nareszcie rozległy się kroki na schodach; Hieronim wszedł, ale sam.

— Gdzie Bronia? — zawołał Litwin.

— Jakto, gdzie? Nie chodziłeś po nią?

— Owszem, ale mi powiedziano, że ty zabrałeś.

— Ja? Wszakżem ci mówił, że dziś nie wrócę, aż wieczorem. Byłem na drugim końcu miasta!

— Nie rozumiem w takim razie! Dziecka nie było u stróża, gdym zaszedł, i dotąd nie wróciła.

Hieronim zbladł jak ściana.

— Pewnie poszła sama i gdzieś zabłądziła! Gwałtu, jeszcze ją konie zatratują! Chodźmy szukać!

Poszli i, pomimo trzaskającego mrozu, szukali wytrwale do późnej nocy. Ciotka darmo ich czekała, nie pojmując nieakuratności.

Wrócili wreszcie bez tchu i sił i bez dziecka. Żabba opowiadał nieszczęście ciotce, Hieronim padł na łóżko i płakał.

Nazajutrz cały instytut wiedział o zniknięciu żony Białopiotrowicza, wiedziała policja, dorożkarze, koleżanki i profesorowie, wiedziała cała falanga młodzieży.

Przyjaciele nie jedli, nie spali, nie nocowali nawet w domu, nie szczędząc pieniędzy, próśb i starań. Daremnie!

Daremnie Rucio zwiedzał najczarniejsze stołeczne nory, daremnie policja rozesłała swoich agentów, daremnie koledzy szperali każdy zosobna.

Dziecko zginęło, jak ziarnko piasku na pustyni, bez śladu, bez wieści; została po niem garstka rupieci, kilka zabawek, figurek z chleba, rysunków i straszna pustka dla dwóch młodych, co, po dwutygodniowych poszukiwaniach, straciwszy resztę nadziei, wracali o zmroku, milcząc, do domu.

Nie tknęli jadła i, aby uniknąć ciekawości i utyskiwań ciotki, poszli wprost do swej stancyjki.

Nazajutrz upływał termin wakacyj świątecznych; zapalili lampę i wzięli się do nauki. Żaden nie myślał o kursach. Myśleli o ciemnej główce, co tyle miesięcy, pochylona nad stołem, towarzyszyła im ochoczo; myśleli o jej srebrzystym śmiechu, co rozrywał im suche formuły, o myślących, serdecznych oczętach i drobnej postaci dziecka.

Na stole walały się zeszyty i książek kilka; zda się, że wejdzie co chwila, przytuli się do Hieronima, gwarząc lub wydając lekcję, albo usiądzie koło Żabby i prosić będzie o ciekawą, straszną historię.

Po długim milczeniu obadwa podnieśli jednocześnie głowy,

spojrzeli sobie wzajem w oczy i otarli parę natrętnych łez. Tracili jedyną radość w życiu.

Tej samej nocy Żabba, wyczerpany ostatecznie, dostał pierwszego krwotoku i nazajutrz leżał bez sił, blady, zestarzały o całe lata. Hieronim poszedł sam na kursy i lekcje.

Coraz czarniej robiło się na horyzoncie biedaka. Ze wszech stron opadało go życie, owo istotne, ciężkie, straszne, jak moc piekielna; zabierało mu ufność młodości, wiarę w swe własne siły, pogodę, duszy. Bez przerwy, bez odetchnienia, spadały nań troski i bóle, zawody i choroby; nieszczęście uwzięło się by go podeptać, zdruzgotać, zniszczyć.

Borykał się z dolą, jak mógł, opędzał się od mar złowieszczych, co go i we śnie prześladowały, pracował, zamęczał się, mozolił.

Była jednak troska, której praca nie mogła zwalczyć, dla której nie było ulgi; troską tą był Żabba. Choroba piersiowa, dawna, zwalczana młodością, tajona może długo, podminowała wreszcie organizm, powaliła go, jak robak wali stuletnie sosny.

Od owego pierwszego krwotoku już nie wrócił do dawnych sił, choć po kilku dniach zaczął znów chodzić na kursy i pracować wieczorami.

Była to już daremna praca, były to już kursy bez przyszłości; wyglądał już, jakby go śmierć naznaczyła swym porządkowym numerem, już bliskim. Kto wie, może on to sam widział, choć milczał po swojemu, skulony nad pracą, to trzęsąc się z chłodu, to dysząc z wewnętrznego żaru; może jego krótkowzroczne oczy widziały dalej, niż reszta ludzi, gdy, leżąc bezsennie w nocy, patrzył błędnie przed siebie.

Nigdy się nie skarżył, nigdy, ani na ból, ani na słabość, ani na swą młodość straconą. Był spokojny, pogodny, cichy, jak zawsze.

Kto wie, może się łudził nadzieją.

Hieronima, na myśl o przyjacielu, dławiły łzy; nie mógł

patrzeć w jego wpadłe oczy, słuchać jego ciężkiego oddechu. Uciekał na miasto, sprowadzał doktorów, znosił, jakie mógł przysmaki. Doktorzy mówili: „powietrze“, inaczej petersburska wiosna go weźmie, nie zniesie podmuchów Ładogi; dawali jakieś półśrodki, które nie przynosiły żadnej ulgi, i odchodzili, zabierając ostatni grosz studenta. Żabba mruczał niechętnie na te odwiedziny.

— Dałbyś pokój, Jak zdamy egzaminy, to odpoczniemy. To mi przejdzie. Głupstwo! Jakiś ty zawsze niecierpliwy, Ruciu; chciałbyś z chorobą rozprawić się w trzy słowa. Trzeba mieć cierpliwość i czekać.

— Czego czekać? — rzucił się zrozpaczony. — Śmierci?

— Na wszystko trzeba czekać — odparł Litwin spokojnie, ostrząc ołówek bez przerwy i przykrości. — Pokolei wszystko przejdzie. A jak śmierć, to co?

Hieronim zagryzł wargi, by nie jęknąć.

— Jak śmierć, to koniec! — wyszeptał, dławiąc się łzami.

— A jak koniec, to co? — ciągnął flegmatycznie Żabba, jakby mówili o najobojętniejszym przedmiocie. — Koniec, to dobra rzecz. Od dzieciństwa koniec nas nęci, kończyć napędzają, my sami, czyśmy kiedy przestali marzyć o końcu? W każdej klasie gimnazjum, na każdym kursie, zawsze wzdychamy, żeby też prędzej skończyć. Nie tak?

— Wcale nie tak! — mruknął Hieronim. — Nie wzdycham wcale, żeby się rozstać z tobą. Ty to nie masz czucia i nerwów, tobie wszystko jedno, żyć, czy umrzeć, zostać ze mną, czy pozostawić mnie samego na świecie! Jak na złość, nie chcesz jeść, o co cię proszę, ani przestać chodzić do instytutu. Tybyś rad skończyć, wierzę!

Żabba umilkł pod gradem zarzutów. Była to jego zwykła taktyka; upór swój bezmierny krył pod tem spokojnem milczeniem. Przekonać go i uprosić nie było sposobu.

A Hieronim dzień i noc myślał o tem dobroczynnem po-

wietrzu, które miało wrócić przyjacielowi życie; myślał, gryzł się, posępniał, przeklinał biedę.

Ludzie z upragnieniem czekali wiosny, onby ją rad odsunąć na lata, wykreślić z kalendarza; wiosna nie niosła mu odrodzenia i słońca, niosła mu śmierć i zgubę.

Grosz po groszu, oszczędzając bezmiernie, nic prawie nie jedząc, nie śpiąc, chodząc prawie w łachmanach, zebrał sześćdziesiąt rubli. Więcej nie mógł.

A wiosna nadchodziła tak szybko, jak nigdy, a Żabba sechł w oczach.

Stara ciotka miała coraz częściej zapłakane oczy, szyła coś nocami. Gdy się zeszli z Hieronimem, wzdychali oboje. I ona była biedna. Żyła ze studentów, a to dość powiedzieć w Petersburgu, a jednak i ona myślała o tym wyjeździe, i ona zbierała grosz do grosza, równie z trudnością, jak Białopiotrowicz.

Na współkę mieli sto rubli.

Pewnego wieczora, w marcu, Hieronim zastał w mieszkaniu przekaz dla siebie, na ośmdziesiąt rubli.

— Co to? Skąd to? — pytał Żabby.

— Z poczty — odparł mruk.

— Któż mi może przysyłać pieniądze?

— Zobaczysz, jak odbierzesz.

Chłopiec pobiegł, ile miał tchu. W biurze, przy gazowym płomyku, przeczytał, co następuje:

„Jesteś marnotrawca i próżniak. Zrobiłeś mi kłopot z maszyną; majster wziął za jej ustawienie 20 rubli, odtrącam to od należnej ci sumy, a resztę odsyłam, wedle umowy. Drugi raz za podobne zerwanie stracisz całą zapłatę, jako karę za niesumienność. Twój dziad Polikarp Białopiotrowicz".

Hieronim, jak huragan, wpadł do przyjaciela.

— Józef, jedziesz jutro! — wykrzyknął.

— Ja? Dokąd?

— Do Krymu! Leczyć się! Mam pieniądze!

— Jakie pieniądze? Jaki Krym? — Żabba wytrzeszczył oczy.

— Krym jest jeden! A pieniądze mam!

— Et, durzysz mi głowę. Co mi tam Krym! Nie chcę!

— Józef!

Litwin zatkał uszy dłońmi, wnurzył nos w książkę. Wyglądał, jak uosobienie uporu i zaciętości.

Ale Hieronim na nic już nie zważał. Książkę cisnął w kąt, przyjaciela wziął obu rękami za głowę, przypuścił szturm do mruka.

— Bracie! Zlituj się nade mną, jeśli nie nad sobą! Daj mi tę jedną pociechę, żebym był o ciebie spokojny, żebym ciebie miał jednego! Toż ja sierota, ni domu, ni łomu, ani duszy rodzonej nigdzie. Tyś mi jeden i bratem i rodziną. Tyle lat byliśmy razem, cóżem ci zawinił, że samochcąc chcesz ginąć i mnie rzucić? Było nam dobrze razem. Życie tak przeżyjemy. Józik mój drogi, kochany, serdeczny! Zrób mi tę łaskę, jedź! Da Bóg, poprawisz się, dopędzisz te podłe kursy! Józik, nie upieraj się, zlituj się nade mną! Żebym mógł w biedzie choć ciebie mieć zdrowym!

Głowa Litwina szamotała się zrazu energicznie w objęciu przyjaciela, aż mu spadły okulary, potem uspokoił się trochę, odwracał ją tylko, by mu Hieronim nie mógł spojrzeć w oczy, wkońcu skrzywił się, zmarszczył i zaczął burczeć.

Student odetchnął. Litwin, gdy odzyskiwał mowę, tracił upór, można było trafić do jego duszy.

— Rozdepczesz okulary! — mruczał. — Już trzecia para w tym roku z twojej gorączki.

— Bierz djabli okulary! Pojedziesz, Józefie? — pytał chłopiec z serdeczną prośbą w głosie.

— Nie wiedzieć czego! Zawsze ci głupstw się zachciewa. Skąd wziąłeś pieniądze?

— Dziad przysłał. Ustawiałem mu młockarnię latem.

— Nie kłamiesz?

— A cóż, myślisz, że nie potrafię złożyć maszyny? Żebyś ją widział, jaka głupia!

— Et, bredzisz. Pewnieś krwią i potem zebrał pieniądze.

— Anim sobie na niej i palca nie skaleczył. Jedziesz, Józik?

— Sam, nie chcę!

— A jakże?

— Z tobą. Inaczej nie, nie!

— A no, to pojadę i ja! Dziękuję ci, bracie!

Uściskał Litwina z całych sił.

— Nie zaduś mnie! — burczał Żabba, wykręcając się, by kolega nie zobaczył łez, które mu się do oczu cisnęły. — Ot, lepiej podnieś okulary! Ja ci mówię, że rozdepczesz! Trzecia para!

Hieronim był już u ciotki z radosną nowiną.

Nazajutrz wyjechali na południe. Stara ciotka pobłogosławiła obu, kazała pisać często, płakała, dopóki pociąg nie zniknął jej z oczu. Wróciła ze ściśniętym sercem do domu.

Praca i jej rozrywała smutne myśli, zresztą pierwsze listy Żabby i Hieronima pokrzepiły otuchą. Przez miesiąc listy szły regularnie. Chory miał się lepiej; Hieronim znalazł jakieś zajęcie, zarabiał i tam na życie. Pisali o kwitnących sadach, o morzu pogodnem, o bogatym kraju, obiecywali wrócić po wakacjach. Staruszka była weselsza. Potem nagle, wpół lata urwały się wieści.

Tydzień, dwa, miesiąc, ani słowa; pisała — żadnej odpowiedzi, wysłała depeszę — bez skutku.

Studenterja zaczęła wracać do stolicy. Biednej staruszce zdawało się codzień, że i oni wrócą z innymi. Codzień wyglądała, słuchała znajomego kroku na schodach, cieszyła się myślą, że może listy zaginęły, lub nie pisali o powrocie, chcąc jej zrobić niespodziankę.

Niespodziankę, ha! Tak, niespodzianką była sina koperta, którą jej wręczył posłaniec z telegrafu pewnego wieczora, i niespodzianką krótka wiadomość: „Żabba umarł“.

V.

„BĄDŹ PRAWYM“.

Z tumanów mroźnej, jesiennej mgły wynurzył się pociąg na dworzec petersburski. Na ławce trzeciej klasy ostatniego wagonu siedział Hieronim Białopiotrowicz, patrząc posępnie na majaczące kontury stolicy.

Trudno było poznać swawolnego chłopca. Wychudł, jak trzaska, sczerniał, postarzał. Z bladej twarzy sterczały kości, jak u szkieleta; wesołe, jasne oczy, ledwie wyglądały z jam; poprzeczna brózda przecięła czoło, na ustach osiadł smutek i powaga.

Wyjechał młodzieńcem, wracał człowiekiem; stopień dojrzałości dała mu ta ciężka szkoła, którą każdy, chcąc nie chcąc, odbyć musi — nieszczęście.

Na dalekim krymskim wybrzeżu położył w grób jedynego przyjaciela, brata, towarzysza doli i niedoli od tylu lat, i wracał od tego grobu, przygnieciony całym ciężarem ziemi, która go na wieki z nim rozłączyła.

Za tym tumanem mgły leżało miasto, bój życiowy tam czekał samego już.

Sam nie wiedział, poco wracał i jakim cudem dobił się do stolicy. Łaską konduktorów jechał, od kilku dni nic nie jadł, w kieszeni miał dwanaście groszy: na mieszkanie, opał, światło, jedzenie i wpisowe.

Czasami brał czoło w dłonie i chciał śmierci, czasem na myśl o Żabbie płakał, to zmarszczony ponuro myślał, że niewarto być dobrym i pracować na tym świecie; resztę czasu spędzał nieruchomy, bezmyślnie patrząc na mijane krajobrazy. Głód mu odbierał resztę sił.

Ostatni wyszedł z wagonu na dworzec. Szedł jak człowiek bez celu i bez zajęcia, popychany to tu, to tam ruchem ciżby.

Koło drzwi dworca trącił wychodzącego na peron eleganckiego panicza. Obadwa spojrzeli na siebie i podali dłonie.

— Hieronim! Witam! Masz minę strasznie nieprzyzwoitą. Cóż to, z hulanki wracasz?

— Wracam z Krymu — odparł, wchodząc z kuzynkiem do sali.

— Z Krymu? Cóżeś tam robił?

— Pochowałem Żabbę.

— Jaką Żabbę? A, tego tetryka! No, mała szkoda! A teraz, co robisz z sobą?

— Nie wiem jeszcze.

— Jedź ze mną! Wyrzucę cię, gdzie zechcesz. A może u mnie się zatrzymasz? Mam pół pałacu na twe rozkazy.

— Dziękuję. Wyrzuć mnie na Sadowej!

Przed dworcem sanki Wojciecha czekały na pana. Wsiedli obaj i ruszyli. Hieronim trząsł się w swym wytartym paltocie, kuzyn opiął się szczelnie sobolami i klął klimat.

— Cóż się dzieje z tobą? — zagadnął po chwili. — Skończyłeś kursy?

— Nie zdałem zeszłorocznego egzaminu, straciłem stypendjum i rok czasu i oto wracam.

— Przy twych zdolnościach odzyskasz czas stracony.

Hieronim zaśmiał się ironicznie. Co tu mogły pomóc zdolności choćby genjalne?

— A ja, mój drogi, wypłynąłem na bystrą wodę — mówił Wojciech dalej, zapalając wonne cygaro. — Aż mi śmiech teraz, żem się tak bał dziada wtedy, pamiętasz! Aż mi lżej,

żem się go pozbył! Jestem wolny i bogaty. Trochę tu nudno w Petersburgu. Cyganki mi zbrzydły; ale latem jedziemy do Ostendy, nabiorę znów werniksu i rozerwę się; wpadnę do Monte-Carlo, odwiedzę Paryż. Ach, Paryż! Co to za miasto! Eden, mój drogi!

— A żona twoja tu?

— Tu. No, ale miodowe miesiące minęły, trzeba już świata. Nie lubimy oboje cichego życia.

Hieronim zamilkł.

— Nie widziałeś dziada? — zaczął Wojciech.

— Nie.

— Źle robisz. Zamiast biedę klepać, umizgnąłbyś się do starego, a potem, nacieszywszy się jego łaskami, naszastawszy spleśniałych pieniędzy, dałbyś kominka, jak ja! Przewietrzyłem mu sporo dukatów! Nie rozumiem twego amatorstwa nędzy! Użyłbyś życia i nie łamałbyś głowy dla kilkudziesięciu rubli. Złóż pychę z serca i szepnij staremu słodkie słówko. To wystarczy, on cię lubi.

— Ale ja go cierpieć nie mogę i nie zwykłem całować ręki, która katuje! Dam sobie sam radę.

— To istna idée fixe, ta samodzielna praca. Zobaczysz, że, goniąc tę marę, dostaniesz konsumcji. Ale, a propos głodu, czy wiesz, żem dotąd bez śniadania, a to już blisko południe. Okropność! Otóż: Sadowa. Wysiadasz? No bywajże zdrów! Jeśli ci będę potrzebny, to się nie krępuj. Mieszkam na Wielkiej Morskiej. Do widzenia !

Podali sobie dłonie i Hieronim wyskoczył.

Na Sadowej mieszkał Grocholski; spytał o niego. Don Juan i elegant przed pół rokiem się ożenił i wyjechał do Królestwa. Chłopiec powlókł się leniwie dalej do dwóch innych kolegów, lepiej znajomych. I tam go spotkał zawód.

Jeden dostał posadę na południowych drogach, drugi też wyjechał z Petersburga i zginął.

Za każdą wieścią coraz czarniej robiło się w duszy chłopca;

rok stracony wykopał mu przepaść pod stopami, koledzy się rozpierzchli, stracił pozycję i grunt.

Głód, zmęczenie i zimno odebrały mu resztę otuchy, błądził po ulicach, nie znajdując w głowie ratunku. Instynktem ściganego zwierza lub wędrownego ptaka przyszedł jednak na znaną ulicę, do starego mieszkania. Począł się mozolnie wdrapywać na schody, które lat tyle deptali z Żabbą dawniej.

Ach, dawniej biegł po nich, gwiżdżąc, skacząc co cztery stopnie; dawniej, już zdaleka bystre uszy dziecka poznawały jego kroki, biegło otwierać, wołając radośnie; za drzwiami czekały go wierne serca i serdeczne powitanie. Dziś wlókł się leniwie, ze zwieszoną głową, dysząc, z kroplami potu na czole, a tam, za drzwiami, obcy głos nucił kuplety z modnej operetki. Zadzwonił po chwili namysłu.

Odsunięto krzesło, ktoś szedł mu otwierać nie przerywając śpiewu. Głos był kobiecy, bardzo ładny, i ta, co stanęła przed nim, była piękną, dwudziestoletnią dziewczyną, z krótko obciętym włosem, binoklami na nosie i piórem za uchem.

Słuszna, zgrabna, smagłej cery brunetka, o wyzywającem, śmiałem spojrzeniu, o lekceważącym, roztropnym wyrazie twarzy. Studentka — miała wypisane na czole.

— Servus! — pozdrowiła obcego.

— Czy tu nie mieszka już panna Uziębło? — spytał Hieronim, kłaniając się lekko.

— Tu mieszkam ja, mój panie.

— Pani daruje! Wracam dziś zaledwie, a wyjeżdżając, zostawiłem tu pannę Uziębło.

— Że też wy, panowie, nie możecie nawet dopilnować adresu swych kochanek! To wstyd szukać ich po mieście!

Blady uśmiech przeszedł po twarzy Hieronima na to zestawienie pani Dulskiej i kochanki.

— Że też wy, panie, zawsze myślicie o kochaniu! — odparł. — Panna Uziębło ma, jeśli żyje, blisko sto lat.

— Ach, tak. Byłaby mocno pogłaskana moją uwagą, ale jej tu niema, niestety!

— Tak, niestety! Pani mi daruje! Żegnam!

Kiwnęła mu głową i zamknęła drzwi.

Hieronimowi robiło się coraz słabiej; ciemne płatki snuły mu się przed oczyma, pot zastygał na skroni, zaczął jednak schodzić nadół.

Na każdym stopniu ustawał, odpoczywał, chciał gwałtem stłumić słabość; przecierał oczy, oddychał z całych płuc — daremnie. Nogi się uginały, nieznośna niemoc ogarniała wszystkie członki, w głowie szumiała krew.

Zszedł jeszcze trochę, zachwiał się i upadł na schodach, jak drewno, bez czucia. Noc go ogarnęła i chłód. Stracił przytomność.

Gdy się ocknął, był wieczór. Rozejrzał się, przetarł oczy i usiadł. Był w dawnej swej izdebce, tylko, że nie stało dawnych sprzętów, a zamiast Żabby, w kącie siedział człek jakiś i jadł z miski. W pokoju panował upał tropikalny i rozchodził się silny zapach kapusty. Student leżał na tapczanie w kącie.

— Kto tam? — zawołał, odzyskując resztę pamięci.

— Stróż, Bazyli, do usług! — odparł człek z kąta, podchodząc z miską w jednej, a łyżką w drugiej ręce.

Był to chłop już niemłody, chudy, jednooki, z pozoru roztropny i dobry. Zdało się Hieronimowi, że gdzieś już widział tę twarz.

— A ja się tu skąd wziąłem? — spytał zdumiony.

— Ze schodów. Leżał pan, to podniosłem, żeby kto nie rozdeptał.

— A wy tu mieszkacie?

— Aha, tymczasem, bo mi komórkę na dole restaurują.

— Może mi pozwolicie zostać tu na noc, bom słaby. Za kawałek snu oddałbym kawałek życia.

— Jużbym nawet pana nie wypuścił. Straszny dziś mróz

i dochodzi północ. A zostać, to może pan choć na zawsze, byleście mieli papiery w porządku. Mnie w takim dużym pokoju czegoś straszno. Będę wam rad. Możeście głodni?

— Nie dziękuję!

— To zjedzcie na zapas! Ot, macie! Mam dziś nocny dyżur, zaraz pójdę. Śpijcie spokojnie! Musiał się pan strasznie czegoś zmordować, a młode, to jeszcze słabe. Jedzcie, panie, ja wam rad daję...

Postawił przed chłopcem jadło i małą lampkę, sam się odział w dwa kożuchy i wyszedł, życząc gościowi dobrego snu.

Niktby delikatniej nie zaofiarował pomocy. Hieronim myślał długą chwilę; posiłek pokrzepił go, rozejrzał się wokoło, potem spojrzał w okienko i coś szepnął niewyraźnie.

Potem się przeżegnał i położył. Czuł w tej chwili Boga nad sobą. Ktoby mu powiedział, gdy leżał na schodach, że nie zginie marnie z głodu, zimna i wycieńczenia? Bóg był nad nim. Musiał długo spać, bo się obudził rzeźki i wesół. Wstał, ubrał się, zeszedł nadół, szukając swego dobroczyńcy, by mu podziękować. Jednooki widocznie śledził go, bo ledwie pokazał się na dole, nadbiegł kłusem z końca podwórza.

— A skąd to pan idzie?

— Szukałem was, by podziękować. Uratowaliście mi życie! — rzekł, podając mu rękę.

— To chwała Bogu! Niechno tylko pan jeszcze nie wychodzi, bo słaby, a zimno. Ja zrobię, co potrzeba.

— Oj, kiedy mi wiele potrzeba, czego wy nie zdołacie zrobić.

— Proszę przecie powiedzieć. Może lekcyj?

— I lekcyj też.

— Tu jest urzędnik na rogu, co dla swych chłopców potrzebuje studenta. Ja pana zaprowadzę.

Po godzinie wracali z dobrym rezultatem. Chłopiec miał kilkanaście rubli zadatku w kieszeni, wróciła mu otucha, a nowy opiekun dodawał ochoty, radził cieszył.

— Gospodarz da stancję, nie wymagając zaraz komornego, tymczasem pan pomieszka ze mną — mówił, wtajemniczony już w kłopoty lokatora. — Trzeba tylko do instytutu się dostać.

Ale tam znano Hieronima, zrobiono miejsce, profesorowie się za nim wstawili, i po tygodniu w dawnej izdebce dwóch przyjaciół paliła się lampa, oświetlając jasnowłosą głowę chłopca, schyloną nad technicznym rysunkiem, tak, jak dawniej, tylko że sam był teraz i sam miał pozostać, nie wróci już tych dwoje, co z nim pracowali niegdyś, nie wróci.

I nie wróciła też, pomimo wznowionej nadziei i pracy, wesołość. Już mu swawola nie postała w myśli, a żart na ustach; ścichł, spoważniał, nie szukał towarzystwa wśród kolegów, nie wybierał druha, nie dokazywał po kursach, nie śpiewał.

Pracował bez chwili rozrywki i wytchnienia, i tylko niekiedy podnosił smutne oczy na puste miejsce naprzeciw i wzdychał. Ból go chwytał za gardło, żałosna tęsknota za przyjacielem ogarniała duszę. Żył z umarłymi. Skąd miał być wesół?

Odnalazł wreszcie panią Dulską — na klepsydrze pogrzebowej, i odprowadził poczciwą opiekunkę sam jeden na cmentarz. Była to niedziela.

Zabawił godzin parę wśród grobów, rozmyślając smutno. Ileż-to on już sam osób i uczuć pochował, a miał zaledwie 22 lata?

Nieoceniona praca. Pochłaniała smutki i biedę, i myśli złe, co z niedolą opadają człowieka, dawała siły i nadzieję, hartowała go na życie.

Pracował dni całe, nieraz i nocy większą część, pożerał wiedzę, przygotowywał się do ostatecznego egzaminu. Żeby tylko ten rok przetrwać!

Potem otwierały się przed wyobraźnią biedaka szerokie

horyzonty: pyszne posady, dobrobyt, bogactwo, sława. Szumiało mu w głowie.

Po miesiącu stróż przeniósł się do komórki, gospodarz zgodził się czekać na komorne, student został prawym posiadaczem izdebki, kulawego stołu, drewnianego krzesła i tapczana z garścią słomy. Była to spuścizna po Bazylim, który często zachodził do chłopca, nieproszony spełniając drobne usługi; czasem nawet wieczorem siadywał w kącie, ćmił lulkę i patrzył na młodzieńca. Spojrzenie było dziwne, ojcowskie prawie, pełne serca.

Oprócz niego i kilku kolegów nikt w izdebce nie przerywał skupienia nauki. Zato u sąsiadki za ścianą panowała codzień wrzawa. Do późnej nocy pito tam, tańczono, grano, śpiewano; studenci chodzili tłumnie do pięknej koleżanki. Prowadziła wesołe życie.

Koledzy często namawiali Hieronima, ale się wymawiał. Łatwość w miłości zniechęciła go. Nie lubił tego rodzaju kobiet i stosunków.

Spotykał dziewczynę często na ulicy lub na schodach, kłaniał się tylko, nie mówili z sobą nigdy.

Czasem z za ściany dochodziły go urywki rozmów, śmiechy, dwuznaczne dowcipy. Marszczył się. Przykro mu było, że izdebka staruszki i Broni taką miała lokatorkę, ale znosił cierpliwie roztargnienie i hałas, byle nie zmieniać mieszkania.

Pewnego wieczora wrzawa była jeszcze większa, niż zwykle, student był zły i zniecierpliwiony; gdy ucichło, zaczął się uczyć, chcąc odzyskać czas stracony.

Wtem zapukano do drzwi.

— Czego tam chcecie? — spytał niechętnie.

— Żebyście otworzyli — odparł niecierpliwy głos sąsiadki.

Spełnił żądanie. Zajrzała do wnętrza.

— Stróża tu niema? Wszak tu mieszka?

— Tu mieszkam ja, pani. Czem mogę służyć?

— Niech mi pan wyrzuci tego pijaka za drzwi! — rzekła, cofając się do swego mieszkania.

— Jakiego pijaka?

— A tego oto, na kanapce. Wszedł tu nieproszony i ani myśli ustąpić. Obmierzłe próżniaki!

— Nacóż go pani wpuściła? — mruknął.

— Daj mi pan spokój z morałami!

Hieronim przystąpił do kanapki. Spał na niej bez ceremonji młody medyk, czerwony jak rak. Student wziął go na plecy. Innego sposobu nie było.

— O, jaka siła! A gdzie go pan niesie?

— W najwłaściwsze miejsce, do rynsztoku!

— Olszyc w rynsztoku! Tableau! Jak się dowie, że go tak sponiewierano, gotów pana zabić!

— To mnie najmniej obchodzi! — odburknął.

— Oho, pan nie zna Olszyca!

— Mała szkoda! Niech pani drzwi zamyka, bo zimno.

W pokoju kłębił się dym z tytoniu i para ponczu. Dziewczyna była zarumieniona, oczy jej błyszczały jak węgle. Patrzyła za nim.

— Byle go nie roztratowano! — rzekła.

— Bądźcie spokojni!

Zaśmiała się i wróciła do mieszkania.

Hieronim położył śpiącego pod ścianę domu i zasiadł znów do nauki. Nie podziękowała mu, ani się odezwała więcej.

Nazajutrz, wracając z kursów, Hieronim spotkał w bramie kilku medyków, z czapkami na bakier, a zuchwalstwem na twarzy. Wczorajszy pijak stał na czele.

— Jak się pan nazywasz? — spytał obcesowo.

— A panu co do tego? — odparł Hieronim hardo.

— Bardzo mi do tego, boś mnie pan obraził wczoraj! Chcę satysfakcji!

— Doprawdy! Jakżem to pana obraził?

— Jakiem prawem wyniosłeś mnie pan na ulicę?

— Prawem pańskiej bezwładności, a mojej siły!

— Jakiem prawem nachodzisz obce mieszkanie i wtrącasz się w moje prywatne sprawy? Ja cię nauczę bałamucić mi dziewczynę, intrygancie! Chcesz być obitym?

— Chcę, żebyś się pan umiarkował w wyrażeniach i nie krzyczał tak, bom nie głuchy! Ta pani kazała mi waści wynieść z pokoju, boś był pijany!

— To i co, żem był pijany? Mam prawo pić, gdzie mi się podoba, tem bardziej u swojej kochanki! A panu co do tego?

— Nic! Nikt panu prawa pić nie przeczy, ale też nikt nie zabroni wyrzucić pijaka, gdy pani domu dokuczył.

Olszyc chciał coś odrzec, ale w tejże chwili postać jakaś z głębi sieni przyskoczyła do niego i wymierzyła mu policzek. Stracił głos.

— Masz! — rozległ się głos studentki. — Żebyś mi burd nie zaczynał! Ja ci pokażę prawo, pijaku! Ja cię nauczę wykrzykiwać moje imię wśród tych burd! A wy tu czego, reszta? Gromadą napadacie na jednego, zbóje! Precz mi stąd i ani łapą do mnie!

Olszyc oprzytomniał, uśmiechał się przez zęby.

— Medycy wychodzą z mody, ha, ha! Podobał się białowłosy niedorostek, podobny do kościotrupa! Winszuję zdobyczy, tyczko miernicza! Nadgraniczna prowincja! Kto żył, pustoszył, ha, ha!

Teraz już Hieronim stracił cierpliwość. Porwał medyka za kołnierz, obrócił jak frygę i cisnął z bramy w ulicę.

Koledzy poszkodowanego rzucili się na pomoc. Tu już wynikła formalna bójka na pięści. W ciemnej sieni zakotłowało, jak w garnku, i niewiadomo, czyby Hieronim wyszedł żyw z rąk ośmiu, gdyby stróż, widząc, na co się zanosi, a nie chcąc alarmować policji, nie wytoczył sikawki i w kłąb walczących nie puścił strumieniem lodowatej wody.

Po chwili na pobojowisku zostali: Hieronim, studentka i stróż, klnąc awanturników. Reszta uciekła przed kąpielą.

Chłopiec zmarszczony, zły, wyminąwszy dziewczynę, wbiegł na schody. Zatrzymała go u drzwi.

— Przepraszam pana i dziękuję — rzekła zmienionym głosem, podając mu rękę.

Promyk różowej lampy przez szczelinę drzwi padł jej na twarz. Wskutek oświetlenia, czy podniecenia wydała mu się nad wyraz piękną i, co gorsza, niesłychanie ponętną. Miała na ustach i w oczach niebezpieczny, drażniący urok; zmieszał się po raz pierwszy w życiu przed wzrokiem kobiety.

Przykre wspomnienie awantury rozwiało się jak sen pod tem zupełnie nowem wrażeniem. Jakiś dziwny niepokój ogarnął mu duszę.

Wziął podaną rękę i uścisnął lekko.

— Nie ma za co pani ani przepraszać, ani dziękować — rzekł, opanowując się po chwili, już zupełnie chłodno. — Ten pan sam się nie szanuje, więc też nie uszanuje nikogo. Uważam go za niegodnego dalszej wzmianki i pamięci.

— Łotr! — umruknęła przez zęby. — Ciekawam, co też pan myślał o mnie, słuchając go.

Chłopak zawahał się chwilę.

— Szkoda mi pani było. Trzeba wybierać ludzi. Nie dawać się takim na poniewierkę.

Zaśmiała się dziwnie i, zmieniając nagle ton, spytała, wpatrując się weń:

— Panu na imię Hieronim, podobno?

— Hieronim Białopiotrowicz.

— Powinno być Hieronim Savonarola. Kobiety wszystkiegoby się wyrzekły dla pana, a mężczyźni przez zawiść upieklibу pana żywcem.

— Miła perspektywa! — uśmiechnął się — Mieć tłum kobiet, to zbytek, a stos — niezabawny kres życia. Nie zazdroszczę imiennikowi honoru!

— Ale panu będą zazdrościć.

— Winszuję, jest czego! — szepnął gorzko.

— Vederemo! — uśmiechnęła się po swojemu, zagadkowo, niknąc w głębi mieszkania.

Nazajutrz już na progu instytutu koledzy przywitali Hieronima śmiechem i setką konceptów.

— Ostro obszedłeś się z medycyną!

— Oho, nie chciałbym rywalizować z tobą! Cicha woda z ciebie!

— Jesteś tedy pasowany na rycerza pięknej Afry!

— Co za Afra znów? — zawołał oszołomiony.

— A no, twoja sąsiadka!

— Nawet nie wiem, jak się wabi! Afra! A toby było w guście dziadunia! Pogańskie akuratnie!

— Co ty tam prawisz o guście dziadunia, kiedy tu o twoim mowa? Nie pomogło odżegnywanie złego ducha. Na kogo ona parol zagnie, ten jej nie ujdzie.

Chłopiec zatkał uszy dłońmi.

— Gwałtu! Bierzcie ją sobie, a mnie zostawcie w spokoju!

— Ejże! Znasz Afrę, to już tam ze spokojem krucho. No, no, nie zapieraj się! Przyszła kreska.

— A no, to cicho, dosyć! Jest o czem mówić tyle! Żebym ja tyle o was mówił, tobym dostał astmy. Chodźmy do sali!

Tak, ze spokojem studenta było krucho. Gdzieś go odleciał nagle i nie wracał. U sąsiadki było cicho, nikt nie przychodził; naukę Hieronima przerywał tylko śpiew cichy, lub delikatne dźwięki pianina.

Pomimo to uczyć się nie mógł: drżał na każdy szelest za drzwiami, słuchał pieśni i tonów; w nocy niepokój go męczył i nieokreślona tęsknota. Zrobił się roztargnionym, nieuważnym, czasem niecierpliwił się i gniewał bez przyczyny, czasem napadały go wybuchy wesołości.

Raz, wracając z lekcji, posłyszał za ścianą dawny gwar. Posłuchał chwilę, zaklął i uciekł z mieszkania wściekły. Czego? Nie potrafiłby określić.

Przez tydzień nie wrócił do domu. Tułał się po mieście,

nocował u kolegów; wreszcie wmówił w siebie, że musi Bazylego uspokoić, i wrócił.

Cicho wsunął się do mieszkania, zapalił lampę, usiadł do roboty, kopcąc papierosa.

Po chwili zapukano do drzwi.

Milczał i nie poruszył się.

— Otwórz pan! — zawołała Afra niecierpliwie.

Opieszale obrócił klucz w zamku i ukłonił się, milcząc.

— Po tygodniu hulanki wracasz pan przecie! Życie arcymoralne! Coby to pana święty imiennik na to powiedział?

— Nie wspominajmy lepiej o cnotach w tej okolicy! — mruknął. — Czem mogę pani służyć

— Niczem! Chce mi się tu czytać. Możesz się pan o mnie nie kłopotać. Zostanę, póki mi się podoba.

Stół ich dzielił tylko. Usiedli, ale Hieronim nie mógł skupić uwagi nad matematyką. Dziewczyna siedziała na miejscu dziecka, pochylona, wnurzywszy rękę w ciemne, bujne włosy; nie miała swych impertynenckich binokli.

Szafirowe oczy chodziły po kartkach książki, koralowe usta poruszały się niekiedy.

Gdzie spojrzał, czy oczy zamknął, twarz ta urocza stała mu ciągle w pamięci, mąciła rozum, odbierała resztę siły woli. W duszy szalała burza.

Kobieta wchodziła do niej po raz pierwszy w życiu, niosła jak zwykle z sobą niszczące, gorące tchnienie afrykańskiego samumu.

Czyż miał swe całe, dotąd nietknięte serce rzucić jej pod nogi i zostać tysiącznym kochankiem?

Zakrył dłońmi oczy i myślał, szamocąc się z samym sobą.

Nagle gałka z papieru, celnie rzucona, trafiła go w czoło i rozległ się szalony śmiech dziewczyny.

— Cóż panią tak bawi? — spytał, brwi marszcząc.

— Pańska mina natchniona. W głowie pewnie się rodzi minerwa!

Uśmiechnął się. Inna bogini wkraczała do niego, nie mająca żadnej z rozumem styczności.

— Ale kiedy się pan nie uczy, to proszę mnie bawić!

— W jaki sposób?

— Ano, gawędką. Co pan porabiał przez ten tydzień?

— To samo, co zawsze.

— Dawniej pan domu pilnował.

— Zaraziłem się od innych cyganerją.

— Winszuję. Jabym na pana miejscu wolała być szukaną, niż szukać.

— Szukając, słuchamy własnego gustu, i to lepsze.

Spojrzała mu w oczy, jakby chcąc zbadać, czy nie było dwuznacznika w tem, co mówił, ale twarz studenta była poważna i smutna. Zaśmiała się i, przeskakując po swojemu do całkiem innego przedmiotu, spytała:

— Czy lubi pan śpiew?

— Jak kiedy i jak jaki.

— Mój, teraz.

— Niebardzo. Sprawi mi roztargnienie.

— Ah, Savonarolo, miewasz tedy czasem roztargnienia. No, to dlatego właśnie będę śpiewała.

Śpiewała. Ballada to była cygańska o wielkim, gorącym kochaniu, rozmarzająca i namiętna. Głos dziewczyny to szalał, to cichł, chwilami się łamał i drżał, jak zbyt naprężona struna. Student słuchał.

Wspomnienie przyjaciela, dziecka, matki, ciężkie życie, praca, poczucie wyższe, usuwało się wszystko w głąb przed tą nową potęgą; cypryjska bogini wabiła go wiecznie nową, a tak pospolitą bajką młodości.

Zapalił papierosa drżącą ręką i chodził po izbie podrażniony, a jednak smutny.

Wtem śpiew urwał się wśród taktu. Studentka wstała gwałtownie i uciekła do siebie, zatrzasnąwszy drzwi z hałasem. Hieronim po chwili zapukał.

— Nie można! — odparła kapryśnie.
— Pani zostawiła książkę.
— Niech sobie leży!
— Dziękuję za piosenkę.
— Obejdzie się bez podziękowania. Śpiewałam dla siebie.
Pierwsza to była noc bezsenna dla chłopca.

Zmęczony, słaby, z gorączką wewnętrzną poszedł na kursy. Nie mógł ani uważać, ani się bronić przed żartami kolegów, on, taki dowcipny i sprytny; lekcje prywatne odbył nawpół przytomny. Chciał wracać do domu i bał się, że nie wytrzyma i pójdzie do niej, jak inni. Dla otuchy zaprosił z sobą kolegę już żonatego. Idąc, rozmawiali o parowych motorach.

Nagle na pół drogi jednokonka podbiegła pod sam chodnik i dźwięczny głos zawołał Hieronima.

Stanęli. Siedziała w sankach, zarumieniona od chłodu, uśmiechnięta napół szyderczo .

— Hej, Piotr! — zainterpelowała starszego. — A ustąp-no mi swego towarzysza na dzisiejszy wieczór!

— A czy wiesz, że ci zechce towarzyszyć?

— Nie twój kłopot. Wracaj do żony! Nam wolnym daj żyć! Twoje minęło.

— Ej, Afra! Doigrasz się ty biedy! Trafisz na swego.

— Już może trafiłam! Daj mi go tu!

Hieronim cofnął się o krok.

— Siadaj pan! — zawołała niecierpliwie — Pojedziemy na spacer!

— Daleko? — spytał. — Bo mam dużo zajęcia na wieczór.

— Chodź tu bliżej, to powiem tę tajemnicę, żeby tamten nie słyszał.

Zbliżył się. Pochyliła się do niego.

— Jedź! — szepnęła, dotykając ustami jego skroni.

Wskoczył do sanek bez wahania.

Kolega się zaśmiał.

— Romulus nie miałby teraz kłopotu z Sabinkami! — krzyknął za nimi.

Tamci milczeli. Dokąd jechali, nie troszczył się Hieronim. Już nie walczył z wrażeniem, dawał się pociągnąć, coś mu szeptało, że miał, jak inni, prawo do miłości, mógł kochać, jak reszta ludzi.

Szybka jazda i mróz otrzeźwiły go trochę. Gdy stanęli, rozejrzał się wokoło. Byli przed jedną z owych zimowych, pysznych restauracyj, w które obfituje Petersburg.

— „Pod zwrotnikiem" — rzekł, uśmiechając się. — Pani lubi palmy?

— Lubię upał — odparła.

Sięgnął do kieszeni, chcąc zapłacić woźnicę, ale wstrzymała go ruchem i wściekłym spojrzeniem.

— Nie należę do pana, żebyś za mnie płacił. Ja dziś ugaszczam! Sanki będą czekały na nas! Chodźmy!

Weszli pod rękę. Setki osób roiły się po salonach. Tu obiadowano, tu tańczono, tam grano w karty. Cygańska trupa śpiewała chórem, gdzieś dalej grała orkiestra; wśród tego ścisk, gorąco, wrzawa kilku języków, brzęk oficerskich ostróg, śmiechy kobiet, szczęk szkła, strzelanie korków od szampana.

Nasza para szła dalej, niepostrzeżona w tłumie.

— Widzi pan Olszyca przy zielonym stole? — rzekła zcicha, pokazując mu czterech karciarzy w kącie.

— Widzę — odparł lakonicznie.

— Nie spotyka go pan nigdy?

— Nie pamiętam. Czy tu zostaniemy?

— Pójdziemy dalej. Chce mi się dziś ciszy i spokoju.

Zeszli nadół. Mniej było światła i wrzawy, znajdowali się w zimowym ogrodzie.

Hieronim znał to miejsce. Grupa palm i paproci tropikalnych, fontanna w gęstwinie wodnych roślin, rozrzucone tu i tam siedzenia i stoły.

Wilgotna atmosfera cieplarni łączyła się z odgłosem mu-

zyki, lampy drżały jak gwiazdy wśród zieleni, gwar dochodził stłumionem echem. Wodotrysk szemrał monotonnie. Kilka osób snuło się jak duchy po zakątkach, lub gwarzyło w cieniu fantastycznym.

I oni usiedli na jednej z oddalonych ławek; na skinienie studentki lokaj postawił przed nimi gorący poncz i papierosy, i odszedł dyskretnie. Dziewczyna zdjęła okrycie i futrzaną czapkę, podała mu kieliszek.

— Dobrze tu! Wypij pan za moje zdrowie!

Spełnił rozkaz bez wahania. Poncz wypędził mu krew na twarz, a ogień do oczu.

Studentka umoczyła tylko usta w kieliszku.

— Lubi pan pić?

— Niebardzo.

— A bawić się?

— Zapomniałem o tem.

— Cóż więc pan robi z życiem?

— Pracuję.

— Tylko? Niema pan rodziny?

— Nikogo.

— Cóż więc pan lubi wreszcie? Nic?

— No, nie! Tylko to, co lubię, za daleko, za wysoko, a dogadzać sobie nie mam możności. Jestem biedny i sierota. Co mnie cieszyło straciłem. Boję się teraz do czego przywiązywać, by nie cierpieć.

— Nawet kochać pan nie chce?

— Kochać nie można wedle woli. Przychodzi miłość i bierze nas sobie, choćbyśmy walczyli całą mocą.

— Czy pan to mówi z teorji, czy z praktyki — zagadnęła głucho.

— Z praktyki — rzekł, siląc się na uśmiech.

— Pocóż walczyć? — szepnęła.

— Żeby nie tracić i nie cierpieć — odparł.

— To pan nie wie, co jest miłość, gdy nożesz rozumować.

Odrzuciła głowę na poręcz siedzenia i patrzała zadumana w cienie palm. Twarz jej się mieniła tysiącem wrażeń. Nieprzeparta siła zmuszała pątrzeć na nią, upajać się czarem, odurzać ostatecznie. Nagle wzrok ich się spotkał, stopniał razem, zamigotał skrami.

Powoli pieszczotliwym ruchem przechyliła się ku niemu, aż ciemna główka dotknęła ramienia, oczy zaszły mętnym cieniem.

— Czy pan mnie kocha? — szepnęła z ustami koło jego ust.

— Szalenie! — wyjąkał w pocałunku, biorąc ją w objęcia i cisnąc namiętnie do piersi.

* * *

Bazyli, stróż, daremnie pukał do izdebki, daremnie wyglądał lokatora, daremnie wypytywał, czy go kto nie widział. Wieczór minął, dochodziła północ. Nie śpieszyło się studentowi ani do obiadu, ani do nauki, ani do snu.

Bazyli siadł w bramie i czekał cierpliwie, tupiąc nogami od mrozu i uderzając rękoma. Miał widocznie do Hieronima ważny interes. Na dźwięk dzwonka skoczył żywo otwierać; chciał gderać, ale przed winowajcą szła dziewczyna i powitała jednookiego wesołym uśmiechem.

— Kogo to wyglądacie do tej pory?

— Tych, co o tej porze wracają — odburknął.

— Dobry wieczór panu!

— Jak się masz, Bazyli!

— Proszę na chwilę wstąpić do mnie. Mam interes.

— Czy bardzo pilny? Może jutro go załatwię. Chce mi się spać, stary.

— Uhm, spać! — mruczał stróż, zamykając furtę. — Czeka na pana obiad!

Studentka pobiegła na górę. Chłopiec patrzył z utęsknieniem na schody, ale Bazyli zastąpił mu drogę.

— Nie głodnym!

— Czeka też na pana list z czarną pieczątką.

— A to niech sobie czeka! Jeśli kto umarł, to go nie wskrzeszę ani dziś, ani jutro. Puść mnie!

— Nie puszczę. Pan zje obiad, przeczyta list, będzie czas na sen. Nie trzeba było tak późno wracać.

— A bodajeś przepadł z twoim listem i obiadem! — wybuchnął zniecierpliwiony.

— Niech tylko panicz przeczyta i zje!

Burcząc, wszedł chłopiec do komórki. Chciał się prędko pozbyć interesu, ale człek marudził, tupał, zastawiał ucztę, gawędził. Hieronim gryzł ze złości usta.

Po obiedzie, którego ledwie dotknął, Bazyli dobył list. Miał na sobie istotnie czarną pieczątkę i adres pisany dobrze znaną ręką dziada Polikarpa.

Student skoczył, jakby węża nadeptał.

Koperta poleciała w szmaty. List był jak zwykle krótki, lecz dosadny:

,,Kiedyś, będąc u mnie, zdało mi się, że szanujesz pamięć matki. Odzywałeś się o niej z szacunkiem, zaczepiony, broniłeś jej zażarcie. Przypominam ci to, bo jestem pewny, że, zajęty będąc romansem z awanturnicą, zapomniałeś o niej i może ci już nic nie zależy na przeniesieniu jej zwłok do grobu rodzinnego, o coś mnie prosił wtedy. Jeżeli rozpusta nie zatarła (o czem wątpię) w tobie tego ostatniego wspomnienia, to odpisz mi, czy chcesz, by, wedle ostatniej swej woli, spoczęła obok mego syna w Tepeńcu. Sądzę jednak, że już teraz nic nie szanujesz, nic nie pamiętasz, o nic nie dbasz, tylko o dogodzenie swym zachciankom. Zatem odpowiedzi się nie spodziewam''.

Hieronim, klnąc, schował list do kieszeni i wyszedł. Zawrócił na górę, ale już nie biegł. Krok mu wolniał. Na pierwszym skręcie stanął, oparł się o uszak okna, wychodzącego

na podwórze, i wpatrzył się posępnie w czerwony odblask zorzy północnej.

Co mu się stało? Szalał przed chwilą do niepamięci; wszystkie, ile jest strun młodości, grały mu hymn kochania, serce mu skakało weselem; nagle hymn się zmieszał, zamiast rozkosznych tonów, struny zajęczały dysonansem. Słyszał już nie głos dziewczyny, nie słowo namiętne — z dna duszy wybiły się na wierzch, zgłuszyły resztę, dotknęły go jak grom dwa wyrazy: ,,bądź prawym, bądź prawym!"

Słyszał je, jakby brzmiały jeszcze echem, jakby dopiero wyszły z ust konającej; słyszał je i wzdrygnął się jak winowajca na wspomnienie krzyku ofiary...

,,Bądź prawym, bądź prawym!"...

I on zapomniał. Matka zostawiła mu legat pośmiertny, nie dotrzymał; dała sierocie jedyny skarb, a on go zgubił — sponiewierał spuściznę.

Zbladł jak ściana, o którą się opierał, i bardzo, bardzo nisko zwiesił głowę; ale był młody, podniecony, więc się buntowało coś wewnętrz i szeptało: wszakże ja kocham, czy mi kochać nie wolno? Ale wspomnienie powtarzało uparcie:

— Bądź prawym! Jutro już nie spojrzysz śmiało, będziesz złodziejem! Nie kocha ten, kto poniewiera!

Tak, poniewierką był taki stosunek, poniewierką uczuć, duszy, własnego sumienia. A potem...

Matczyna dusza zapłacze nad synem i we śnie już nawet do niego nie przyjdzie; sponiewierał jej pamięć, zapomniał ostatniej prośby.

Chłopiec zatoczył się jak pijany; jęk mu się z piersi wydzierał, a potem rękoma wziął się za bijące skronie i załkał.

A głos w duszy już nie groził, nie wyrzucał, ale prosił coraz łagodniej i słodko:

— Bądź prawym, dziecko, bądź prawym!

Cofnął się napowrót do sieni, zapukał do stróża.

— Otwórzcie mi, Bazyli. Muszę iść.

— Chryste! Co panu? Słabo, czy co? Dalibóg, nie puszczę! W taki mróz, nocą, śmierć pewna!

— Nie, pójdę do siebie — mruknął stłumionym głosem.

— To niech pan u mnie zostanie! Z troską, czy z weselem, zawszem panu rad. Ot, posłanie gotowe. Połóż się pan, wypocznij! Smutek minie, panie. Będzie jeszcze dobrze, boś sprawiedliwy.

Hieronim nie słyszał pieciechy; siadł na zydlu i przebył tak do rana bez wytchnienia.

Była to najcięższa noc, jaką spędził.

Nazajutrz, zamiast iść do instytutu, poszedł na górę, do drzwi studentki.

Wszedł, drżąc nerwowo.

Cofnęła się na jego widok, jak stróż w nocy.

— Człowieku, do czegoś ty podobny! Z grobu cię odkopano! Gdzieś był noc całą?

Uśmiechnął się z wysiłkiem; przystąpił bliżej, wziął jej rękę i pocałował. Cofnęła się szybko.

— Czyś zwarjował? — rzekła, uśmiechając się. — Mojej ręki nikt jeszcze nie całował.

— Bo może jeszcze nikt nie prosił o nią, co ja czynię w tej chwili.

— Co takiego?

— Chcę się ożenić z panią, jeśli zezwolisz. Kocham cię!

Dziewczyna zmierzyła go osłupiałym wzrokiem od stóp do głowy.

— Kochasz? Żenić się? Co to wszystko znaczy? Tyś się upił chyba?

— Nie, pani, jestem trzeźwy i przytomny. Oddaję w pani ręce swe serce i honor. Chcę cię kochać, pracować dla ciebie, iść razem przez życie, śmiało wobec ludzi i Boga. Chcę cię posiadać, nie jak złodziej, chcę szanować ciebie i siebie.

Mówił to niegładko, jąkając się, ale miał prawdę w oczach, a na bladej twarzy powagę przebytej walki i zwycięstwa. Pa-

trzała nań, nie rozumiejąc jeszcze. Takiej mowy nie znała. Nagle parsknęła śmiechem:

— Ha, ha, ha! Pyszny jesteś! Żenić się ze mną! Jakto? Myślisz, że ja dla ciebie poświęcę swą swobodę, niezależność, zabawę, młodość? Że będę ci hodowała dzieci i gotowała jeść, a za całą uciechę słuchała wrzasku niemowląt? Oszalałeś, człowieku! Czyś nie słyszał mojej zasady: lepszy najgorszy kochanek od najlepszego męża! Ha, ha, ha!

— Kochankiem pani być nie chcę, bobym przez to okazał, że siebie przenoszę nad ciebie. Nie zejdę do poziomu Olszyca!

— A ja ciebie za męża nie chcę! Wyperswaduj sobie to a b s u r d u m! To przechodzi moje siły!

Spojrzał ponuro na nią. Złe słowo miał na myśli, ale się pohamował, ukłonił i wyszedł.

Nie ocenia szacunku, zasad moralnych nie posiadała żadnych, i on ją pokochał pierwszą miłością! Poszedł zgnębiony na kursy.

Przez jakiś czas stosunki zerwały się zupełnie. Spotkawszy, nie odpowiadała na jego ukłon, traktowała jak obcego.

Pewnego razu posłyszał za ścianą głos Olszyca i jej wesoły śmiech. Krew mu zalała twarz.

— Nikczemna! — zamruczał z bezmierną pogardą.

Tak, Olszyc wrócił, a z nim wróciły hałaśliwe wieczory, z całym kompletem pijatyki, grubych żartów, dzikich śpiewów, kłótni i łajania.

Było to jednak najlepszem, bolącem lekarstwem na serdeczną ranę studenta. Otrzeźwiał.

Dawniej kobiet nie znał, żeby nie wspomnienie matki, toby niemi pogardzał.

Zaniedbana ostatniemi czasy praca dokonała reszty, czas zatarł pierwsze wrażenie, nadchodziły egzaminy. Natłok zajęcia wyrwał go z błędnego koła tęsknoty, żalu i zobojętnienia. Nie siadywał wieczorami samotnie w domu, nie wzdy-

chał; szedł do kolegów na ogólne mieszkania, odzyskiwał dawną werwę i żywość.

Znów, jak przed laty, kupiła się młodzież wokoło niego, pracowano tęgo, bawiono się ochoczo, tworzono plany na przyszłość.

Raz na podobnem zebraniu spotkał się Hieronim z Olszycem i musiał być zupełnie wyleczony z miłości, bo na ukłon rywala odpowiedział okłonem. Szczęśliwy rywal zaczepił go pierwszy.

— Pana mieszkanie stoi pustkami — rzekł

— To pewne, żeście nawet szczury z niego wypłoszyli! — odparł swobodnie. — Jeśli jaki został, to niezawodnie dogorywa na nerwową gorączkę!

— Dawniej panu hałas nie szkodził?

— Nie miałem egzaminów na karku. Przysięgnę, że z was żaden nie przebrnie tego Rubikonu!

— Mniejsza! Za to jesteśmy kochani! — uśmiechnął się triumfująco medyk.

— Nie wiem co ma wspólnego miłość z pijatyką! Państwo urządzacie wieczornice z Łysej Góry!

— Ach panie! — rzekł Olszyc z cynicznym grymasem. —

— Winszuję upodobania! — odparł Hieronim, ruszając ramionami. — Rad jestem ze swej czarnej polewki, kiedy tak.

— Jeżeli panu nie dogadza mieszkanie, tobym je wziął dla siebie.

— I owszem. Oto klucz! Garść mych rupieci proszę odesłać tu. Życzę panu powodzenia!

Medyk podał rękę, ale Hieronim nie zauważył tego ruchu i odszedł.

— Oto się dopiero będą na wyścigi poniewierać w tak bliskim sąsiedztwie! — pomyślał z goryczą.

Miłość jego przeszła wszystkie fazy, końcową był wstyd.

Mijały tygodnie. Nadeszły ostatnie egzaminy. W studenckim świecie zrobiło się cicho. Wszystkie twarze miały wyraz

zmęczenia, niepokoju i oczekiwania. Próżniacy drżeli przed rezultatem.

Przyszedł wreszcie ów dzień sądu.

Hieronim, idąc z innymi po swe losy, dowcipkował:

— Staniemy po prawicy i lewicy! Będzie płacz i zgrzytanie zębów! Ach, oj, czuję w powietrzu woń siarki piekielnej! Ach, bracia, nie opuszczajcie mnie w złej chwili! Złóżmy razem wizytę w kraje potępienia!

— Nie bredź, prawica ci się należy!

Tak, mieli słuszność. Hieronim Białopiotrowicz dostał dyplom z odznaczeniem.

I oto stała przed nim droga otwarta. Dobił celu.

Dziwna rzecz. Ten koniec, o którym tyle lat marzył, nie olśnił go, nie zachwycił.

Z dyplomem w ręku słuchał pochwał i powinszowań roztargniony.

Coby dał, żeby w ów dzień radosny mieć Żabbę przy boku, z nim razem się cieszyć. Myśl jego poszła do Krymu, do końca, co mu wziął druha na wieki.

Jak wąż wyślizgnął się pierwszy z sali, uciekł z pośród kolegów i przepadł bez wieści.

Wołano go i szukano napróżno przez dzień cały. Miał być bankiet triumfalny, bohater się nie stawił. Zasiedli bez niego do stołu.

W pół uczty wpadł do sali. Powitano go radośnie.

— Coś robił ? — krzyczano.

— Nic ciekawego! —odparł. — Jestem na czas, by spełnić toast z wami! Dajcie szampana!

Nalano szumnie kieliszki. Chłopiec podniósł swój w górę.

— Na zakończenie i początek! Co złe, nie ginie; co dobre, niech żyje!

— Niech żyje! — powtórzono chórem.

— Bez strachu przed trudem idziemy w życie! Próżniak niech ginie, praca niech żyje!

— Niech żyje!

— Niech żyje! — powtórzył Hieronim. — Była nam drużbą i swatem, wyprowadziła na ludzi! Cześć jej! Nie zmarnieje, kto ją kocha, a nie rzuci!

— Nie rzucimy! — krzyknęli wszyscy razem.

Spełniono toast duszkiem.

Oczy Hieronima paliły się zapałem.

— Piosenki, bracia! Kto tam za słowika się ofiaruje? Ja umiem tylko hukać jak bąk błotny, będę wam służył za basetlę!

Po chwili jeden głos począł śpiewać:

Hej, użyjmy żywota,
Wszak żyjem tylko raz!

Kilkadziesiąt głosów zawtórowało ochoczo: .

Niechaj ta czara złota,
Nie próżno wabi nas!

A czara złota młodości stała pełna. Na dnie jej były dla jednych męty, dla drugich słodycz nektaru. Smak zależał od ust, które piły.

Nazajutrz wczesnym rankiem Hieronim poszedł do kościoła. W przeddzień zamówił mszę żałobną za przyjaciela i wysłuchał jej, klęcząc w oddalonym kącie. Modlitwą tą żegnał Petersburg, naukę, życie studenckie — zaczynał nowy okres życia.

VI.

WOJCIESZEK.

Na pogodnem, wiosennem niebie, odcinał się ostro szkielet nawpół skończonego żelaznego mostu. Z obu stron równo, jednostajnie, bielał świeżutki nasyp kolei. W oddali buchały światłem baraki robotników, wrzące zgiełkiem, a na stronie, u brzegu rzeki, drzemała wieś długą, czarną linją.

Robota dzienna była skończona. Na moście stało dwóch mężczyzn, snadź przewodniczących robotom, a na szynach kilku ludzi otaczało ręczny wagonik, gotowy widocznie do drogi.

— Żegnam pana i dziękuję! — mówił starszy do towarzysza, podając mu rękę. — Przyjeżdżam tylko, by chwalić i podziwiać, niema tu dla mnie roboty. Za miesiąc przybędę na otwarcie drogi. Czy zdążycie?

— Chyba wymarudzimy, bo prawie wszystko gotowe — odparł z uśmiechem młodszy. — Co do mnie, wolałbym ten epilog odegrać z panem. Nadchodzą szalone wypłaty.

— Masz pan wszakże Eljasmana i jego kasę. Bierz, ile trzeba i dawaj weksle! Gdy mi rząd zapłaci, wykupię wszystkie. Pokładam w panu bezwarunkową ufność.

— To chyba ja w panu! — zaśmiał się młody. — Wszakże to moje, a nie pańskie nazwisko będzie figurowało na stemplowanym papierze!

— Wszystko jedno. Wszak mnie znasz, panie Hieronimie. Co powiem, dotrzymam! Eljasman był dziś u mnie. Słyszał to samo. Pieniędzy nie zabraknie. Tymczasem bywaj pan zdrów, pilnuj tych zbójów — dodał, wskazując zdala na robotników — i zostań mi, jak dotąd, przyjacielem!

Młody człowiek skłonił się, milcząc, i poszedł za zwierzchnikiem w stronę nasypu. Ludzie zajęli swe miejsca, inżynier siadł i minjaturowy wagonik potoczył się po szynach, burcząc jak bąk w ciszy wieczora.

Pozostały zawrócił zpowrotem po uginających się kładkach rusztowań. Na środku mostu stanął, zapalił papierosa i, oparty o galerję, patrzył zamyślony na bystry wir rzeki pod stopami.

Hałas oddalającej się drezyny niemile mu dźwięczał w uszach. Na nim zostawała ogromna odpowiedzialność, olbrzymia praca, ciągła czujność i kontrola, nieograniczona władza i rząd paru tysiącami ludzi. Straszno mu się zrobiło, jakby przeczuwał nieszczęście.

Naczelnik wesół i spokojny wracał do rodziny, był pewien dobrego rezultatu, bez trudu weźmie rządową zapłatę, zarobi dobrą sumę. Miał na swe rozkazy unikat człowieka, który myślał, rysował, liczył, pracował za dwieście rubli miesięcznie i uważał go jeszcze jako świetny los dla siebie, a zamiast zawiści i niechęci, miał dla pryncypała wdzięczność i przywiązanie. Gdzie się podziały marzenia studenckie o świetnej karjerze, które go krzepiły do wytrwania w pracy?

Pięć lat minęło od chwili, gdy, triumfujący ze zwycięstwa, pił toast na zakończenie biedy i trudu, szedł po należne laury dla swej wytrwałej pracy. W tych pięciu latach nie spełniło się żadne marzenie, zaznał wiele dni głodnych, wiele nocy bezsennych, o chłodzie i zawiedzionych nadziei.

Przez ten czas był palaczem na kolei, przepisywaczem aktów, zwrotniczym, korepetytorem, a portem, do którego się dobił, uważając za świetną posadę, były warsztaty kolejowe,

gdzie dostał pięćdziesiąt rubli wynagrodzenia i obowiązek podmajstrzego. Nie dziw więc, że obecny zwierzchnik wydawał mu się dobroczyńcą.

Teraz pod koniec strach go zdjął; niechętnych miał wielu, którym kraść i próżnować nie dawał; dostawcy, nie mogąc go skusić łapówką, knuli intrygi; koledzy bali się go i nie zaczepiali bez interesu.

Położenie było trudne, uciążliwe, niesłychanie przykre dla prawej, otwartej natury. Stał zupełnie osamotniony, broniąc interesów pieniężnych i prawie honoru obcego człowieka.

Wiedział, że nie sobie buduje sławę, nie sobie zbiera kapitały, nie dla niego będą pochwały zarządu; sobie on tylko zrobił wrogów, on, Hieronim Białopiotrowicz.

Wtem w barakach ucichł chwilowo hałas i do uszu stojącego doleciały piskliwe tony ręcznej harmonji. Ludzie ci kamienni, zamiast spocząć, tańczyli; kilkadziesiąt czarnych cieniów uwijało się około ognia.

Inżynier się uśmiechnął. Ludzie ci byli mu jedynym przyjaznym żywiołem w otoczeniu. Tam nie knuto przeciw niemu intryg, lubiono go i szanowano powszechnie.

Złe myśli pierzchły spłoszone. Przypomniał sobie Eljasmana, wypłaty, rachunki, rzucił niedopalonego papierosa w rzekę i ruszył, gwiżdżąc, ku mieszkaniu.

Cóż znów! Miał sumienie czyste, nikogo nie skrzywdził, wypełniał ściśle obowiązki, wierzył w siebie, a był młody, więc troska nie mogła go powalić i dziwną reakcją myśl, zamiast smutnych obrazów ludzkiej niechęci, przyniosła mu na pociechę piosenkę jakąś, którą zaczął nucić półgłosem.

Zeszedł z rusztowań, zsunął się z wysokiego nasypu na brzeg rzeki i ruszył raźno udeptaną ścieżką obok baraków. pozdrawiając rozbawionych.

Chór ochrypłych głosów odpowiedział wesoło. Rzucił im parę rubli na wódkę i, pożegnany grzmiącym okrzykiem, poszedł dalej.

Mieszkał w budzie, skleconej z desek, o paręset kroków dalej, otoczony warsztatami i magazynami.

Na progu tego, wcale nie eleganckiego pomieszczenia, wyciągnięty na burce, okurzając się dymem fajki, czuwał stróż inżynierski, w budzie świecił ogień przez małe okienka.

— Bazyli! — huknął Hieronim zdaleka.

Człek się porwał skwapliwie i biegł na wezwanie, wołając:

— Jestem.

Był to jednooki jego opiekun petersburski, we własnej osobie.

— Jak się masz, stary? A jest tam co zjeść przypadkiem? Karmiono mnie dziś pochwałami i tysiącem poleceń! Tyle to warto, co ciastka z kremem!

— Jest pieczeń i butelka wina, ale pan chyba tylko popatrzy, bo jeść pewnie nie dadzą.

— Cóż tam nowego?

— Eljasmana to niema, ale jest ktoś inny.

— Dostawca?

— Nie wiem. Cudzy. Przyjechał pocztą. Zjadł, wyspał się, siedzi i czeka na pana.

— Ano, to mu zazdroszczę! Jadł i spał niecnota. Pewnie obywatel z propozycją jakiego kupna.

Mrucząc, pan Hieronim otworzył drzwi budy, potknął się na progu, uderzył głową o uszak i zaczął kląć.

Bazyli pocieszył po swojemu, gderliwie:

— A poco pan taki duży wyrósł? Wszyscy chodzą bez szwanku, a u pana codzień nowy guz.

— To pewne, że mam kalendarz na głowie — rzekł poszkodowany, otwierając drzwi do biura.

Lampa z zielonym kloszem rzucała nisko na stół krąg jasności, oświetlając stosy ksiąg i papierów, reszta pokoju była ciemna.

Hieronim rzucił czapkę i rękawiczki i, zapominając o zapo-

wiedzianym gościu, chciał iść dalej, do swego osobistego mieszkania, gdy wtem z kąta podniósł się strasznie chudy cień człowieka i chrypliwy głos ozwał się posępnie:

— Nie poznajesz mnie?

Inżynier cofnął sią pomimowoli, jak przed widmem.

Nie, nie poznał dawnego, świetnego eleganta, a swego kuzyna, w człowieku wynędzniałym, obrosłym, prawie łysym, którego oczy szkliste wyglądały bezprzytomnie, a ręka, podana do uścisku, była sucha i gorąca.

— Wojciechu! — wyjąkał przerażony. — Co się z tobą stało?

Widmo zaśmiało się krótko, przerażająco.

— Djabli wszystko wzięli, wszystko! — rzekł, krzywiąc się cynicznie. — Niema żony, niema pieniędzy, niema stanowiska! Fiut, poszło!

Hieronimowi pociemniało w oczach. Bazyli miał słuszność: nie dla niego był dziś odpoczynek, jadło i sen. Nowa troska wyrastała, jak z pod ziemi.

— Gdzież żona? — zagadnął ogłuszony.

— Uciekła do Paryża! Wszystkie one takie! Trzoda! Mniejsza! Ale z nią uciekły ruble. Teść złajał i wypędził. Dzieci niema. Ot, i zostałem na bruku!

— Nieszczęście! Cóżeś robił potem?

— Piłem i grałem, dopóki dawali Żydzi! Chciałem wygrać, jechać za nią, czy nieżywą przywieźć napowrót.

— Pocóż ci ona, to błoto, ta awanturnica?

— Żeby wrócić do teścia, do mego pałacu!

— Tfu! — splunął Hieronim ze wstrętem.

— Przegrałem! — ciągnął dalej Wojciech ponuro. — Opublikowano mnie po gazetach!

W pierwszej chwili, na widok brata, żal okropny chwycił za serce Hieronima. Widział w nim ruinę życia, nieszczęśliwego rozbitka. Chciał go wziąć w ramiona, pocieszyć, na-

tchnąć nadzieją, pomóc, ile mógł podzielić się z nim kawałkiem chleba.

Teraz oburzyło się w nim wszystko. Nie rozbitek to był nieszczęśliwy, ale nędznik bez czci i sumienia. Ręce, wyciągnięte do uścisku, opadły, odstąpił o krok, purpura oburzenia okryła twarz, zmarszczył brwi, zagryzł wargi i słuchał z niewypowiedzianą przykrością tej cynicznej spowiedzi.

— Co żyło, odstąpiło mnie! Psy! Karmiłem ich i poiłem, przegrywałem do nich setki tysięcy! Potem nikt nie pożyczył rubla, nie zaprosił na obiad! Łotry! udawali, że mnie nie znają, nie przyjmowali do klubów! Musiałem wyjechać z Petersburga!

Wojciech się zatrzymał, zgrzytnął zębami.

— Pojechałem do dziada!

Wymówił to z wściekłością w głosie i spojrzeniu.

Hieronim zzieleniał, skoczył jak ryś ranny.

— Jakiem czołem śmiałeś mu stanąć przed oczy? Czyś oszalał? Chciałeś policzka?

— Chciałem pieniędzy! Muszę je mieć, rozumiesz? Inaczej chyba śmierć!

— Lepsza śmierć od wstydu! Dziad cię oplwał pewnie pogardą, sponiewierał i wyrzucił z dziedzińca! I tyś to zniósł!

— A cóż miałem robić? Chciałem mu folwark podpalić, ale się zląkłem. Tak się zostało!

Hieronim przeszedł się po pokoju, tłumiąc straszny wybuch. Milcząc, podał krzesło bratu i sam usiadł.

W tej chwili szelest się zrobił za drzwiami, dialog stróża z kimś obcym i Bazyli otworzył podwoje, zajrzał i rzekł lakonicznie:

— Ryży jest.

— Niech wejdzie! — mruknął Hieronim.

Wysoki, chudy żyd, z biegającemi oczyma, wsunął się cicho i ukłonił w progu.

— Są pieniądze? — spytał krótko inżynier.

— Są.
— To dawaj!
Żyd się obejrzał po izbie, przyjrzał się świadkowi, dobył potężny zwit banknotów, zaczął liczyć monotonnie i podawać odbiorcy.
W świetle lampy migały tęczowe papierki; Hieronim odkładał je obojętnie, Wojciech wpatrywał się uważnie, oddychając ciężko.
— Dwadzieścia pięć tysięcy. Gdzie reszta? — rzekł Hieronim, biorąc stemplowy papier i pisząc od niechcenia weksel.
Oczy Wojciecha ścigały pióro brata, czytały każdą głoskę. Kwit był terminowy, miesięczny, pod spodem podpis: H. Białopiotrowicz.
— Resztę mogę wysłać pojutrze. Pan raczy przysłać kogo z kwitem, bo ja sam przybyć nie mogę.
— To dobrze. Obejdę się, sądzę, do tygodnia. Oto weksel! Pan naczelnik uprzedził podobno, że możecie dawać na mój podpis.
— Ja i bez niego dałby miljony! Dziękuję panu!
Żyd wziął kartkę, skłonił się i wycofał za drzwi. Hieronim rzucił paczkę do ogniotrwałej kasy, coś zapisał i siadł napowrót.
— Tyś bogaty pan! — rzekł Wojciech.
— Biorę dwieście rubli miesięcznie.
— A te tysiące?
— Cudze. Na wypłaty.
— Tak, tak! Fortuna kołem się toczy! Dawniej ja tego śmiecia miałem furami! Asygnatami mogłem wyklejać pokoje! Sturublówkami zapalałem cygara! Konie nosiły turkusy na uzdeczkach, służba chodziła w sobolach. Ktoby mi powiedział, że ja do ciebie przyjdę żebrać pomocy?
— Bardzo dobrze, jeśli potrafię ci jej udzielić. Czego ci trzeba? — spytał zimno Hieronim.
— Pieniędzy! Pożyczki tylko. Zwrócę z podziękowaniem,

jak wypłynę!! Bo mam nadzieję, że to fatum mnie opuści! Trzeba tylko do Paryża się dostać, tę babę odzyskać koniecznie.

Hieronim wyjął pugilares, wytrząsnął do dna.

— Bierz i jedź! Oddawać nie potrzebujesz!

Wojciech poruszył głową.

— Mało! — rzekł. — Muszę w Paryżu stanąć na właściwej stopie! Cóż to znaczy?

— Ile chcesz?

— Tyle, ileś tam włożył, — wskazał kasę.

Hieronim wzruszył ramionami.

— To przechodzi moją możność — odparł. — Nie rozumiesz, co mówisz, sądzę. Mam rocznie 2400 rubli, jeżeli znajdę po skończeniu tutejszego mostu posadę, jeżeli nie, będę bez chleba za miesiąc. Com zebrał, oddaję.

— Wszakże to tylko pożyczka! Daję ci słowo honoru, że oddam, złotem cię osypię, wróciwszy z zagranicy! Dam ci wszelkie zapewnienia!

— Nie pożyczam nigdy.

— Przed chwilą dawałeś weksel.

— Bo mam na to upoważnienie zwierzchnika. Są to pieniądze na interes, a nie dla mnie, w nich jest tylko moja miesięczna pensja.

— Żebyś chciał, mógłbyś pożyczyć dla mnie. Żyd da na twój podpis, a ja zwrócę, na Boga się klnę, za miesiąc odwiozę!

Hieronim nie panował nad sobą. Skoczył do brata.

— Czemuż nie powiesz odrazu: złodzieju, kiedy mi kraść radzisz? — krzyknął. — Za kogo mnie masz? Jam z tobą nie hulał, nie pił, nie grał, nie rzucał w błoto cudzych pieniędzy, honoru, sumienia, zdrowia i duszy! Jam ci nie był kolegą i znać cię nie chciałem, boś mi wstydem był! Mało ci własnej hańby, chcesz mojej? Ano, to idź mi z oczu, bo ja siebie nie mam na zbyciu, ani cię ratować nie myślę pod takim

warunkiem! Szukaj sobie łotrów w swoim świecie! Idź precz! Słyszysz? I pamiętaj, że gdy na głowie uczciwego człowieka jest wstyd, a on żyje, to chyba muru niema, żeby głowę roztrzaskać! Idź!

Wojciech zwiesił głowę, wyszedł, potykając się, przestraszony głosem i spojrzeniem młodszego. Pierwej jednak zgarnął skwapliwie pieniądze ze stołu.

Na podniesiony ton pana, Bazyli ukazał się z pomocą. Gość zniknął za drzwiami.

— Wyrzuć jego rzeczy, jeśli są! — krzyknął na sługę inżynier. — Już on nie wróci tu więcej!

Jednooki spełnił gorliwie polecenie, ale Wojciech nie czekał na manatki. Z odkrytą głową, bez płaszcza, przepadł w cieniach nocy.

— Niema — mruczał Bazyli posępnie. — Bodaj go czart zdusił! Nie wróci, pan powiada! Oho, to on go nie zna! Tacy wracają! Tfu!

Hieronim długo w noc chodził po biurze. Sen go odbiegł. Ohydna twarz Wojciecha wyglądała z każdego kąta, to chichocząc piekielnie, to grożąc. Był to nowy wróg do tylu innych.

Rano nie znaleziono tłomoczka przed progiem. Czy kto go ukradł, czy zabrał właściciel? Nad tem rozmyślał Bazyli po odejściu pana, siedząc na ławeczce koło budy i paląc nierozłączną fajkę. Pytanie to nie dawało mu spokoju.

Hieronim, powróciwszy, znalazł wprawdzie obiad, ale Bazylego nie było wbrew obyczajom, na wieczerzę nie wrócił także, aż się inżynier zaniepokoił.

O północy przyszedł zmęczony, chmurny i trochę jakby pijany. To się zdarzyło po raz pierwszy.

— Gdzieżeś to był? — zagadnął młody człowiek, odrywając na chwilę oczy od jakichś planów.

— W barakach — odparł lakonicznie.

— To widać — zamruczał Hieronim. — Zaglądałeś w kieliszek, stary!

— I panu warto tak zrobić, zamiast pisać po całych nocach! Czy się pan dziś nie położy?

— Nie, mam dużo roboty. Możesz spać, stary.

Bazyli zamruczał coś niewyraźnie, nie usłuchał pozwolenia po staremu, zapalił fajkę, siadł w kącie i, korzystając ze swych zasług, napełniał pokój dymem.

Coś sumował, nie spuszczając oka z pracującego; wyglądał teraz już zupełnie trzeźwy, ale posępny.

I tak spędzili noc, nie odzywając się do siebie. O brzasku inżynier wziął za czapkę i do baraków poszedł, budząc po drodze pomocników i dozorców. Bazyli przeprowadził go do progu.

— Pan nie chce śniadania? — spytał.

— Dziękuję, stary, nie mam czasu.

— A na obiad pan wróci?

— I to nie, bo mnie dziś czekają u kolegi.

— To i ja sobie pójdę!

Tak się rozstali. Wysmukła sylwetka młodzieńca znikła w gęstej, białej mgle wodnej, sługa przezornie zamknął budę, otulił się w szary szynel żołnierski i, mrugając na wsze strony swem jedynem okiem, ruszył w przeciwnym kierunku, ku warsztatom.

Ze ślusarzami to, najgorszą hałastrą robotniczą, zaprzyjaźnił się sługa Hieronima; trafił na śniadanie, usiadł u kotła i wdał się w żywą dyskusję z samymi hersztami tej wiecznie pijanej, dzikiej, a w gruncie dobrodusznej zgrai.

Jedli jednak cicho, pochylając ku sobie olbrzymie, jasne czupryny i błyskając białkami; czasem wznosiła się nad głowy pięść twarda, ciemna, obrosła i groziła komuś. Bazyli mrugał oczkiem, mitygował niby, ale co chwila jakiemś słówkiem dolewał oliwy do ognia. Gotowało się coś strasznego w barakach.

Dzwon, wzywający do roboty, rozproszył zgromadzenie. Bazyli poszedł dalej, prze nasyp ku wsi, gdzie stały baraki Eljasmana.

Rotszyld powiatowy miał tam swe magazyny, był dostawcą żywności dla robotników.

Wkoło składów roiło się pełno podrzędnych figur, furami rozwożono mięso i krupy, z piwnicy wytaczano kufy wódki. Wśród tego zamętu Bazyli dobił się do drzwi mieszkania kupca, oparł się niedbale o sztachety, obserwował fizjognomję wchodzących i wychodzących z całą cierpliwością próżniaka z profesji.

Dopiero o południu poruszył się nieco. Przed dom zajechała furmanka chłopska, widocznie obstalowana, bo zaraz żydek służący zaniósł na nią walizkę i coś powiedział woźnicy, który ruszył ku wsi.

Bazyli wyszedł na drogę, zatrzymał chłopa.

— Zawieźcie mnie do Olszowa. Dam rubla — rzekł pokazując asygnatę.

— Nie można. Pojadę z kupcem do Żarnej

— A gdzie twój kupiec?

— Poszedł przodem.

Woźnica zaciął konie, Ale Bazyli miał rącze nogi, szedł za nim w odległości kilkunastu kroków przez całą wieś.

Za wsią, w lesie, chłop stanął i Bazyli stanął. Z pod krzaka wyszedł pasażer, obejrzał się trwożnie i wskoczył na wóz, ruchem ręki wskazując pośpiech.

I Bazyli się zawrócił z powrotem ku barakom. Znał tłomoczek, znał płaszcz i widział rękę podróżnego. Wiedział, co wiedzieć pragnął.

Tymczasem koło kantoru Eljasmana panował sądny dzień. Hieronim znalazł czas na obejrzenie prowjantów. Fury z nieświeżem mięsem i stęchłemi krupami wracały od kuchni, eskortowane przez tuzin klnących robotników, wraz z kartką

Białopiotrowicza, że dostawca za oszustwo podlega kilkutysięcznej karze.

Nie dbał o skarby Rotszylda hardy chłopak i ani przeczuwał, co za burza zbierała się nad jego głową. On się nigdy nie troszczył o następstwa, gdy spełniał swój obowiązek.

Dokonawszy z doktorem rewizji produktów i wymierzywszy sprawiedliwość, wrócił do mostu, rozmawiając swobodnie z medykiem.

Był to człek niemłody, odludek, opryskliwy, nielubiany ogólnie. Hieronim go lubił, bo był to rzetelny pracownik, z obowiązku swego wywiązywał się doskonale, a nie patrzył nań niechętnie i fałszywie, jak reszta podwładnych.

Doktór zaś obserwował go uważnie, chłodno, świdrując wzrokiem, ilekroć się zeszli, nikomu nie zdając sprawy ze swych spostrzeżeń. I teraz, zmrużywszy oczy, patrzył uważnie za inżynierem, snującym się ze zwykłą ruchliwością wśród szkieletu żelaznego olbrzyma.

Ślusarze, wisząc prawie w powietrzu, wyglądali jak pająki, między sztabami metalu, kuli zajadle, z niesłychaną wprawą i śpiewali chórem.

— Doktorze! — zawołał Hieronim. — Czy podlegasz pan zawrotowi głowy?

— Nie. A pan?

— Dokąd nigdy. Dziś mi raz pierwszy coś podobnego się zdarza. Prawda, żem naczczo.

— Uhm, naczczo. Po bezsennej nocy.

— To już trzecia, doktorze. Doprawdy, sam nie wiem, co mi jest. Wcale mi nawet spać się nie chce. Odwykłem.

— Przed ciężką chorobą zawsze się cierpi bezsenność — zamruczał doktór.

— Ejże, nie żyw czarnych nadziei, konsyljarzu. Ze mnie pacjenta mieć nie będziesz! — zaśmiał się Hieronim. — Jestem zdrów, jak ot ta sztaba. A bezsenność przymusowa, to żaden symptomat choroby. A tam co się dzieje?

Wykrzyknik stosował się do wrzawy, co się nagle podniosła u jednego ze słupów mostowych.

Hieronim przechylił się za parapet. Kilkunastu ludzi tłoczyło się, gestykulując, około otworu do żelaznej, bezdennej studni. Wśród nich błyszczał galonik inżynierski.

— Co tam, panie Domański? — huknął Hieronim.

— Coś się stało murarzom w głębi. Nie dają znaku życia.

— To zejdź pan sam i zobacz! Może omdleli z braku powietrza.

— Nie może nikt wytrzymać, lampy gasną. Posłałem po innych murarzy, oni się znają z tem, żaden z nas nie zniesie.

— To mi dopiero facecja! A ci się duszą tymczasem; murarze pewnie pijani! A iluż ich tam jest na dnie?

— Trzech — odparł obojętnie.

— To mi pachnie półrocznem więzieniem. Winszuję! Dajcie mi sznur.

Doktór ani się spostrzegł, jak dzielny chłopiec go opuścił, po drabinie zbiegł nadół, poczęstował pięścią gapiów po drodze, rozpędził połowę do roboty, obwiązał się jednym końcem sznura, zapalił papierosa i kazał otwierać klapę do żelaznej bezdni.

— Weź pan gąbkę z octem do ust! — krzyknął doktór, schodząc powoli.

Ale Hieronim był zajęty komendą.

— Puszczajcie sznur powoli, jak targnę, ciągnijcie w górę! Rozumiecie? Weź no ty, Janie!

Olbrzymi ślusarz przyskoczył skwapliwie. Oczy jego, czerwone od wódki i niewczasu, śmiały się do naczelnika psiem przywiązaniem.

— Ja wyciągnę wczas, nie bójcie się! — rzekł chrypliwie.

Hieronim jak kot wślizgnął się w otwór, zamknięto go natychmiast, cement się psuł haniebnie od powietrza. Sznur się rozwijał powoli, ruch ten śledziło z natężeniem kilkanaście par oczu.

Długa minuta pauzy, za długa widocznie dla Jana, bo spojrzał pytająco na Domańskiego, nagle poczuł targnięcie, szarpnął w górę, za nim inni. Ciągnęli ciało.

— Ciężko idzie — zamruczał — otwierajcie!

Dobyto na wierzch ładunek. Było to dwóch murarzy, sinych, strasznych, napół uduszonych. Doktór rzucił się do nich cucić naprędce. Żyli jeszcze.

— Rzucaj sznur! — krzyknął Domański.

Ślusarz bez rozkazu to uczynił.

Targnięto znów. Ładnek był lżejszy o połowę, bo też u końca liny było tylko jedno ciało, a równocześnie z niem po szczeblach żelaznej drabinki wypełzł Hieronim zdrów i cały. trzymając w ręku corpus delicti wypadku. Była to próżna butelka od wódki.

— Łotry, pijaki! Rewidować ich trzeba przed robotą! Tylem razy to nakazywał! To karygodne niedbalstwo, panie Domański! Oto masz pan rezultat dzisiejszej pracy i pańskiego urzędowania!

Rzucił mu butelkę z gniewem pod nogi i nie odezwał się więcej do zawstydzonego młodzika.

— Wziąć ich do szpitala, posłać po drugą partję, jeśli trzeźwa. Żywo!

Na głos ten rzuciło się wszystko, ile tchu i mocy; miejsce wypadku opustoszało w mgnieniu oka, za oddalającymi się pogonił rozkaz:

— Jak wyzdrowieją, przysłać ich do mnie!

Robotnicy zaśmieli się zcicha.

— Oj, da on im, da! — zamruczał Jan.

— Od niego dobrze wszystko brać! To zuch!

— To nasz kochany pan! Ot, na śmierć idzie za robotnika, a z nas żaden nie chciał!

— Ale jakby na niego przyszła bieda, to my pójdziemy! Póki my tu, niech go nikt nie tknie.

— Alboż chcą? Słyszałeś co, Janie? — spytano ciekawie, z iskrzącymi oczyma na hasło awantury.

— Jak trzeba będzie, to huknę na was! Teraz cicho, bierzcie za młoty!

— A hukaj tylko dobrze!

Zamiast Jana, dziesiętnik zaczął krzyczeć i napędzać, umilkli posłusznie.

Późno wieczorem Hieronim wracał do domu z kasy. Zdziwiło go światło w gabinecie, gdzie zwykle pracował, zajrzał przez szczelinę firanki i zdumiał. Przy biurku, wśród stosów sprawozdań, planów, kosztorysów, rozsiadł się w fotelu Bazyli we własnej osobie i pisał coś pracowicie, niezgrabnie, na wielkim arkuszu papieru. Jednem okiem przyglądał się swemu arcydziełu i drapał, potniejąc, koszlawe litery.

— Tam do djaska! A do tego co przystąpiło? — zamruczał ubawiony inżynier.

Zdumienie jego nie miałoby granic, żeby mógł dojrzeć adres na kopercie; stało tam łokciowymi literami: ,,Jaśnie Wielmożny Pan Polikarp Białopiotrowicz w Tepeńcu''. Nie, takie zestawienie osób i podobna znajomość nie postała mu nigdy w myśli.

Na kroki pana Bazyli uprzątnął swą osobę z fotela, a pismo ze stołu i zajął się nakarmieniem pryncypała.

— Czy to do kochanki pisujesz? — spytał go żartobliwie inżynier.

Człek się zaśmiał.

— Aha! — odparł jakiś nieswój.

— Toś ją w Petersburgu zostawił?

— A tak, tam, gdzie pan rzucił swoją.

— Ja, stary, kochanek nie miałem i nie mam. Wiesz o tem najlepiej, boś mnie pilnował, jak smok.

— Et, różnie bywało w sąsiedztwie! Kto tam ustrzeże ognia w słomie! Ta czarna, co to ja aż z sikawką musiałem...

— Nie klekocz głupstw? Czyś ty i dzisiaj odwiedzał ba-

raki? Ot, lepiej pokaż list! Zobaczę, jak wyrażasz afekty.

— Tak samo, jak pan! Kto z kim przestaje, takim się staje.

— To fałsz! Gustu do amorów nikogo nie nauczę, bo go sam nie posiadam. Chyba ty mi go udzielisz.

— Et, kto pana przegada. Naco pan odesłał mięso Eljasmanowi?

— Chciałeś chyba, żebym je sam skonsumował przez grzeczność dla żyda. Robotnicy nie bydło, a truć ich nie pozwolę.

— Żyd strasznie zły, cały zarobek dziś stracił. Domański zły, że pan go złajał przy ludziach, wszyscy źli... Co z tego będzie? Jak zechcą się mścić?...

— To niech się mszczą! Honoru mi nie wezmą, czci mi nie odbiorą, więcej o nic nie dbam! Ty mi nie wspominaj tych ludzi. Dzień cały trują mnie zgryzotą! Daj spocząć w domu przynajmniej!

Wziął się za głowę ruchem desperackim.

— Bo mi szkoda pana! — zamruczał Bazyli. — Wychudliście jak cień! Co z tego będzie? Położy się pan z wysiłku! Żeby odpocząć jaki miesiąc!

— Czy i ty mi kraczesz chorobę, jak ten skorupiak doktór? — zaśmiał się chłopiec z przymusem i zamyślił się na chwilę. — Chciało się i mnie wypocząć, stary — zaczął po pauzie. — Miałem paręset rubli oszczędności, myślałem po skończeniu tutejszej roboty pojechać gdzie, na swobodzie przebyć czas jakiś. No i nic z tego. Ruble poszły, trzeba znów pracować. To dziwna jednak rzecz, jak mnie się pieniądze nie trzymają.

— Co to za dziwo! Złodziej jest na nie gotowy! — mruknął ponuro Bazyli. Bodaj go ziemia pochłonęła.

— Cóż robić! Nie warta żalu ta nikczemna mamona! Daj butelkę czerwonego wina. Będę pisał w nocy.

— Czwarta noc! Jezus Marja! Co pan wyrabia? — zawołał przerażony sługa.

— No, cicho, cicho! Wszakże cię nie proszę do towarzystwa. Idź sobie śnić o kochance, w braku jej samej. Mnie nie wystarczy dnia na tyle roboty.

— Bo pan robi za dziesięciu. Oj, będzie źle!

— Wynoś się do djaska ze wzdychaniem!

Bazyli się wyniósł, ale wzdychać nie przestał. Żal było istotnie patrzeć na biedaka, który brał nad siły, sądząc, że ich ma niewyczerpany zasób.

Im bliżej było ukończenia i upragnionego wypoczynku, tem uciążliwsze były zajęcia.

Rzadko widywał pana Bazyli i tylko chwilowo. Zdawano roboty, musiał je oglądać, przyjmować i płacić. Kasa pełna była interesantów, pieniądze płynęły jak woda. Hieronim ostatnie dziesięć dni trzymał się na nogach siłą woli i wina; palił bez przerwy cygara, zachrypł, sczerniał, oczy mu się świeciły sztucznem podnieceniem.

Gdy olbrzymi most stanął gotowy, oczyszczony z rusztowań, umajony przez robotników, inżynier odetchnął, zatelegrafował po próbny pociąg do zarządu, przyjął go przy wstępie na swoje terytorjum.

Pierwsza twarz, co doń wyjrzała z oszklonego wagonu, była to rozpromieniona fizjognomja pryncypała.

Kazał zatrzymać pociąg, ciągniony przez trzy lokomotywy, wysiadł, za nim ze stu przeróżnych inżynierów; poczęły się hałaśliwe przywitania i okrzyki.

— Hajda na most! — zawołał dobrze podchmielony naczelnik.

Całe towarzystwo było po częstych libacjach, nawet obsługa pociągu. Maszynista, który miał sam pierwszy wjechać na most, zalał też sobie stracha spirytusem, bełkotał coś Hieronimowi o nierównych strzałkach.

— Zejdź, ja poprowadzę! — fuknął młody człowiek w odpowiedzi, biorąc go za kołnierz i oddając w ręce dróżników.

— Pan zostań z nami! — krzyczał zwierzchnik.

— Jeszcze kark pan skręcisz! — wołali koledzy.

— Proszę pana! — wrzeszczał pijany maszynista. — A moje premjum! Obiecywano pięćdziesiąt rubli!

— To je sobie zabierzesz, zuchu, jak się prześpisz — odparł Hieronim. — Nic mi się nie stanie, panie naczelniku. Panowie, raczcie obliczyć, ile osiądzie ten gmach pode mną. Dużo ważę teraz. Puszczaj parę!

Zagrały tłoki i walce. Żelazne trzy potwory poruszyły się majestatycznie i, buchając dymem, weszły na most. Na środku Hieronim stanął, sygnał rozległ się przeraźliwie, donośnie, na triumf, most stał; pociąg go przeszedł tam i napowrót i znów zatrzymał się na środku! Próba była skończona.

Powracającego Hieronima pryncypał chwycił w ramiona, omal nie udusił.

— Złoty z ciebie, nieoceniony człowiek! Co chcesz za taką pracę?

— Spać, panie naczelniku! — zaśmiał się szczerze chłopiec. — Zdejmij pan z mej głowy zarząd i władzę i uwolnij do domu.

— Takiś mi kolega! My się bawić chcemy! Ale idź, idź, śpiochu! Jak sobie nie dam rady bez ciebie, to przyślę!

Ah, spać! Od iluż to tygodni marzył o tem. Tak, mógł wreszcie wypocząć. Odetchnął z całych płuc w swej sypialni. Skończył, był wolny. Uf! Jak to brzmiało rozkosznie. Dał radę wszystkiemu, przebył ogniową próbę wybrnął. Niech sobie teraz oszukują, kradną, intrygują, już nie zaszkodzą.

Dziwna rzecz jednak. To nagłe przejście z zamętu do zupełne ciszy, zamiast go uspokoić, rozdrażniało nieznośnie. Sen uleciał. Bolały go tylko nieznośnie wszystkie członki i głowa. Będzie pewno migrena.

Ubrany rzucił się na łóżko. Upał panował okropny; na domiar biedy, Bazylego nie było. Oddalał się często ostatniemi czasy.

Inżynier rozpiął mundur, objął rękoma bolącą głowę i rozmyślał.

Ha, przecie dobił się do celu, zdobył sobie byt, uznanie, sławę.

Coby to rzekł dzisiaj pesymista Żabba, który nie wierzył w pomyślność? Nawróciłby się przecie i poweselał biedny, poczciwy, skrzek melancholik.

Hieronim przypomniał sobie piosnkę studencką, śpiewaną o głodzie i chłodzie, która okropnie gniewała mruka. Była tam mowa o poście, który poprzedza Wielkanoc, a Żabba mruczał zawsze z uporem:

— Święconego nie ukąsisz, prędzej ucho swe zobaczysz! Ja ci to mówię i ręczę!

Nie zgadł Litwin. Minęła bieda, utrapienia, ciężki post — była Wielkanoc.

Żeby tylko ta głowa tak nie bolała i byle zasnąć trochę. Przecie miał urlop.

Aha, prawda. Miał wszakże jakąś miksturę doktora, któremu skarżył się na bezsenność. Zażył jej, chwilę leżał jeszcze i milczał, aż wreszcie triumf, wspomnienia, ból głowy zlały się razem w jakiś chaotyczny kłębek wrażeń i tyle upragniony sen uspokoił go wreszcie.

Obudziło go po niewiadomej liczbie godzin targanie za rękę i zdyszany głos dziesiętnika:

— Proszę pana, wstawać!

— Doprawdy, a czego tam?

— Naczelnik potrzebuje natychmiast!

Hieronim podniósł się, stękając. Nie czuł się ani silniejszym, ani zdrowszym. Tak, jak przedtem, bolała go głowa, członki, zbity był i odurzony. Rozejrzał się błędnie.

— Czy ja długo spałem?

— Trzy doby. Doktór aż się zląkł.

— Osioł. Spałbym drugie tyle. Gdzie naczelnik?

— W swojem mieszkaniu, w biurze. Dziś będzie wielki bal; jutro przyjeżdża cała komisja.

— Czegóż tam chcą ode mnie? Braknie tancerzy, albo jaka inna bieda? Daliby mi pokój. Niech się bawią i przyjmują choćby sułtana samego. Odstąpię im zaszczytu i przyjemności Brr! Jak tu zimno!

— Dwadzieścia trzy stopnie. Upał jak w piekle. Pan może chory?

— Czyś ty doktór? Wracaj i powiedz, że zaraz idę. Marsz!

Nadrabiając energją, chłopiec się porwał, zlał głowę wodą, trochę się przebrał i ruszył. Nogi mu ciążyły jak ołowiane, zataczał się i choć szedł wolno, dyszał ze zmęczenia. Coś się z nim działo niedobrego, z czem się szamotał z całej siły.

Okna naczelnikowego mieszkania gorzały światłem. Dźwięki strojonych instrumentów zwiastowały rychły początek zabawy. Na górze w salonie snuli się lokaje, kończąc przygotowania; przed drzwiami był tłum robotników, gawiedzi, interesantów; w biurze panował gwar mnóstwa głosów.

Na widok Hieronima robotnicy i służba zrobili szpaler; wszedł do sieni, a stamtąd do kancelarji naczelnika.

Na jego widok umilkła ożywiona rozmowa. Inżynierowie koledzy cofnęli się na stronę; ktoś syknął jakby hasło.

Przeczucie czegoś niefortunnego przeszło dreszczem po Hieronimie, ale z całą śmiałością czystego sumienia przystąpił do biurka, za którem siedział posępny, namarszczony naczelnik.

— Pan po mnie przysłał? — rzekł Hieronim, kłaniając się grzecznie.

— Istotnie, potrzebuję pana do rachunków. Co to znaczy, że mi żyd przedstawił weksli o 25 000 wyżej, niż jest w rozchodach. Nie zapisałeś pan czego?

— Ja? Zapisałem wszystko co do grosza, podsumowałem z kasjerem księgi, dochód i rozchód.

— Ha, cóż to znaczy w takim razie?

— Co, panie naczelniku? — spytał Hieronim, blednąc.

— Ta przewyżka! To nie fraszka, taka suma!

— Jaka suma? — nieszczęśliwemu poczynało się kołować w zbolałej głowie.

— Czyś pan nie słyszał? Weksli jest o 25 000 więcej, niż rozchodu!

— Wszakże zapisano, ilem brał!

— Ta suma nie jest zapisana!

Chłopiec za głowę się porwał.

— Gdzieżbym ja ją podział? Co panu się zdaje? Wszak żem nie warjat!

— Może tylko lekkomyślny. Oto księgi, a oto weksle. Licz pan sam!

— Bez ksiąg się obejdę. Mam przy sobie w notatniku datę i cyfrę każdego obligu. Będę panu dyktował, pan raczy sprawdzić.

Drżącymi rękami wyjął z kieszeni wyszarzaną książeczkę i czytał owe daty i cyfry.

Nikt się nie odzywał, ale i nikt nie wychodził, chociaż tego wymagała delikatność. W głuchej ciszy słuchało całe grono zmęczonego głosu Hieronima, przeplatanego szelestem papieru i krótkiem „jest" starszego.

Twarze wyrażały złośliwą ciekawość, niepokój, lub kompletną obojętność.

Posądzenie, którego jeszcze nie zrozumiał Hieronim, a o którem wzmiankował nieznacznie naczelnik, było absurdem dla każdego, kto znał Białopiotrowicza, a jednak, kto wie, może...

Zawistni drżeli z niecierpliwości, inni słuchali przebiegu śledztwa ze zgrozą i oburzeniem, kilku zaledwie nie wierzyło stanowczo nawet w prawdopodobieństwo winy jakiejkolwiek, czuli w tem brudne, nikczemne oszustwo.

Hieronim skończył. Otarł pot z czoła, spojrzał śmiało w oczy naczelnikowi.

— To i wszystko! — rzekł.

— A ten oto! Pan go opuścił, proszę czytać.

Podał mu świstek stemplowego papieru i śledził pilnie grę wrażeń twarzy.

Hieronim ruszył brwiami i ramionami, jakby mówił: nic o nim nie wiem; wziął spokojnie papier, pochylił się nad lampą, przebiegł oczyma uważnie raz, drugi i trzeci.

Zpoczątku widać było zdumienie na jego wynędzniałej twarzy, potem natężenie pamięci i namysł głęboki, potem nagle zbladł, zzieleniał prawie, przez oczy przeszła bezmierna groza, prawie obłęd; utkwił je nieruchomo w kreskach podpisu. Upuścił papier, zadygotał cały, jak rzucony iskrą elektryczną, odstąpił o krok, rękoma objął głowę, krew mu ustąpiła nawet z warg, a w piersi szarpało się coś, dławiąc głos, paraliżując wszystkie wszystkie uczucia. Stał jak słup, nierówno chwytając powietrze, i milczał, zwiesiwszy ciężką głowę.

Ha, więc był winowajcą.

Między inżynierami powstał ruch i szepty; odsunęli się jeszcze dalej, jak od trędowatego. Pryncypał tylko ani się usuwał, ani triumfował. Odezwał się pierwszy:

— Cóż, panie Białopiotrowicz? To pański podpis?

Nie było żadnej odpowiedzi.

— Może pan zapomniał o jakimś wydatku?

— Nie! — wyrwało się z piersi nieszczęśliwego.

— Cóż więc znaczy ten weksel? Przyznajesz się pan do niego? Może to fałszerstwo, pomyłka? Mów pan, co?

Na ten wyraz „fałszerstwo" Hieronim opamiętał się nieco. Podniósł oczy, chciał coś powiedzieć, ale nie zdołał.

Oczy te, pełne bezbrzeżnej rozpaczy, podkrążone czarno, zaognione bezsennością, były tak nieszczęśliwe i smutne, że inżynier nie pytał dalej. Opamiętał się i on także.

— Nie martw się tak bardzo! — zaczął pobłażliwie. — Młody pan jesteś, lekkomyślny! Każdy z nas prawie w tym

wieku może zrobić głupstwo, zapomnieć się. Weksel zapłaciłem. Bądź spokojny. Jeżeliś pan pieniądze stracił, daruję bez żalu, z wiarą, że się to drugi raz nie powtórzy.

Hieronim i na to nic nie odpowiedział. Był równie nieczuły na wspaniałomyślność i pobłażanie, jak na surowy sąd. Na twarzy jego zatarły się wszelkie wrażenia; była ona twarda, zimna jak kamień.

Z opuszczonemi rękoma słuchał i znosił wszelkie ciosy, co mu gruchotały życie; nie bronił się, nie przeczył, tylko wciąż patrzył na imię swe i nazwisko, skreślone u spodu nieszczęsnego weksla. Ten tylko szmatek papieru występował dla niego wyraźnie, zrozumiale, z całego otoczenia.

Było to Mane-Tekel Bazaltarowej uczty, była to zatrata!

Naczelnika widocznie męczyła ta scena. Ruchem niecierpliwym zgarnął weksle do szuflady i wstał.

— Dosyć o tem! Nie do tańca teraz panu, więc na bal nie proszę. Wygląda pan zmęczony. Proszę odpocząć. Daję panu nieograniczoną swobodę. Panów proszę z sobą na górę, do dam i muzyki. Moja żona pewnie się niecierpliwi.

Hieronim oprzytomniał. Spojrzał po zebranych, skłonił się i wyszedł, wśród rozstępujących się skwapliwie kolegów. Nikt mu nie podał ręki, nie przeprowadził, nie rzekł słowa.

Gdy był już za progiem, zaczęto rozmawiać i śmiać się, gdy mijał dom, zrobił się ruch w salonach, a wpół drogi do mieszkania posłyszał pierwsze takty walca, i mijały go wciąż powozy z damami i resztą towarzystwa.

On szedł w czarną noc, nie podnosząc głowy, nie patrząc, nie słuchając, jak lunatyk lub obłąkany.

VII.

DZIAD POLIKARP.

Podczas wizyty u naczelnika, Bazyli musiał być w mieszkaniu; zapalił lampy, ustawił wieczerzę i odszedł znów.

Troskliwości tej nie zauważył jednak Hieronim. Co go obchodziło światło lub noc, co go obchodziła wieczerza?

Jak drzewo złamane burzą, runął na pierwszy spotkany fotel, ręce wnurzył w roztargane włosy, skurczył się jak robak zgnieciony stopą; coś niby wycie, czy łkanie, dobywało się z gardła. A zatem taki był kres, taki! Ha, ha! Stał się złodziejem! Tak, tego brakowało jeszcze w rozkoszach jego doli, przyszło i to pokolei, nic nie brakło teraz!

Był złodziejem! Wziął sobie i stracił cudze pieniądze, jeszcze udawał, że nie rozumie, nadrabiał miną, aż się przyznał pod naciskiem faktów! Ha, ha! zostać złodziejem!

Słyszeli koledzy, zapewne już wiedzą żydzi, czerń robotnicza, kto żyje, jutro dowie się minister. Tak, dowie się! Z małego piona Hieronim Białopiotrowicz będzie bohaterem jutrzejszego dnia — złodziej!

Napiszą o nim przecie gazety nawet; dobił się smutnej sławy. Ha, ha! przebył wielki post, miał swoją Wielkanoc, o której niedawno tyle marzył!

Nic mu nie brakło, nic!

Korowodem jędz tłukły się myśli po czaszce nieszczęśliwca. Czasem z niewyraźnego jęku wyrywał się wybuch krótkiego śmiechu. Chichotała rozpacz — szalał.

Krew hulała po pulsach, trzęsła nim gorączka, a zarazem ogarniała członki okropna martwota, jak rozbitka, co bez sił już i nadziei opuszcza ramiona, czekając śmierci.

— O Boże, Boże! A wartoż było tyle pracować, żeby tak skończyć — ohydą, wstydem?

Wartoż było tyle znieść, by dobić się od losu takiej zapłaty — złodziej!

Marzona złota dola! ha, ha! Domki karciane. Wieść już poszła, chwycona przez zazdrosnych kolegów. Jutro mu nie żyć lepiej! Nie żyć! Myśl stanęła przed tą furtką wyzwolenia. Nie żyć!... Albo to co złego? Żyć teraz niesposób. Dosyć tej próżnej walki, dosyć!

Torturowany na kole pożądliwie pragnie jednego jeszcze, ostatniego obrotu korby, to koniec!

A żyć poco, dla kogo? On sam!

Żal go chwycił, sierocy żal i w gardle stanęły gorzkie łzy; poza życiem, tam, z lepszej strony, była matka, Żabba, wszyscy — tu była pustka i srom dozgonny.

Wstał. Nogi mu się chwiały, zataczając się, doszedł do biurka. Było mu strasznie słabo, głowę rozrywał ból, ręce się trzęsły.

Dobył kluczyka, ledwie zdołał otwozyć szufladę; zebrał w pakiet różne listy i pamiątki, wziął rewolwer, spróbował cyngla.

Suchy trzask sprężyny wrócił mu nieco przytomność; położył go przed sobą i zamyślił się. Była to sroga męka i ciężka pokusa.

Czystym szedł na śmierć, a potępiał się tym faktem ostatecznie.

Ludzie powiedzą, że był pyszny i nie zniósł winy, więc się zabił ze wstydu.

Żeby choć kto jeden poznał prawdę, choć jeden go zrozumiał, oszczędził.

Już ręką sięgnął do pióra, ale się cofnął.

Gdzież ofiara w takim razie? Czemuż nie rzekł nic wobec oskarżenia? Nie; będzie milczał do końca; niech go wszyscy potępią, byle nie własne sumienie i matka — tam!

Był już teraz zupełnie spokojny, głowa tylko bolała go coraz gorzej; to nic, zaraz przejdzie.

Dobył z zanadrza medaljonik z matczynemi włosami, pocałował go, wziął broń, przyłożył do skroni i spuścił sprężynę.

Kurek spadł bez strzału.

— Przeklęty! — wyrwało mu się wściekle.

Rewolwer był nienabity.

Z nerwowym pośpiechem zaczął nakładać naboje. Nie słyszał szmeru i wnijścia i kroków.

Może to Bazyli? Za późno! Tylko jeden na bój, ale ręce się trzęsły, ładunek potoczył się na ziemię.

Hieronim sięgnął po inny. Cicho; ktoś drzwi otworzył. Odwrócony plecami inżynier nie zważał na to, kończył swe przygotowania.

Nagle silna dłoń ujęła go za ramię, druga ręka wyrwała rewolwer, zanim się opamiętał.

Obejrzał się z okrzykiem gniewu.

— Idź precz! — zawołał, myśląc o Bazylim.

Spotkał oko w oko przejmujące spojrzenie dziada Polikarpa. Tak, był to on we własnej osobie, żadna halucynacja.

Olbrzymi, suchy, górował o głowę nad młodzieńcem i świdrował go nawskroś oczyma. Rewolwer schował do kieszeni samodziałowej kapoty.

— Poco dziad tu przyszedł? — wybełkotał Hieronim nieludzkim głosem.

— Po ciebie przyszedłem w samą porę — odparł starzec zmienionym tonem.

— Ja nie mam czasu. Kto dziada przyprowadził? Ja jestem chory!

— Widzę, ale pomimo to musisz pójść ze mną. Zbierz siły! Nie miałeś siły znieść sromu, on silniejszy od ciebie. Trzeba go zdjąć, bo cię złamie. I tak za długo leżał ci na duszy. Spóźniłem się o godzin parę. Chodź, chłopcze!

Co się stało tyranowi i czy on to był istotnie? Takim nie znał go Hieronim; patrzył błędnie na twarz surową, lecz całkiem inną, niż zwykle. Mieszało mu się w głowie.

— Chodź — powtórzył stary, biorąc go pod ramię.

Poszli znów w czarną noc. Przed nimi nagle zjawił się Bazyli, świecąc latarką i oglądając się co chwila. Starzec prawie niósł wnuka. Droga była niedaleka do mieszkania naczelnika, które buchało światłem. Bal był w całej pełni, muzyka grała mazura.

Złoty półimperjał otworzył im drzwi biura, drugi popędził lokaja do salonów, z wezwaniem samego gospodarza.

Milczeli obydwaj. Młody, dysząc wewnętrznym żarem, wpółprzytomny; dziad poważny, a dziwnie rozpromieniony. Bazyli zginął przy progu domu.

Po dość długiem oczekiwaniu naczelnik wszedł. Pomimo licznych toastów, chmurę miał na czole; z pod oka spojrzał na gości.

— Czem mogę służyć? — spytał z przymusem.

Starzec, oburącz wsparty na lasce, kiwnął niedbale głową.

— Nazywam się Polikarp Białopiotrowicz — zaczął. — Mam dwóch wnuków; za nich obu przychodzę na obrachunek tu.

— Znam tylko obecnego tu inżyniera, Hieronima.

— Zaraz pan poznasz drugiego. Przystępuję do interesu: przedstawiono panu weksle z podpisem Hieronima, których suma przewyższyła rozchody. Sprawę tę rozstrzygnąłeś pan wobec setki osób wspaniałomyślnem darowaniem winy, weksel wykupiłeś pan od żyda. Winowajca, ten oto chłopiec,

zniósł w milczeniu łaskę, jak się w milczeniu przyznał do złodziejstwa. Poszedł do domu sam, sponiewierany, i zastałem go oto z rewolwerem w ręku. Żebym się spóźnił minutę, mielibyśmy, pan i ja, śmierć niewinnego na sumieniu. To ciężko!

Starzec się zatrzymał, szarpnął swe siwe wąsy.

Inżynier wyciągnął do niego rękę.

— Pan nie uwierzy, jak mi przykro — zaczął.

— Nie chodzi tu o przykrość, panie, ale o sprawiedliwość — przerwał ostro pan Polikarp — a przedewszystkiem o pokrycie długu. Proszę o ten weksel.

To mówiąc, sięgnął do siwej kapoty, dobył książeczkę z czekami do banku, wystąwił właściwą sumę i położył na biurku.

Nagle, na widok nieszczęsnych weksli, ożywiła się martwa dotychczas twarz Hieronima, postąpił o krok.

— Dziadku! — zawołał.

— Milcz, niedorostku! Dobrocią swą doigrałeś się wstydu i ohydnego posądzenia. Teraz ja będę działać. Dosyć ustępstw! A czy mi jedno, ty lub on, to jeszcze pokażę. Gdy płacę, chcę, żeby ludzie wiedzieli, za kogo i za co płacę. Ty się nie mieszaj do mnie!

Znów jeden po drugim, weksle przesuwały się w promieniu lampy, aż bystre oczy pana Polikarpa znalazły ów nieszczęsny.

I on go potrzymał minutę w dłoni, pokiwał głową, podał przez stół naczelnikowi.

— Niech pan porówna podpisy! — rzekł.

Wezwany nałożył binokle, wpatrzył się uważnie, porównał z drugim i nagle porwał się za głowę.

— Kto to sfałszował? — krzyknął. — Mów, panie Hieronimie! To nie pan pisałeś, to podrobione!

— Czemuś pan tego nie dojrzał, zanim go potępiłeś? — odparł gorzko pan Polikarp.

— Czemuż on milczał i tak się zmieszał okropnie? Któż to sfałszował? Wiecie?

— Wszakżem panu mówił, że mam dwóch wnuków. A może panu i nieobcy Albert Białopiotrowicz, mąż córki radcy B. O nim szeroko mówi stolica.

— Słyszałem. To brat Hieronima?

— To jego kuzyn i fałszerz. Przed miesiącem odwiedził go tu i chciał pieniędzy. Hieronim oddał mu wszystko, co zarobił z takim mozołem — kilkaset rubli. Była to kropla w morzu; żądał więcej, zrobił propozycję pożyczki na pański kredyt. Hieronim za drzwi go wyrzucił. Oto i wszystko. Żyd dostawca, skarany za jakąś nieakuratność, dał pieniądze, Albert podpisał brata i uciekł.

— Okropne! Byłem ślepy i w nawale interesów nie spostrzegłem różnicy! Panie Hieronimie, pan mnie zna, to posądzenie nie dawało mi spokoju! Żebyś wymówił choć słowo obrony!

— On! — wybuchnął dziad Polikarp. — Ha! to wy go nie znacie, panie naczelniku! To człowiek, na którym niema ani jednej skazy, ani jednej winy. Ze złota i stali ulany, szlachetny aż do dziwactwa, dobry aż do szpiku kości! On bronić się kosztem brata? On, oskarżać krewnego o fałszerstwo? Poco? Wszak on nie hula, nie pije, nie gra w karty, a panu służył jak wierny pies, znosząc niechęć kolegów, szczędząc każdy grosz, pracując za dziesięciu. Zbierał panu skarby i chwałę za kawałek chleba, przywiązał się do pana, jak do dobroczyńcy, a pan go zrobił złodziejem! Ej, nie będziecie mieli sług i przyjaciół, jeśli tak płacicie! Oto pańskie pieniądze ;dziękujemy za łaski i służbę. Chłopca mego mi dajcie, teraz on chory śmiertelnie. Bóg wie, czy przeżyje to nieszczęście!

— Co pan chce, zrobię dla niego. Nie za sługę go miałem, ale za syna. Nie rozstawajmy się w gniewie, panie Hieronimie. Darujcie mi!

Młody chciał wyciągnąć rękę, ale dziad go zatrzymał.

— Hańbę jego słyszało sto osób, panie! — rzekł ostro. — Niechże przy nich odbędzie się rehabilitacja.

— Jestem gotów. Proszę panów za sobą.

W salonach sto osób bawiło się ochoczo, ale na widok tych trzech ludzi zmieszał się taniec; przeczuwano coś ważnego. Gospodarz skinął na muzykę, by umilkła.

— Panowie! — zawołał donośnie. — Byliście świadkami ciężkiej krzywdy, jaką najniesłuszniej wyrządziłem waszemu koledze. Kto go zna, ten pewnie nie wierzył w posądzenie, ten pewnie mnie potępił, i słusznie! Weksel był podrobiony, a że pan Białopiotrowicz, choć to spostrzegł, nie zwrócił mojej uwagi, miał smutne osobiste powody. Ja jeden byłem winny! Wobec was wszystkich proszę go o przebaczenie za śmiertelną obrazę. Zawiniłem ciężko względem człowieka, któremu zawdzięczam pomyślność robót, doskonałą karność robotników, który jest uosobieniem rzetelnej pracy i nieposzlakowanej uczciwości. Przepraszam go teraz słowem, a czynem gotów jestem zawsze dowieść, jak go cenię wysoko i ufam nieograniczenie. Daj mi pan rękę, panie Białopiotrowicz, i przebacz! Bóg świadkiem, jak mi ciężko było przeżyć te kilka godzin! Zapomnij mi tej nieszczęsnej sceny i zostań przyjacielem, jak dotąd, na zawsze!

Hieronimowi kołowało się w głowie, ledwie zdałał podnieść rękę i uścisnąć dłoń inżyniera.

Za naczelnikiem inni poczęli się cisnąć ku niemu, zapewniać o życzliwości, pytać o zdrowie, twierdzić, że byli pewni takiego zakończenia.

Znajome damy zbliżały się także, witając go z uśmiechem, ale on patrzył dziko, nie rozumiejąc dobrze, nie odpowiadając prawie.

Obejrzał się na dziada.

— Chodźmy stąd! — szepnął.

Wtem u drzwi hałas się podniósł, bieganina, wołania i do

salonu wpadł dozorca, w poszarpanej bluzie, bez czapki, czerwony jak upiór.

— Czego chcesz? Co się stało? — zawołał naczelnik.

— Palą się baraki Eljasmana, magazyny, piwnice, wszystko!

Damy zaczęły krzyczeć i mdleć. Inżynierowie rzucili się do drzwi i okien. Istotnie przez szyby biła łuna pożaru.

— Sikawki! Pobudzić robotników! Ratować! My zaraz idziemy! — zakomenderował naczelnik.

— Robotników nie trzeba budzić! Oni sami podpalili! Żyda upiekli podobno! Bunt — bełkotał dziesiętnik. — Niech pan wyjdzie! — zwrócił się do Hieronima.

— Czegoż chcą?

Naczelnik szukał czapki i aż sapał z gniewu.

Nim człowiek zdołał odpowiedzieć, pod oknami salonu powstał wrzask piekielny. Tysiąc może głosów zawyło unisono:

— Białopiotrowicza nam! Dawajcie zaraz! On pieniędzy cudzych nie brał, on nasz! Żyd brał! Niema żyda!

Na taką pretensję, gniew naczelnika opadł natychmiast. Sądził, że to jest rabunek, rzeź, chciał telegrafować po wojsko. Wieść o śmierci Eljasmana miernie go dotknęła. Spojrzał na Hieronima.

— Niebezpiecznie pana zaczepiać! — rzekł.

— Panie naczelniku, panie naczelniku! — zawyła tłuszcza.

Otworzył okno. Na dole roiło się jak mrowia czarnych postaci.

— Czego chcecie? — krzyknął.

— My, panie naczelniku, założymy swoje pieniądze za Białopiotrowicza! My założym, zniesiem do grosza! Jego nam oddajcie!

— Dziadku! — szepnął znów Hieronim. — Chodźmy! Mnie tak strasznie słabo.

Pan Polikarp zbliżył się do naczelnika.

— Zabiorę go z sobą — rzekł. — Pan raczy wydać urlop!

— Zabiorą go robotnicy. Słyszy pan? To półbożek tej zgrai. Chodźmy! No, no, te łajdaki mają więcej rozumu niż my wszyscy. Wymierzyli sprawiedliwość doraźnie. Wyrwaliby swego ulubieńca z piekła. Panowie, kto ze mną odprowadzi chorego kolegę do domu? Nie czas dziś się bawić!

Połowa towarzystwa chwyciła za czapki. Naczelnik ze starcem wzięli pod ręce Hieronima, nieśli prawie.

— Białopiotrowicza nam, Białopiotrowicza! — wył tłum przed domem!

Było ich kilkuset, z kołami na ramionach, na przedzie ślusarz Jan, posmolony, podrapany, straszny. Musiał przyłożyć czynnej ręki do egzekucji żyda. Na widok Hieronima groźny wrzask zmienił się w grzmiący okrzyk, pozdejmowali czapki.

— Białopiotrowicz chory. Nie krzyczcie! Prowadzimy go do domu — zawołał naczelnik.

Jan gwizdnął, ucichło wszystko.

— My go zaniesiemy! Dajno stary! — rzekł poufale do pana Polikarpa. — Panu naczelnikowi dziękujemy! — dodał, kłaniając się.

I stał się dziwaczny pochód triumfalny. Jak dziecko, wziął ślusarz Hieronima na ręce i ruszył przodem, otoczony gronem inżynierów. Za nim rzucił się tłum roboczy, dalej podrzędna służba, wkońcu jechało towarzystwo balowe.

Jechało to i szło do baraku z desek, gdzie u progu stał Bazyli z miną niewiniątka, patrząc na opadającą łunę nad gniazdem Eljasmana.

Ze ślusarzem zamienił spojrzenie złośliwej radości. Uczucie zemsty było w nim silniejsze, niż trwoga o ulubionego pana.

— Doktora, Bazyli! — rozkazał pan Polikarp.

Sługa aż podskoczył na ten głos.

— Jest, jasny panie — odparł.

Istotnie doktór już siedział przy łóżku.

Jan złożył chorego na posłaniu.

— Tylko go pan wylecz! — rzekł ostrzegająco do eskulapa i wyszedł, o ile mógł najciszej.

Tłum się rozszedł powoli. W baraku został naczelnik, doktór i starzec; na progu, jak straż honorowa, stanęło dziesięciu ślusarzy. Żaden król nie był lepiej strzeżony, ani szybciej obsłużony, jak Hieronim.

Ale biedak nie widział swego triumfu.

Majaczył w strasznej gorączce, nie poznawał nikogo, bredził, zrywał się, przeklinał życie, wołał matki.

— Tyfus i zapalenie mózgu — rzekł spokojnie doktór, kładac z lodu okłady.

— Ale wychodzi się z tego? — spytał niespokojnie naczelnik.

— Jeden na stu czasem.

Dziad Polikarp nie pytał się, nie odzywał, nie wtrącał do rady i pomocy.

Siadł ciężko obok łóżka, nie spuszczał oczu z wyniszczonej twarzy chorego.

Zimna krew i stanowcza decyzja opuściły go zupełnie. Nie był to już dumny satrapa, nieprzystępny żadnej ludzkiej słabości i uczuciu; był to zwykły śmiertelnik, dotknięty w samo serce, znękany, nieszczęśliwy.

Wyglądał jak ten, co, zbierając skarb całe życie, zostanie z niego odarty; jak ten, co przepracowawszy wiek nad wielkiem dziełem, traci je nagle w dzień triumfu staje wyzuty ze wszystkiego, nędzarz.

Przerachował się. Hartował stal i oto rozpryskiwała mu się w dłoni na atomy; chciał mieć klingę najprzedniejszą, zostanie mu może garść prochu.

Dziwny psychologiczny proces rozgrywał się w skrytej, nad wyraz pysznej duszy. Może raz pierwszy w życiu sumienie wstało nieubłagane, jak oskarżyciel kryminalny, i wołało wielkim głosem: Zabiłeś! Jesteś zbrodniarzem! Patrz na swą ofiarę!

I pan Polikarp patrzył pełną grozy źrenicą. Twarz wnuka chuda, ostra, ciemna purpurą gorączki, była tuż przed nim, obraz fizycznego i moralnego wysiłku, nadmiernej pracy, długiej biedy. Darmo wzrok starca szukał w niej win osobistych, upadku, grzechu, jakiejś obrony dla siebie. Nic. Twarz ta była wykrzywiona bólem, stwardniała od walki, ale szlachetna i surowa, a wokoło ust rysował się nieubłagany rys żelaznej woli i uporu — rys rodzinny.

I nagle, z ofiary człowiek ten zmienił się w sędziego. I zdało się starcowi, że usta te wydadzą wyrok na niego, że one jedne zdołają zagłuszyć wołanie strasznego oskarżyciela, coraz straszniejsze: zabiłeś!

Pan Polikarp obejrzał się wokoło. W pokoju było w tej chwili pusto; musiało minąć wiele godzin, zbierało się na brzask.

Nikt nie widział, jak starzec na klęczki się osunął i, bijąc się w piersi, prosił pokornie:

— Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu! Nie bierz mi tego dziecka! Niech mu oddam za to, co wycierpiał!

A potem pochylił się i pocałował po az pierwszy skroń biedaka.

— Czy ty mi zapomnisz kiedy? — szepnął.

Ale dusza Hieronima była gdzieindziej.

— Wiesz, Józik — mówił niewyraźnie — wszystko domki karciane! Cokolwiek zrobisz, wiatr dmuchnie i niema! Tak zawsze! Już nic robić nie będę! A jak koniec, to co? Domki karciane!...

Straszne było to bredzenie w głuchej nocy. Śmierć wyciągała kościste ramię i w oczach starca wydzierała mu jego skarb, a on był jak dziecko bezsilny! On, pyszny jak szatan i taki możny!...

VIII.

EPILOG.

Purpurowa i złota jesień słała się po drzewach Tepeńca i uścielała ścieżki szpalerów szeleszczącym dywanem suchych liści. Ciepło było, pogodnie i bardzo uroczo w owym olbrzymim parku, otoczonym huczącą Prypecią.

Nie brakło tam rzadkich kwiatów, ani fantastycznych gęstwin, z których niekiedy wymykała się oswojona sarna, ani ślicznych altanek, opiętych winem lub kapryfoljum, a chyba najpiękniej było przed samym pałacem, gdzie kwitły setki szczepionych róż, a u stóp marmurowych schodów ganku szemrała fontanna, obryzgując perłami wody bukiety cieplarnianych roślin.

Wśród tych róż siadywał całemi dniami cień człowieka, chudy, zarosły, apatycznie patrzący przed siebie w próżnię.

Nawet Żabba nie poznałby wesołego Rucia. Tyfus go strawił ze szczętem, odarł z sił, z woli, z myśli, zostawił nieczułą, wyniszczoną ruinę. Śmierć nie wydarła go dziadowi, ale jak na urągowisko, rzuciła ten żółty szkielet, który nie miał mocy żyć. Zemściła się okropnie.

Starzec myślał to właśnie z goryczą, patrząc na wnuka z drzwi ganku. Jak plama wyglądał biedak na tle jasnego nieba, krasnych liści i tych róż, odurzających wonią.

Pan Polikarp westchnął ciężko i zeszedł powoli ze schodów. Przybycia jego nie zauważył Hieronim, ale nie okazał zdziwienia, ani radości na głos dziada, choć był to głos nieznanej słodyczy.

— Jakże ci dziś, chłopcze?

— Dobrze — odparł obojętnie.

Starzec się schylił i pocałował go w czoło.

— Głowa nie boli?

— Nie. Nic mi nie jest.

— Może czego chcesz?

— Nie, dziadku, dziękuję!

Było to zwykłe pytanie i niezmienna odpowiedź od kilku tygodni.

Była to rozpacz dziada, ta niczem niezwalczona apatja.

— No przecie, możebyś się przejechał? Ruch ci służy.

— Kiedy bo nie chcę.

— Możebyś się przeszedł trochę?

— Ej, nie.

— Możebyś rad czytać?

— Dobrze mi tak. Nic mi się nie chce, dziadku, nic, nic.

Stary targnął wąsy desperacko. Szukał sposobu na ten nieszczęsny brak woli.

Medycyna nie miała na to środka. Wróciła życie, nie dała do niego chęci. Co ono było warte?

Nagle twarz chorego poruszyła się nieco. Popatrzył na szereg okien w lewem skrzydle, potem na dziada i ozwał się po raz pierwszy niezapytany:

— To matki okna, tam?

Pan Polikarp rozjaśnił czoło. Jakaś myśl jak piorun tknęła go, aż się zatrzymał z odpowiedzią, potem uśmiechnął się lekko.

— Tak, chłopcze. A te obok, to z twego pokoju.

— Czy mogę tam pójść?

— Nie, mój drogi, nie możesz.

Hieronim oczy podniósł. Odmowa spotykała go raz pierwszy, wtedy, gdy czegoś żądał. Od czasu choroby był samorządcą w Tepeńcu.

— Czemu? — spytał.

— Bo te pokoje są zamknięte pod nieobecność lokatorki. Klucz u niej. Jeśli chcesz bardzo, to napiszę, niech przyśle.

— E, nie, wszystko mi jedno, kiedy zajęte.

Patrzył jednak ciągle w okna też same i po przerwie zapytał znów:

— Czemu tam firanki ciemniejsze od dołu?

— Ona potrzebuje takiego światła — rzekł lakonicznie starzec.

Sądził, że obudzi ciekawość wnuka tajemniczością odpowiedzi, ale Hieronim urwał zupełnie rozmowę.

Milczał, ale zaczynał myśleć. Okna te obudziły uśpioną duszę. Jak zawsze w wielkich wypadkach życia, pamięć matki podniosła mu z głębi wspomnień tysiące. a gdzież ich mogło być więcej, jak nie w Tepeńcu?

I poszedł myślą w dalekie lata, gdy dzieckiem bawił się po trawnikach, a z owych okien śledziły jego każdy ruch śliczne, szafirowe oczy smutnej kobiety. Patrzył w górę, jakby czekał, że lada chwila uchyli się firanka i wyjrzy, jak wtedy, złotowłosa głowa, a dźwięczny głos zawoła go po imieniu.

Ale okna były szczelnie zamknięte i nikt go nie wołał z pieszczotą. Daleko były te lata, daleko odeszła smutna kobieta.

Ale zaczarowane koło martwoty przedarła ta myśl, snuła się teraz jak strumyk, tęskna, żałosna. Czy też dziad wypełnił obietnicę ostatniego listu, zaspokoił żądania zmarłej, czy leżała teraz obok męża w rodzinnym grobie?

Przez wrodzoną delikatność nie pytał o to dziada. Mogło mu to zrobić przykrość, wzbudzić złe wspomnienia, może się rozgniewać, a on był teraz taki dobry! Poco drażnić? Można samemu zobaczyć.

Raz pierwszy poruszył się żywo, szukał pretekstu pozbycia się starca.

— Dziadku — rzekł — jabym poczytał jaką gazetę.

— Dobrze, mój drogi, zaraz ci przyślę przez Bazylego.

Pan Polikarp wszedł do domu, chłopiec się obejrzał i ruszył pomału znanemi ścieżkami. Była to jego pierwsza przechadzka.

Dziad dotrzymał obietnicy; obok ojca zajęte było miejsce i świecił złocony napis na płycie marmuru. Smutna kobieta wróciła do Tepeńca. Hieronim usiadł przed grobem, rzewnie uśmiechnięty. Matka musiała być szczęśliwą teraz.

Odtąd codziennie biedny rekowalescent odwiedzał swych zmarłych, stroił kwiatami mogiły, znalazł dla dziada smętny uśmiech i serdeczną podziękę.

— Nie dziękuj, a wyzdrowiej! — rzekł starzec, gładząc go po głowie. — Zechciej czego, choćby moje progi podpalić, zrobisz mi największą przyjemność.

Ale Hieronim nic nie chciał, byle mu nie przerywano dumań posępnych i samotnych odwiedzin grobowca.

Zdziwiła go jednak pewnego ranka zmiana, zaszła w lewem skrzydle. Otwarto okna, podniesiono firanki, służba uprzątała tam, jak na królewski przyjazd; drzwi jednak od swego pokoju znalazł szczelnie zamknięte.

— Co tam się dzieje, Bazyli? — spytał wiernego sługi.

— Trzepią meble, paniczu, od moli.

Była to bardzo prozaiczna informacja.

Hieronim udał się do dziada.

— Może mi wolno tam pójść teraz? — prosił.

— Jakże chcesz, mój drogi. Po cudzych mieszkaniach nie wypada.

— Któż tam mieszka?

— Moja pupilka, sierota. Wziąłem ją na wychowanie.

— Gdzież ona teraz?

— Zagranicą. Spodziewam się jej temi czasy. Zwykle jesienią odwiedza Tepeniec.

Hieronim się skrzywił jak po gorzkim lekarstwie.

— Nie lękaj się! — uspokajał dziad. — Ona ci wody nie zamąci. Możecie się nie spotykać, jest tu dosyć miejsca.

— Kobieta i koza wszędzie się wciśnie, dziadku — rzekł kapryśnie chłopiec. — Gatunki to bardzo podobne, wszystko ogryzą, popsują, zawsze je znajdziesz w szkodzie. Że też dziad to znosić może!

— Cóż robić? Nietylko znoszę, ale mam słabość dla tej jedynej kobiety. Była mi na starość, jak kwiatek zimą; rozgrzała serce.

— To ci majster dopiero! — pomyślał Hieronim, bynajmniej nieprzejednany.

Kobiety nie miały nigdy łaski w jego oczach. Miał jeszcze Afrę w pamięci.

Gniewały go przygotowania i mina rozradowana pana Polikarpa, gdy go powitał raz wieścią, że pupilka przysłała depeszę, i patrzył złem okiem, gdy oznaczonego dnia kareta i sześć koni, pod eskortą liberyjnej zgrai, ruszyła do przystani, skąd on niegdyś furmanką jechał do Tepeńca.

W całym pałacu panował ruch odświętny. Bazyli nawet biegał uśmiechnięty z miną tajemniczą sfinksa, pomagając ogrodnikom znosić wazony i kosze owoców.

— Czy nie będzie jeszcze bramy triumfalnej i moździerzy na salwę honorową? — pytał chłopiec zgryźliwie.

— Panienka nie pozwala rwać kwiatów — odparł Bazyli.

— A ty skąd możesz o tem wiedzieć?

— Każdy w Tepeńcu musi znać jej gusty, żeby potrafić dogodzić. Pan by się gniewał inaczej!

— Tej fatygi ja sobie nie zadam — burknął Hieronim, ruszając do grobowca i zrywając najpiękniejsze róże.

Dziad był niewidzialny w ów dzień uroczysty. O naszego

bohatera nikt się nie troszczył. Schodził na drugi plan przed nową gwiazdą.

— Trzeba ruszyć sobie znów w świat, matusiu — poskarżył się żałośnie grobom. — Dosyć pasorzytem być. Już niedługo będę tu przychodził. Pójdę za chlebem, jakeś nauczyła! Tak, dosyć próżniaczej rozkoszy. Trzeba wzbudzić całą siłą chęć do pracy, trzeba ruszać w świat po nowe klęski i zawody.

Dawny pryncypał pisywał co tydzień, dopominając się o swego ulubieńca, wzywał go coraz gwałtowniej, gdy tylko co wstał z posłania, zasypywał go prośbami. Trzeba ruszać.

Z nagłą determinacją porwał się z miejsca, chciał iść do dziada, za łaski podziękować i ruszać choć jutro.

Był wpół drogi do domu, gdy usłyszał turkot, palenie z bata, zajazd nowych gości.

— Masz djable tabaki! — mruknął, zawracając do ustronnej altanki.

Przysiadł tam jak szczwany zając, ledwie go Bazyli znalazł pod wieczór.

— Jezus Marja! Co pan wyrabia? Taki chłód! Gotowa choroba! — wrzasnął przerażony.

— Czekam, aż się uspokoją z tą panną.

— Proszę wracać prędzej! Panie już śpią oddawna.

— To ich jest kilka? Kilka wychowanic, sierot?

— Albo to jasny pan nie może utrzymać i tuzina? — odparł Bazyli dumnie.

— I owszem! Niech ma sobie cztery tysiące i świętą Urszulę z niemi, bylebym ja ich nie spotykał.

— Stary pan zaraz na wstępie powiedział, żeby nie chodziły w stronę grobowca. Ma panicz lewą połowę parku, a one prawą.

— Z tem wszystkiem dosyć nam tu popasać. Pakuj manatki, jutro wyjeżdżamy do roboty nad Wołgę.

— A cóż pan tam robić będzie? Toż pan ledwie chodzi, pióra w ręku nie utrzyma.

— To nie twoja rzecz! Pakuj się i basta! Chyba, że zostać wolisz.

— Jak pan każe.

Pan Polikarp szukał już wnuka i zburczał go należycie za nieoględność na zdrowie.

Spędzali razem wieczory. O przybyłej nie wzmiankował żaden z nich.

Nazajutrz raniutko wymknął się z domu Hieronim, myśląc, że wszystkich wyprzedzi. Mylił się. Na odkrytej łączce, skąd otwierał się szeroki widok na Prypeć i okoliczne bory, dama jakaś, w szarej bluzie i kusej spódniczce, rozstawiła stalugi, rozpięła karton i szkicowała gorliwie krajobraz, podnosząc co chwila od roboty śpiczasty nos, blado-niebieskie oczy i pomarszczoną twarz czterdziestoletnią. Zielony parasol barwił ją w dodatku trupim kolorytem.

— Śliczna, powabna, urocza! Stworzona do rozgrzania serca! To dopiero śliczny kwiatek znalazł dziad na zimę! Winszuję! Ale smaruje zapamiętale, można pokazać figę o krok, pewnie nie dopatrzy! Jak na złość, poszła na lewo w moje państwo! Nie byłaby kobietą vel kozą! Już w szkodzie! Bodaj się udławiła blaszanką od farb, albo przebiła tym pięknym parasolem! Nie można się rozminąć z tą biedą!

Przepadły samotne dumania. Cały dzień mu zeszedł w popłochu przed zielony parasolem. Podróżował bezustannie ów nieszczęsny deszczochron z jednego punktu w drugi; zawsze tam, gdzie on był się ulokował.

Dama była strasznie łakomą na piękne widoki; szkicowała to drzewo, to wysepkę, to strumyk, to bydło; niewiadomo, kiedy jadła i odpoczywała.

Hieronim klął, na czem świat stoi. Pod wieczór, widząc, że nie zdoła uciec przed złym losem, wyszedł prosto na obmierzły parasol.

— Niech i mnie odszkicuje! Może się uspokoi! — mruczał, zły, jak piorun.

Dama podniosła dziobaty nos, obejrzała go obojętnie i rysowała dalej dwoje młodych sarniąt na łączce.

Ukłonił się i minął ją, obdarzając eleganckim przymiotnikiem. Czekała go jeszcze druga niespodzianka.

Pod kwitnącemi różami stał stolik z herbatą, przy którym rozparty w fotelu siedział dziad Polikarp, paląc flegmatycznie fajeczkę, a naprzeciw niego, plecami do ogrodu, postać kobieca. Rozmawiali wesoło. Było zbyt daleko, żeby głos rozróżnić i Hieronim widział tylko białą sukienkę i słomiany, duży kapelusz. Schował się w krzak.

Dziad go widocznie zobaczył, bo rzekł słów parę, biała sukienka mignęła na ganku i znikła wewnątrz domu. Wówczas chłopiec podszedł.

— Coś taki kwaśny, Hieronimie? — zagadnął dziad.

— Czy to dziadka wychowanka, ta dama z zielonym parasolem? — zawołał cały wzburzony.

— Albo co? Poznajomiłeś się z nią?

— Uchowaj Boże! Ścigała mnie bezustannie swą pasją malarską. Nie dała tchnąć, zjeść, odpocząć.

— No, to siądź tu, posil się, uspokój! Będę cię strzegł.

— Dziękuję, pójdę do siebie. Mam list do pisania.

— Do kogo?

— Do mego naczelnika. Wzywa mnie oddawna. Myślę wziąć się do pracy. Już wyzdrowiałem zupełnie.

— Czyś się zaraził pracowitością od pani z parasolem?

— Nie, ale czas wziąć się do czego. Trzy miesiące jem darmo dziadka chleb. To dla mnie niesłychana rzecz. Zresztą teraz goście...

— Nie sądziłem, żeś taki dziki. Co ci szkodzą te dwie damy? Od jutra zabronię robić studjów w tej stronie, gdzie się obracasz. Zostań jeszcze!

— Dziękuję dziadku, za waszą dobroć! Czy wam się może próżniak podobać? Lubicie samotność.

— Lubiłem — poprawił stary. — Teraz rad jestem tobie. Chodź do siebie! Każesz sobie tam podać ieść.

Wieczór był chłodny i mglisty. Bazyli rozłożył ogień na kominie, dziad z wnukiem usiedli koło niego. Trzask suchych szczap zastępował rozmowę, milczeli obadwa.

Słyszeli zato wyraźnie, za ścianą, powrót malarki, zachwyty nad przyrodą, wołanie o posiłek, zapytania, wykrzykniki, wybuchy śmiechu. Mieszało się w tem kilka języków.

— Twoja prześladowczyni jest znów niedaleko — rzekł dziad zcicha.

Hieronim nic nie odrzekł. Może nie słyszał. Patrzył w węgle, po dawnemu, bezmyślnie. Wyglądał zmęczony, osłabły. Zwiesił ręce i głowę.

— Może ci czego braknie, Ruciu?

— Mnie, dziadku? Nie, nic mi się nie chce.

Po chwili pan Polikarp zadzwonił na Bazylego, dał mu jakieś zlecenie pocichu i zabrał się do czytania gazet. Gwar za ścianą się oddalił. Nagle Hieronim podniósł głowę. W sąsiednim pokoju rozległy się deliktne tony fortepjanu.

Ktoś preludjował bardzo biegle, snać bez nut, z myśli; dotknięcie było mistrzowskie.

Smętna, cicha melodja snuła się, milknąc chwilowo zupełnie; czasem parę huczniejszych akordów i znów tąż samą pieśń bez słów, z ciągłą zmianą jednego motywu, dziwnie przejmującą.

— Kto to gra, dziadku?

— A któżby? Bronia zapewne.

Młody podniósł oczy.

— Bronia nazywa się dziadka pupilka?

— A tak. Albo co? Znasz ją może?

— Ej, nie. Ale mi to imię kogoś przypomina. Dziwna rzecz. I tamta była sierotą. Nigdybym nie przypuszczał, żeby ta dama z parasolem nosiła to imię.

— A któż mówi o damie z parasolem? Ona się wabi Adel-

gunda podobno, czy coś równie dzikiego.

— Wiąc to nie wychowanica dziadka?

— Co za absurdum! Jest to dama do towarzystwa cerber, strzegący zaczarowanej księżniczki! Wychowano ją w zamierzchłej przeszłości.

— Ah, tak! Ta panienka ślicznie gra!

— A nieźle! Patrz-no, twój naczelnik podjął się budowy drogi żelaznej w gubernji samarskiej. Siedmnaście mostów żelaznych. I ty się tam wybierasz?

— Tam. Mosty, to moja specjalność.

Zamilkł i słuchał. Z preludjów wybiła się wreszcie czysta melodja pieśni i śliczny sopran zaczął śpiewać.

Pan Polikarp udawał, że czyta. Z nad gazety utkwił oczy we wnuka, śledził wrażenia.

Hieronim słuchał, przejęty nie tyle pięknością głosu, jak znajomym dźwiękiem. Gdzieś go on już słyszał w życiu, ale gdzie i kiedy, nie mógł sobie przypomnieć.

Zrazu cichy głos opanował po kilku taktach akompanjament i brzmiał pełnią młodych płuc Można było rozróżnić słowa:

A gdy będziesz dzwon ulewał,
Czarodziejski dzwon,
Coby szczęścia pieśni śpiewał
Przecudowny ton —
To nie wrzucaj doń metali
Ani srebra, ani stali,
Ani w wrzątek strun lutnisty,
By dźwięk był jak lutnia czysty,
Ani ognia po iskierce,
Ale daj mu złote serce!
Daj mu serce! . . .

— Dziadku — szepnął Hieronim niepewnym głosem — gdzie ja słyszałem ten dźwięk?

— Słyszałeś? Może zagranicą. Bronia tam się kształciła.

— A ona sama skąd, dziadku?

— Sierota po żołnierzu.

— Dziad ją dawno wychowuje?

— Oh, dawno. Może ci przykry ten śpiew? Każę przestać.

— Przykry! Ale to śliczne, słuchałbym wieki! Ten głos tak mi kogoś przypomina!

— No, to zamiast tu pleśnieć, chodźmy do niej. Będziesz słyszał wyraźniej.

— Może ta pani będzie nierada przerwie?

Mówił to, a drżał z niepokoju. — Ten głos, ten głos!

Zamiast odpowiedzieć, dziad podszedł do drzwi i zapukał.

Śpiew ustał.

— Broniu, czy przyjmujesz gości na herbatę?

— Z całą przyjemnością, dziadku! — odparł serbrny głosik.

Otwarto drzwi.

Hieronim spojrzał. Przed nimi, oświetlona z góry wiszącym świecznikiem stała smukła postać dziewczęcia, otulona w biały batyst i koronki. Jedną ręką podnosiła wdzięcznym ruchem portjerę u drzwi, drugą wyciągnęła z powitaniem.

Twarzyczka ściągła miała wyraz trochę dziki w piwnych głębokich oczach, ale zato na ustach błyszczał szczery uśmiech, pokazując dwa rzędy drobnych, białych ząbków.

Nie widziała Hieronima w cieniu i on ją ledwie dostrzegł z za pleców dziada.

— Ale ja nie sam. Jest ze mną kawaler, który chce posłyszeć drugą zwrotkę tej piosenki. Oto go masz. Czy mam go przedstawić?

Pan Polikarp się usunął. Młodzi spojrzeli sobie w oczy i nagle, jednocześnie dwa okrzyki wyrwały im się z piersi. Był to wybuch szczęśliwości, rozradowania, bezbrzeżnego podziwu. Dziewczyna puściła portjerę, przez chmurne jej oczy mignęła fala blasków, pokraśniała jak różyczka.

Rzucili się ku sobie. Rączki jej chwycił Hieronim i patrzyli

na siebie, nie mogąc się nasycić widokiem, odurzeni kompletnie.

— Bronka, mój dzieciak! — mówił chłopak zmienionym głosem.

— Panie mój, panie! — szeptało dziewczę.

Z za portjery wyplątał się wreszcie dziad i zajrzał.

— To wy się znacie? — spytał.

Hieronim się obejrzał.

— Dziadku! — zawołał z wyrzutem. — Toście wy mi ją wzięli wtedy. Zabraliście mi słońce życia!

— Oddaję ci teraz to słońce. Niech ci świeci. Zżymać się nie masz czego. Płataliśmy sobie nawzajem figle, alem ci tego skarbu strzegł, jak oka w głowie. Oddaję w całości. Proszę tylko o szklankę herbaty. Zadowolę się towarzystwem panny Adelgundy tymczasem.

Ale młodzi nie słyszeli, co mówił. Pan Polikarp zeszedł na drugi plan. Niemka spała oddawna; herbaty mu przyniósł Bazyli; zostały mu na pociechę gazety.

Tych dwoje usiadło obok, patrzyli na siebie i opowiadali dzieje długich lat.

Było tyle do mówienia. Zapomnieli o świecie. Oczy dziewczęcia podczas opowieści Hieronima stanęły łez pełne za Żabbą i panią Dulską. O swojej nędzy nie wspominał Hieronim; zapomniał, że niegdyś istniała; był niezmiernie szczęśliwy.

Potem on słuchał.

Dziecko porwano podstępem ze stolicy. Gryzła i drapała; nic nie pomogło. Bazyli coś wiedział o tem; on ją przywiózł do Tepeńca.

Nie słodki mieli żywot nauczyciele i służba; nie chciała słuchać nikogo, ani się uczyć. Morzyła się głodem, próbowała ucieczki. Złowiona, zapadała w swój upór piekielny; była na wszystko głuchą i niemą.

Wówczas to dziad Polikarp użył innego argumentu:

— Jeśli się będziesz uczyć i ulegniesz, to cię oddam Ruciowi. Inaczej nigdy go nie zobaczysz!

Nauka poszła jak czarem na to zaklęcie. Znalazła się ochota i zdolności, rosła, kształciła się, ale nie zapomniała nigdy obietnicy dziada. Od roku w Dreźnie uczyła się rzeźby, skończywszy zakład zagraniczny. Do Tepeńca przyjeżdżała co jesień. Oto i wszystko.

Spojrzeli znów na siebie. W oczach chłopca błyskała gorąca łuna, w jej źrenicach zjawił się cień jakiś; spuściła powieki. Milczeli, ogarnięci wielką potęgą, co nagle stanęła wśród nich.

— Czy to już koniec, dzieci? — zagadnął pan Polikarp, wstając. — Rucio wyznał swoje grzechy, a ty, Broniu, wyspowiadałaś się detalicznie, ilu podrapałaś ludzi, gdy cię od niego zabrali? No, teraz gdzież ta piosenka? Chcemy ją słyszeć.

— Jutro, dziadku! — prosiła dziewczynka. — Dzisiaj nie mogę!

— A to coś nowego! Nabierasz chimerów, dziecko! To zły znak. Za to zabieram ci teraz Rucia. Nie zobaczysz go więcej; wyślę na koniec świata.

— Dwa razy jedna sztuka się nie udaje! — zaśmiał się chłopiec. — Ze mnąby sobie dziad nie dały rady.

— Z człowiekiem bez woli można zrobić, co się chcę! Jemu wszystko jedno! Dobranoc, Broniu!...

Stary pocałował ją w czoło i wyszedł. Hieronim wyciągnął dłoń. I on ją całował niegdyś, ale dziś zamiast w skroń, podniósł rączkę do ust. Wyrwała mu ją i spojrzała z wyrzutem, lecz nie przygarnęła się, jak niegdyś, do jego ramion; pożegnała chmurnem spojrzeniem.

Dawny stosunek ich był pochowany bezpowrotnie.

Nazajutrz rano Hieronim wyszedł do ogrodu. Przed nim mignął zielony parasol. Szanowna Adelgunda uprzedziła go. Teraz go to mało obchodziło.

Spojrzał w okna lewego skrzydła; były jeszcze zasłonięte, ruszył więc do grobowca.

Przez tę jedną noc stał się z niego inny człowiek. Dawny, szalony Rucio, zbudził się znów, z domieszką czegoś głębszego, poważniejszego, w błyszczących oczach. Szedł lekko, wesoło, nikła chorobliwa bladość i znękanie; był wyświeżony, ogolony, ubrany elegancko, z kwiatkiem u surduta, z uśmiechem na ustach. I — rzecz dziwna, przez tę noc stracił też swój brak chęci do czegokolwiek.

O, teraz pragnął wielu rzeczy, pragnął gorąco, niecierpliwie, całą siłą duszy. Był zdrów nareszcie.

Ktoś go uprzedził i w odwiedzinach katakumby. Na progu spotkał oko w oko Bronię.

Powitali się rumieńcem i uśmiechem.

— Pani tak rano! — rzekł.

Owo „pani" urosło także przez tę jedną noc, niewiadomo skąd.

— O, ze mnie ranny ptak! Oboje z dziadkiem wstaliśmy o świcie, on mnie przyprowadził tu i pojechał w pole do robót.

Hieronim dużoby dał za usłyszenie owej wczesnej rozmowy opiekuna z pupilką!

— Pani tu na długo? — spytał.

— Ja, ile dziadek zechce. A pan?

— Tydzień. Czekają na mnie roboty.

— Tylko tydzień! — szepnęła smutno.

W tej chwili sylwetka Bazylego ukazała się na zakręcie, oznajmił śniadanie.

Hieronim napadł na niego zgóry.

— Szpiegu! Zaprzedańcze! Toś ty donosił o wszystkiem dziadowi! Toś ty dręczył panienkę!

— Uchowaj Boże! Panienka mnie drapała i gryzła; sądny dzień miałem. Służyłem wiernie staremu panu; co kazał robiłem. Wy go nie znacie, paniczu. On mi nie mówił, poco to lub

owo koże robić, ale ja pojąłem. Chciał, żeby z panicza był człowiek, jakiego drugiego nie znaleźć na świecie i zrobił. Oj, to wielki pan, rozumny! Prowadził was przez biedę i różne utrapienia, żeby wypróbować. Ot, i ma pociechę! A tamtemu sypali złoto i zmarniał! Kto chce duszę zgubić, niech się czepia pieniędzy.

— Tyś na to niełakomy, zdaje się?

— Ja? Ot, pieniądze kosztowały mnie oko, to dosyć! Nie cierpię ich zato.

— A to jakim sposobem? — zagadnęła dziewczynka. — Dziad zawsze się drażni, żeś je postradał w przeprawie ze mną.

— Rodzony brat mi je wybił kamieniem w kłótni o dziesięć rubli! Warto było? A panicz niech do mnie złości nie ma. Pan każe, sługa musi!

— Ja dziś nawetbym do djabła złości mieć nie potrafił! — zaśmiał się chłopiec.

Śniadali we dwoje w wielkiej jadalni, potem dziewczyna wezwała go za sobą.

— Pokażę panu moją pracownię. Pamięta pan główkę Medora? Figurek nie zapomniałam lepić.

Pracownia to była urządzona z całym przepychem. Mnóstwo studjów, modeli, gipsów, napełniało ją po brzegi. Zaprowadziła go do niewielkiej grupy z gliny, świeżo ukończonej.

— To moja pierwsza praca na wystawę — rzekła.

Grupa przedstawiała młodzieńca wyzwolonego, kruszącego w ręku laskę, godło niewoli. Ruch był śmiały i naturalny, postać gibka i wyniosła, szczęście promieniało z oblicza.

— Pani lubi sztukę? — spytał Hieronim.

— Ubóstwiam! W życiu kochałam tylko figurki swoje i... Zająknęła się i urwała.

— I co? — spytał, obejmując ją spojrzeniem.

— Ej, nie! Pomyliłam się! Widzi pan tę głowę dziada! Czy podobna?

— Figurki i kogo? — spytał powtórnie.

Podniosła na niego przelotnie oczy.

— Poco pan pyta, kiedy wie? — rzuciła z odbłyskiem dawnej dzikości.

Męczyła ją ta rozmowa widocznie. Nie umiała udawać.

— Znałem panią dzieckiem. Co mogę wiedzieć o dorosłej?

— A jednak ja wiem wszystko o panu! I pan kochał w życiu tylko matkę i...

— I panią! — rzekł. — Ot, jestem szczery!

Uśmiech szczęścia rozpaśnił chmurną twarzyczkę. Spojrzała mu w oczy tak cudnie, tak miłośnie, że ani się spostrzegł, jak po dawnemu wziął ją w ramiona i przycisnął do piersi.

— Figurki i mnie? — szepnął pochylony.

— A kogożby innego? — mruknęła niewyraźnie. — Ja nie zapominam nigdy!

— Dziękuję!

Usta chłopca znalazły koralowe wargi dziewczęcia i spoczęły na nich długo, gorąco.

Bronia po chwili podniosła głowę i spojrzała mu w oczy przejmująco.

— Niech pan pamięta, jak ja — szepnęła głucho — bo teraz już nie potrafię żyć bez pana. Wolę umrzeć.

— Jeśli dochowałem wiary dziecku, to teraz nie będę miał żadnej trudności i zasługi! — odparł wesoło, całując jej spuszczone powieki.

— Broniu, Broniu! — rozległ się w dalszych pokojach głos dziada Palikarpa.

Dziewczyna spojrzała żałośnie na ukochanego i wyrwała mu się z objęć.

— Słucham! — zawołała, wybiegając na spotkanie.

— Czy nie wiesz, gdzie się schował Hieronim? — pytał dziad.

— Jest tutaj. Pokazywałam mu pracownię.

— To jednak dziwne, żeby się przy artystycznych odwiedzinach tak zgrzać okropnie. Czerwonaś jak upiór! Myślałem, że co najmniej tańczyliście trzy godziny mazura.

Hieronim parsknął śmiechem.

— Mogę zaręczyć, żeśmy nie pokazywali żadnych sztuk choreograficznych! — zawołał z za pleców Broni.

— Coście robili zatem?

— Kochaliśmy się, dziadku! — zaśmiał się chłopiec, cały promieniejąc szczęściem.

— W to wierzę. To wam z oczu patrzy. Bronia od wczoraj nauczyła się kłamać. To smutny nabytek! No, nie licz kwadratów posadzki, dziewczyno! Nie marnuj chwil szczęścia. Ono się wam obojgu całe, wielkie należy. Nie rozrzuciliście go po świecie, jesteście warci dobrej doli.

Oboje pochylili się do jego rąk. Objął dwie młode głowy i przycisnął do piersi.

— Słuchajcie mnie! — rzekł. — Byłem suchy jak próchno, to dziecko nauczyło mnie kochać. Pogardzałem ludźmi, nie cierpiałem ich. Ten chłopiec wrócił mi wiarę w szlachetność i dobroć. Przeprowadziłem go przez piekło życia, wyszedł z niego czysty jak złoto; weź go sobie, Broniu, on cię potrafi uszczęśliwić. A ty, chłopcze, byłeś wzorowym synem, bratem, przyjacielem — wszystkiem. Bądź-że mi teraz wnukiem i podporą, a ją kochaj i szanuj. To nie petersburska studentka. No, a teraz powiem wam naukę na przyszłość. Jeśli będziecie wychowywać ludzi, bierzcie lepiej dziewczęta. To wynik mego doświadczenia.

— A chłopcom nie dawajcie pieniędzy! — dopowiedział wesoło Hieronim.

— A prawda! Przypomniałeś mi, z czem szedłem do ciebie. Masz — czytaj!

Starzec podał mu gazetę. W rubryce *faits divers* paryskiego „Figara” Hieronim przeczytał:

„Wczoraj w klubie X. zdarzył się tragiczny wypadek. Podczas gry w baccarat wynikła sprzeczka, wskutek której jeden z grających wystrzałem z rewolweru zabił na miejscu przeciwnika, któremu dowiedziono oszustwa. Zabójcą był książe O., zabitym Albert B., przybyły od niedawna do Paryża. Śledztwo się toczy”.

— Jakie życie, tak śmierć! — rzekł ponuro Hieronim, opuszczając gazetę.

— Kosztował mnie dwa miljony rubli. Mogę ci pokazać rachunki — dodał stary.

— Wielkopolski patron nie dodał mu wiele cnót, a miljony nie dały szczęścia. Szkoda Wojtaszka.

— Bardzo mała! Nie sfałszuje nic więcej. Niech go tam sobie chowają. Ten kochany książę O. godzien orderu. Oczyścił świat z jednego zbrodniarza. Dosyć o nim. Nie wart wzmianki. Chodźcie, dzieci, do salonu. Bronia nam dokończy piosenki. Jest tu jeszcze list do ciebie. Naczelnik widocznie nie może istnieć bez twojej obecności. Dziś ci pozwalam odpisać! Spokojny jestem, że nie zdezerterujesz! Piosenki, Broniu!

Dziewczynka siadła do fortepanu i, zapatrzona marzycielsko przed siebie snuła melodję:

Przy końcowych wierszach oczy jej przeszły na Hieronima, pełne gorących blasków i zachwytu.

A gdy będziesz kuł z granitu
Posąg bohatera,
Aby stworzyć cel zachwytu,
Który nie umiera:
Nie kładź laurów mu na skronie.
Nie dawaj mu gromów w dłonie,
Nie staraj się, żeby głazy

Były śnieżne i bez skazy,
Bo te ludzi nie poruszą,
Lecz pierś natchnij wielką duszą!
Natchnij duszą! . . .

Śpiewała o nim i dla niego z serca.

* * *

A naczelnik wyglądał z dnia na dzień przybycia swego socjusza; zamiast niego przyszedł nareszcie list następującej treści:

,,Szanowny Panie! Nie mogę Panu służyć, bo dziś wyszły moje pierwsze zapowiedzi. Zresztą nie mógłbym być teraz użyteczny, bo zapomniałem nietylko matematyki, ale nawet prostego dodawania. Smutne to byłyby mosty, budowane przez zakochanego, i to szalenie! Popsułbym sobie reputację i stracił pańskie zaufanie, które cenię nadewszystko.

,,Za miesiąc wyjeżdżam z żoną na zimę do Włoch. Jeżeli kiedy oprzytomnieję z miłości, a żona zechce, to stanę na usługi pana. Sądzę jednak, że to dalekie czasy''.

— I ja tak sądzę! — mruknął naczelnik, rzucając ze złości list na stół. — On co robi, to robi dobrze i wytrwale! Jak kocha, to kocha. Już ja go nie zobaczę! Biedne moje mosty!...

RYNGRAF

Mieszkali o miedzę; osieroceni wcześnie, spojeni braterstwem od pacholąt, młodzieńcami spojeni jeszcze ściślej związkiem serc, który ich miał połączyć w jedną rodzinę.

Młodszy miał babkę starą, spartańskich cnót kobietę, wzrosłą w chwale, dojrzałą w przewrotach, osiwiałą we łzach i krwi.

Z rodziny jej, co dębem było, padło od gromów, ognia, lub niszczącej siekiery; co bluszczem, zwiędło i uschło, strawione tęsknicą, zawodem, troską beznadziejną.

On jej został. Młody i piękny, i siostra jego, podlotek, dojrzała nad lata gorącem a krwawem tchnieniem owego wieku.

Starszy w pustym też domu siostrę jedyną chował, co mu została jak skarb wątły a drogi, zdany przez rodziców pomarłych.

Gotowały się gody weselne w ich sercach i domach. W jeden dzień u ołtarza stanąć mieli, w jeden dzień szczęściem zaludnić oba stare dwory modrzewiowe.

I oto z oddali dźwięk trąbki ich zaleciał. W kraj cały, w kąty i zakąty dźwięk biegł z pamięcią ojców synom zrosły, w tradycji każdego serca świeży, i pobudkę, wichrami gnaną, niósł młodym na inne, szersze, świetniejsze gody i wesela... I oderwały kobiety od serc swoich, co miały drogiego,

i wstrząsnęli się młodzieńcy pod warem ojców krwi, i zerwały się młode orlęta do lotu w stare szlaki. Nikt nie jęczał, nie chełpił się z ofiary. Bo naprawdę nie własna wola ich wiodła, ale wiekowe dziedzictwo, nie jak ludzie szli, ale jak siła tajemnicza, wrażona w miljony istot jednem czarodziejskiem imieniem: Bonaparte!

Tylko, gdy się żegnali, staruszka ryngraf, co może Cecorę pamiętał, dała wnukowi i łzami go pokropiła:

— Tyś moja cała wiara i nadzieja! Kamień węgielny pod budynek spustoszonego domu naszego. Idź, a nie wracaj bez chwały i bez tego ryngrafu, co krwi morza widział, a sromu nigdy!

A narzeczona szkaplerzyk mu dała i białemi ramiony u szyi zawisłszy, szeptała, tłumiąc łkanie:

— O sercach, co tu pana wspominać będą, proszę pamiętać i wracać do swoich wiernym i prawym. U Boga ja wymodlę, by was kule mijały!

A potem staruszka i tego drugiego, co miał jej wnukiem zostać, do piersi przygarnęła i głowę krzyżem znacząc, prosiła:

— Pilnuj mi Stacha i ile mocy osłaniaj. Wszystkie moje łzy on z sobą zabiera, żeby zmazać, i wszystkie radości i kochania, żeby powrócić: on mi jeden, jeśli go co złego spotka, ratuj! Tyś starszy i hartowniejszy, jak ojcu ci go oddaję, odprowadź mi go chwalebnym! Przysięgnij!

— Przysięgam, że go wam wrócę takim, jakim chcecie, albo sam z nim padnę.

— Dokąd pan pójdzie i duch mój będzie, a gdzie pan padnie i memu życiu kres będzie. Nie ginie, kto umiera, ginie, kto się podli! Pan nie zginie i Stach żyw będzie! — mówiła mu narzeczona.

— Nie zginiemy! — potwierdzili uroczyście młodzi.

Siwe koniki zrywały się do biegu, a trąbka grała, grała po rozłogach, po gajach, po strugach, w sercach całej młodzi. Zerwali się i oni, dosiedli wierzchowców, raz jeszcze na strze-

mionach stojąc, obejrzeli się na swoje zagrody i kochania i pognali do komendy, na gody! Ej, gody to były, gody!

Wszerz i wzdłuż Europy, przez piaski Brandenburgji, przez Gallów bogate ziemie, pod słońcem Italji, aż tam za śnieżne Pireneje, między winnice i granaty, stare klasztory, maurytańskie zamki i czarnookie dzieci cudnej Iberji.

W pierwszym pułku ułanów, w pierwszym szeregu szli obok siebie zawsze. Nie rozdzieliło ich nic, ani trudy marszu, ani dym potyczek, ani choroba. W biwaku, po skwarze nędzny posiłek, rozmawiali o kraju, a zmorzeni trudem, usypiali obok siebie w płaszcze owinięci, głowa przy głowie, zawsze nierozłączeni. U tych biwaków Stach rozweselał kolegów żartami i śpiewem, Konstanty dobywał niekiedy z tłomoczka starą książkę, wytartą użyciem, i przy blasku ognia i jasnej nocy czytywał, poważny i surowy, żywoty Plutarcha.

Kochano Stachową żywość i swobodną pustotę, uchylano głowy przed brutusową naturą drugiego! W ogniu bitwy, gdy najeżał pułk lanc i, porwany wirem gnał na baterje i piechotę, przez góry i doliny, przez winnice i rzeki, Stach czerwieniał, dyszał, szalał; Konstanty bladł, z pod szerokiego czoła oczy mu zapalały się dzikiem zarzewiem! Jeden, w swym zapale oślepły, kul i śmierci nie czuł i nie widział; drugi — je liczył, ale pogardzał. Jednego dnia awansowano ich na podporuczników, a w tydzień potem — na poruczników. — Tegoż dnia w opuszczonej Vencie, gdzie na noc stanęli, znaleziono ukryte wino, chleb, oliwę, mięso.

Urządzono ucztę, Stach w upojeniu radości pił i śpiewał, Konstanty przypatrywał się biesiadzie, palił fajeczkę i łagodnie się do przyjaciela uśmiechał.

Z pod rozchylonego munduru na piersi młodzieńca złocisty ryngraf babki przebłyskiwał, a towarzysz w tę pamiątkę zapatrzony, miał widzenie dalekich stron i kobiet trzech, wyczekujących z wielką wiarą ich powrotu.

Przed Ventą, gdzie starszyzna biesiadowała, biwakował

pułk, rozrzuciwszy wkoło placówki. Konie chrupały kukurydzę, przy ogniach ruszały się sylwetki szeregowców, gwarne, jak rój pszczół.

Głos Stacha rozbrzmiewał daleko legjonową piosenką.

Dwa czarne punkty były w tym obrazie. Na lewo namiot ranionych, mieszający dysonans wycia i jęków w wesoły gwar i śpiewy, na prawo, pod słodkim kasztanem — gromadki pokaleczonych, powiązanych jeńców. Gierylasi, tłuszcza różnolita, dzika, błyskająca czarnemi ślepiami w stronę dobytych pałaszów straży.

— Porucznik Konstanty! — zawołał ordynans przez drzwi pokoju, gdzie sztab obradował.

Wezwany wstał śpiesznie i zniknął wewnątrz domu.

— Porucznik Stanisław! Zmieniać patrole!

Piosnka się urwała. Rozległa się komenda, potem brzęk broni i miarowy kłus oddalających się koni.

Biesiada się przerwała. U ognisk milkły i osuwały się do snu sylwetki żołnierzy, tylko okno sztabu świeciło, jak gwiazda stała, i zdaleka dobiegały od placówki krótkie hasła i tupot wierzchowców. Pułk „piekielny", jak go zwali Hiszpanie, usypiał.

Gdy Stach wrócił, przyjaciel, u ognia wyciągnięty, czytał w swej wytartej książce, jeśli można jeszcze z surowszym wyrazem oczu i ust.

— Coś cię spotkało nieprzyjemnego? — zagadnął Stach, rzucając się na ziemię.

Wlepione w kartę źrenice podniosły się powoli.

— Jutro o świcie kazano mi tych wszystkich ludzi rozstrzelać! — odparł spokojnie.

— Co do nogi?

Konstanty głową skinał, odłożył książkę i począł machinalnie końcem buta poprawiać płonący nawóz.

— Szkoda! Myślałem, że dłużej nam towarzyszyć będą

i że nauczę się od nich trochę języka. To głupio nic nie rozumieć.

— Poco ci ta znajomość? Żołnierz, gdy rozumie przysięgę i komendę, dosyć umie!

— Mnie to bynajmniej nie wystarcza. Chciałbym umieć ich pieśni i móc się rozmówić na kwaterunkach. Mam nawet zdobycz: widzisz, ,,Don Kiszota" w oryginale znalazłem na ostatniej kwaterze w Gualecho! Cóż mi z tego! Lada pastuch może mnie zawstydzić. Kiedy wrócimy do swoch, chcę się pochwalić grą na gitarze, fandangiem i mową hidalgów. Pysznie będzie!

— Pochwalisz się krzyżem i ranami. Nie czas nam tu tańczyć i śpiewać, ale słuchać komendy i zbierać wawrzyny. Pastuch cię w tem nie zawstydzi.

— Eh, czytaj już lepiej swego Plutarcha i nie bój się o mnie! Wstydu ci nie zrobię i wtyle nie zostanę!

— Wierzę w to jak w Boga! — odparł poważnie Konstanty.

Ogień przygasł i chłód zdradliwy ogarniał ich znużone członki. Przysunęli się, jak zwykle, do siebie blisko, otulili się płaszczami i usnęli, ogrzewając się wspólnie oddechem. O świcie Konstanty się zerwał. Obóz jeszcze spał. Dziesięciu ułanów wzięło między siebie jeńców i poprowadziło opodal, za ostatnie straże, między winnice.

Słońce połową tarczy wyjrzało nad ziemię. Pierwszą pobudkę zagrały trąbki sygnalistów; na drodze zadudniły kopyta kurjera, pędzącego cwałem.

Przyparto więźniów do płotu. Patrzyli z osłupieniem na lufy karabinów, opadali ze zmęczenia i strachu.

— Pal! — zakomenderował porucznik.

Kanonada regularna odbiła się o dalekie góry, budząc stokrotne echa. Winne krzaki obluzgała krew, pogniotły je martwe ciała. Rozkaz był spełniony.

Gromadka jeźdźców powróciła do obozu, gdzie nagle rozległa się inna pośpieszna pobudka.

— Marsz! Śpiesznie! — zamruczeli ułani zdziwieni.

Kurjer ich znowu wyminął na spienionym, pysznym arabie wracał, oddawszy rozkazy.

Pułk się formował z szybkością i energją sobie właściwą. Konstanty dopadł dowódcy, zdał raport, ostrogami spiął siwego i jak wiatr pognał na swoje miejsce w pierwszym szwadronie. Oczami szukał Stacha, skinął mu głową i ruszył z kopyta. Pułk się rozwinął jak barwna wstęga, kamienną drogą w stronę czarnych gór. Z wyżyn tych śledziły jego ruchy dzikie oczy brygantów, z za szczelin i głazów czekały ich długie, błyszczące lufy. Sępy-gierylasi czatowali na tę krew młodą. Po godzinie marszu dosięgli wąwozu, ciasnego jak tunel, wąskiego jak czarna, złowieszcza szpara. Z góry poczęły padać strzały, echem zdwojone, groźne.

— Naprzód, dwójkami!

Pierwszy szwadron wpadł w tę przepaść, za nim nieprzerwaną falą płynęli inni. Kule gwizdały gęsto, konie utykały na kamieniach. Siwek Konstantego, trafiony w sam grzbiet, zwalił się, jak rażony piorunem.

Szeregowiec podał mu luzaka. Dosiadł go i ruszył dalej, wciąż trzymając oczy niespokojnie utkwione na Stachu.

Padali ludzie i konie, zostawiono trupy i ranionych, nie zatrzymując się na jęki kolegi, na wołanie o ratunek brata. Jak deszcz teraz szły kule, dobrze kierowane, i nagle dojrzał Konstanty, że Stach się zachwiał na siodle, do szyi siwego się pochylił, puścił cugle i jak dębczak podcięty zwalił się na bok z głuchem stęknięciem. Sekunda — a przyjaciel już stał nad nim i w ramiona porwał. Ujrzał pierś nawylot otwartą, twarz śmiertelnie bladą, oczy zamknięte. Żył jeszcze, ale słabo. Kolega z siłą nadludzką na konia go wciągnął i, na piersiach trzymając, osłaniając ramieniem, ruszył dalej, już na nic niepomny. Za każdą kulą zakrywał go sobą i patrzył w martwą twarz, dłonią tuląc ranę, z której jasna krew buchała nanowo za każdym ruchem. Dobije go prędka jazda!

Porucznik stanął i zsiadł z konia. Dym, wystrzały, groza tej pułapki oślepiała ułanów, pędzili pod gradem ołowiu, byle się prędzej wydostać na czyste pole; nie poznawali nikogo.

Konstanty nie wołał pomocy.

Ranionego jak tłumok wziął na plecy i, widząc ścieżynę w skale, kozi ślad zaledwie, ruszył uginając się pod swym ciężarem, zlany potem, ogłuszony hukiem, mimo, że sam draśnięty w policzek, cierpiał nieznośnie. Gdzie go zaprowadzi ślad, nie wiedział, gdzie ratunek znajdzie, nie kombinował, tylko instynktownie unosił ten skarb sobie zlecony od kul i śmierci. Upał obezwładniał go do reszty, a raniony ciężył ołowiem. Nie ustawał jednak i szedł, cudem nie tracąc równowagi, sto razy potykając się nad zawrotnemi głębiami.

Żeby źródło, cieniu trochę, wody kropla, zamiast kamieni. Ścieżka zygzakiem zbiegała wdół, ale pochód trwał w pojęciu Konstantego wieki i myślał z rozpaczą, że do piekieł chyba zajdzie... Kurz i pot pokryły mu ranę na twarzy, piekła ogniem, ręce mdlały, a ust spalonych nie mógł zamknąć, języka zeschłego poruszyć. Chwilami bezbrzeżna rozpacz go ogarniała na myśl, że padnie i skona — nadaremnie. Chrapał, jak zdławiony. A Stach nie jak ołów już mu ciężył, ale jak góra, jak całe Pireneje!

Wtem ścieżka zwróciła się raptownie na lewo i głuchy okrzyk wydarł się z gardła Konstantego. Przed nim o kilkaset kroków, wśród winnic i kasztanów, leżała spora osada. Ścieżka biegła między winnice i dobiegała domów. Nad domami wznosiła się wieża kościoła.

Zwracając się, jak pijany, dobywał resztki sił i padł na rozpalone kamienie z głuchym jękiem.

Na galerji nad nim rozległ się okrzyk trwogi.

Oprzytomniał i podniósł oczy.

Ujrzał utkwione w siebie ostre, świdrujące oczy starego Hiszpana i obok czarne również, ale nad wyraz piękne źre-

nice młodziutkiej dziewczyny. Chciał coś powiedzieć, ale nie dobył głosu, więc tylko, powstając, pokazał ranę leżącego i ruchem o wodę błagał. Hiszpan porozumiał się kilku słowy z kobietą i, nie kwapiąc się wcale, zszedł nadół.

Dziewczyna znikła również, ale po chwili ukazała się z wodą Konstanty zbryzgał twarz Stacha i obmył ranę. Hiszpanie przyglądali mu się, szepcząc między sobą.

Nie zważał na nich, stroskany i nieszczęśliwy. Gwałtem wlał rannemu wody do gardła i patrzał nań z bezmiernym niepokojem.

Serce biło, strzał je nie zaczepił, ale może to były ostatnie odgłosy agonji.

Dziewczyna zaciekawiona i przelękła pochyliła się nad nim. Raz pierwszy widziała takie płowe włosy i jasne wąsy sarmackie; odskoczyła, gdy omdlały rozwarł nagle swe wielkie, błękitne oczy i nieprzytomnie powiódł niemi dokoła. Konstanty odetchnął. Otarł twarz z potu i krwi, resztę wody wypił i przemówił do Hiszpana, dotykając grzecznie kaszkietu:

— Wróg to wasz, ale ranny! Wyniosłem go z bitwy. Dajcie mu przytułek, jeśli w Boga wierzycie! Nie mam siły odnieść go do swoich.

Niewiadomo, czy stary zrozumiał. Wodził oczami od leżącego do niego, od niego do gór i palił spokojnie cygaro. Dziewczyna rzuciła mu słów kilka, ruszył ramionami. Konstanty się niecierpliwił.

— Ludzie jesteście, czy nie! Nie widzicie, że mu śmierć zagląda w oczy i ratować trzeba. Zapłacę wam, ile chcecie, ale dajcie mi go ratować, opatrzeć, złożyć gdzie w bezpiecznem miejscu.

Stary poruszył się i chudym palcem wskazując góry, odparł łamaną francuzczyzną:

— To moi ludzie go zabili. Jestem Alcad z El Pahul! Ty, wiesz, co to znaczy?

— Bądź sobie szatanem, ale go przyjmij w swój dom.

— Nie boisz się?

— Nie! — odparł porucznik spokojnie.

— Więc wejdź! — rzekł stary uroczyście.

Raniony znowu omdlał. Kolega wziął go na ręce i wniósł ze starym do wnętrza domu. Dziewczyna zamykała pochód i, ogarnięta litością, podtrzymywała bezwładną głowę wroga. Konstanty się obejrzał.

— Dziękuję wam! — rzekł łagodnie.

W pokoju na dole, na macie, złożono Stacha. Hiszpan wydał córce rozkazy i po chwili przyniosła wina i płótna do opatrunku. Jak mógł i umiał, Konstanty mu ranę obwiązał, posłanie poprawił, napoił i usiadł nad nim, z czułością ojca śledząc znaku życia.

Zdaleka stary przyglądał sią im ciągle świdrującymi oczkami.

Gdy z za munduru błysnął ryngraf, który Konstanty zdjął i na ścianę powiesił, Hiszpan się przeżegnał i krok się zbliżył. Blacha ta srebrna ze złocistą Bogarodzicą w środku zajęła go niezmiernie: ciągle na nią zerkał, a przez oliwkową, pomarszczoną jego twarz przechodziły różnorodne wrażenia. Gdy porucznik dokończył opatrunku, zagadnął go pierwszy:

— Wy katolicy?

— Tak.

— Prawdziwi? Rzymscy?

— Tacy jak wy.

— Polacy?

— Tak.

— A z jakiego wojska?

— Ułani l o s i n f e r n o s.

Alcad przyjrzał mu się z podziwem.

— Bardzo jesteście odważni, że się do tego znienawidzonego pułku przyznajecie.

— Mówię prawdę. Nasza wiara broni nam kłamstwa, a pułk nasz hańby nie ma na sobie.

— Nie boisz się naszej zemsty?

— Nie. Możecie mnie zabić, byleście oszczędzili ranionego. Żołnierz ze śmiercią oswojony i jestem bezbronny wśród was, wrogów. Nie ruszajcie tylko jego, bo on teraz święty! Gdy mnie zabijecie, będzie to zemsta, ale gdy jego dotkniecie, to będzie kryminał przed ludźmi i Bogiem.

Hiszpan zwrócił się do córki.

— Mercedes, przynieś temu żołnierzowi posiłek — rzekł.

Dziewczyna po chwili podała porucznikowi sałaty i owoców. Przyjął i, podziękowawszy, zaczął jeść chciwie.

— I trucizny się nie boisz? — spytał Alcad.

— Boję się tylko podłości — odparł pokojnie.

— A masz na sobie jaki znak święty?

Konstanty odchylił mundur i pokazał szkaplerzyk narzeczonej.

Ojciec i córka przeżegnali się.

Raniony się poruszył i poprosił pić słabym szeptem. Kolega pochylił się nad nim i uniósł głowę. Dziewczyna podała mu wody.

— Obmyj sobie twarz! rzekł Alcad.

Porucznik ramionami ruszył i, wlepiwszy wzrok w chorego, zapadł w ponure rozmyślanie. Nagle głowę podniósł, wstał i przystąpił do starego.

— Muszę wracać! — rzekł. — Na Bożą wolę i na waszą szlachetność zostawiam go. — Dobył z kieszeni woreczek złota i na stole położył.

— Nie mam więcej — dodał — łupów nie umiem brać, a te pieniądze moje własne, możecie je śmiało zatrzymać. Gdy mi czas pozwoli, przyjdę go odwiedzić, a jeśli będziemy blisko, zabiorę go. Teraz muszę zostawić i do sztandaru wracać! Jeśli ulitujecie się nad nim, odpłacę podobnem waszym ranionym braciom. Zostańcie z Bogiem!

Popatrzył raz jeszcze na ranionego, westchnął i siłą woli odrywając się od tego ukochanego, wyszedł, nim Hiszpan

mógł słowo rzec. Gdy wyjrzeli za nim, zniknął już wśród winnic. Nazajutrz dopiero po całonocnem błądzeniu dogonił pułk w marszu i zameldował się starszyźnie. Zaliczono go do zabitych i powitano radośnie. Opłakano Stacha, dowiedziawszy się gdzie był i w jakim stanie, a potem wróciło wszystko do dawnego trybu — pozornie. Tak, pozornie, bo Konstanty jak automat się poruszał, jak automat walczył.

Przez gaje granatów i kasztanów, przez dymiące krwią pobojowiska, myśl jego i dusza wracała wciąż do Stacha, czasem nadzieją ozłocona, czasem jak grób rozpaczna. I pytał siebie sto razy, czy dobrze zrobił, rzucając go na pastwę zdziczałych gierylasów w domu ich głównego wodza, czy nie lepiej byłby uczynił, żeby go dalej niósł w ramionach, ażeby obadwa padli. Czasem niezdolny znieść udręczenia, chciał przez te granaty i góry iść i odwiedzić go żywym lub w grobie, ale żołnierz brał górę nad przyjacielem i zostawał u sztandaru, i tylko w nocy zawsze mu się roiło, że ma Stacha u boku, a w dzień wyglądał go bezustannie.

A Stach nie wracał.

Pułk się oddalał rzucany rozkazami to tu, to tam... Mijały tygodnie w krwi i dymie w marszach i trudzie. Lance ułanów rozbijały czworoboki piechoty, brały górskie wąwozy, znosiły baterje, pułk rósł w sławie i znaczeniu, Konstanty dostał Krzyż i rangę kapitana. Stach nie wracał. Przy oblężeniu bohatersko bronionej fortecy, pułk dłużej w miejscu pozostał. Codzień armaty rozbijały mury, codzień przypuszczano szturmy. Oblegającym i oblężonym brakło żywności, niepogrzebane trupy, rozkładając się w upale, zarażały powietrze.

Czekano z upragnieniem posiłku.

Pewnej nocy, Konstanty, wróciwszy ze swym oddziałem z wycieczki, przypędził tabun owiec i dziesięć wozów mąki. Nie cieszył się z triumfu i zmęczony legł do snu w namiocie, z siodłem pod głową. O północy zbudził się nagle. Byłoż to

przeczucie?... Płótno namiotu podniosło się u wejścia i czarny cień człowieka stanął w otworze.

— Kto tam? — zagadnął kapitan.

— Ja, bracie!

— Stach! — i padli sobie w objęcia.

— Żyjesz! Pochwalony Bóg miłosierny! Cud zdziałał dla babki twojej i dziewcząt naszych! Ach, bracie, com ja wycierpiał przez te miesiące, mając cię za straconego! Powiedz, nie zamęczyli cię ludzie? A rana? Zdrowyś?

Z niebywałym wybuchem ten poważny człowiek witał zmartwychwstałego, ściskał go, całował.

— Rana zagojona i zdrów jestem, jak nigdy! — odparł Stach z zapałem. — Żebyś wiedział, jak ci ludzie mnie doglądali. Jak swoi najbliżsi, jak brata i krewnego. Niczego mi nie brakło i ledwiem się wyrwał! Nie chcieli puszczać!

— Źle zrobili! Aleś ty i dnia nie zmitrężył?

— Nie... — odparł Stach zcicha.

— Trzy miesiące straciłeś... Tyle triumfów. A jam cię codzień wyglądał. Gorzką mi była sława bez ciebie. Przecie jesteś i da Bóg nie rozstaniemy się już. Skąd przychodzisz?

— Szukałem was i z posiłkową piechotą przed chwilą dobiłem nareszcie celu.

— Jest piechota, nareszcie! Weźmiemy to kamienne gniazdo i pójdziemy w pole szerokie. Oblężenie zjadło nam ułanów i zabrało sporo kolegów. Niema Brzozowskiego i Szeligi, ranieni śmiertelnie Stachowski i Turno!

— A tyś już kapitanem! Wyprzedziłeś mnie! — uśmiechnął się Stach, dotykając galonów.

— Czekały na ciebie takież i prędko je zdobędziesz.

— Mniejsza o nie! Nie chciwym awansów!

— Tak, ale nasze kobiety się ucieszą w kraju. Dlatego ich pragnę dla ciebie.

Przegwarzyli noc całą. Stach mało opowiadał i tylko pytał roztargniony dziwnie — i nieswój.

— Zaśnij przed ranem, bo o świcie pójdziemy w ogień — namawiał go Konstanty.

Nie usłuchał. Przesiedział wytrwale do świtu, paląc hiszpańskie papierosy; gdy otrąbiono pobudkę, poszedł w milczeniu do konia, stanął na swem miejscu pod wodzą Konstantego.

Zaczął się krwawy taniec. O zachodzie słońca zdobyło bramę fortecy i fala rozwścieczonego żołnierstwa zalała ogród, głodna mordu i zemsty. Nie nasycili się do woli. Zamiast wrogów, znaleźli kilka tysięcy sczerniałych turpów i kilkaset jeszcze żywych szkieletów. Po całonocnej rzezi i okrucieństwach, nad ranem oficerowie ściągnęli swych ludzi i opuścili ten grób kamienny, za nimi wysadzono prochem fortecę.

Zadrżało powietrze, dymy zasłoniły niebo.

— Drogo nas to widowisko kosztuje! — rzekł Konstanty do Stacha, oglądając się raz ostatni.

— To hańba dla nas, ta wojna — odparł zcicha porucznik.

Śmiertelnie blady Konstanty słuchał. Zdawało się, że rzuci się na mówiącego, wtłoczy mu wyrazy w gardło, wybuchnie.

Pohamował się. Surowe jego oczy przeszyły Stacha, a głos głuchy padał jak uderzenia o żelazo:

— Żołnierz ma jedną świętość — swoją chorągiew, jedną wiarę — swoją przysięgę! Kto rezonuje, ten gwałci jedno i drugie! Można boleć w duszy, bez krzywoprzysięstwa i sromu! Sztandar przed tobą, a przysięga w tobie: idź i milcz! Osądzi wszystkich Bóg!

Stach poczerwieniał i do krwi zagryzł wargi. Zwiesił głowę i umilkł wedle rozkazu. Rozłączyli się z konieczności obowiązków i przez cały dzień nie spotkali się nawet wzrokiem, choć kapitan, szarpany straszną trwogą, szukał ciągle oczu przyjaciela — daremnie.

Wieczorem, gdy rozbito obóz, Stach, wezwany jako podwładny, stanął przed kolegą w namiocie.

— Poruczniku, obejmiesz straż; pięciu więźniów, pojmanych w drodze, o świcie rozstrzelasz!

Śmiertelnie blady młodzieniec skłonił się i wyszedł. Późno było, gdy kapiton, niezdolny usnąć z szarpiącej zmory i zgryzoty, wyszedł, by choć na niego popatrzeć.

Otulony w płaszcz, mijał śpiący obóz, w głowie miał jak ćwiek wiercącą myśl ciężkiej troski.

Doszedl biwaku więźniów i stanął jak wryty. Oparty o głaz stał tam porucznik i wytężonym wzrokiem coś śledził w ciemności.

— Stachu! — krzyknął. Młodzieniec podskoczył i zrobił ruch taki, jakby chciał uciekać, ale pozostał. Fala krwi uderzyła mu do oczu — milczał.

— Gdzie straż?

— Odesłałem ich do snu!

— A jeńcy?

— Na swobodzie!

— Zdrajco!

— Milcz! tyś sam winien! Jesteś półbóg, jeden z plutarchowych bohaterów, ja człowiek. Po naszej dzisiejszej rozmowie pocoś mi dał taki rozkaz! Pocoś mi dał pokutę nad siły?! Kazałeś pilnować i rozstrzelać więźniów. Jeden był synem Alcada z El ·Pahul, przeprawia się do Mari. Ty byś zrobił, coś ode mnie wymagał, ale mnie to nad siły! Za uratowane życie swoje byłem ich dłużnikiem. Poszli! A ja się czynu nie wstydzę.

Rozdrażniony dyszał gorączkowo.

— A jutro cię rozstrzelają jako zdrajcę!

— Niech i tak będzie. Skończę prędzej!

— A imię twoje przeczyta babka, siostra i narzeczona w dzienniku hańby! Takie im przyniesiesz wawrzyny, tak odbudujesz dom! Tak, tak!

Połą płaszcza zakrył twarz i znużony rozpaczą zajęczał głucho.

Stach głowę zwiesił — nie bronił się już. Po chwili Kon-

stanty podniósł czoło, wypogodzone, blade i uroczyste. Ręką wskazał obóz.

— Wracaj! — rzekł. — Jam winien, powiadasz! Babka kazała mi cię ochraniać, a jam naraził. Wracaj i pomyśl o nich w pokusie! Bądź silny! Jam winien!

Pokonany, milczący, Stach spełnił rozkaz. Konstanty przeprowadził go wzrokiem aż na miejsce, a potem ruszył w przeciwną stronę. Przez płótno sztabowego namiotu światło błyskało, starszyzna radziła, przyjmowała i wysyłała kurjerów. Przeglądała mapy.

Kapitan się zameldował i wszedł do środka. Bez słowa odpasał szablę i położył na stole.

— Co to znaczy, kapitanie? — spytał pułkownik.

— Przychodzę po wyrok, jako więzień! Zdano mi jeńców pod straż — jeńcy uszli.

— Co mówisz? Czyś oszalał! Ty, ty to zrobiłeś?

— Ja sam, pułkowniku. Czekam waszych rozkazów...

Godzinę, krótką godzinę trwał sąd.

Po niej Konstanty wyszedł bez krzyża i galonów — znowu prosty szeregowiec. Prosił o kulę, ale głos się podniósł ogólny, że zbyt wiele położył zasług, by mu nie zostawić sposobu rehabilitacji.

Zdegradowano go i kazano się poprawić. Nazajutrz Stach go ujrzał w szarej masie żołnierzy, salutującego porucznika przy lustracji.

Krzyknął i oczy obłąkane wlepił weń, ale wtem zagrały trąbki — pułk ruszył.

W nocy porucznik o złotych galonach przyszedł do ułana, co, wysunięty na dalekiej placówce, stał jak z bronzu wykuty, cały zmieniony w słuch i wzrok. Rozmawiali długo, gwałtownie zrazu, potem spokojnie, a tak cicho, że w ciszy tej przejrzystej nie rozległo się żadne zdradliwe słowo. Pierś oficera wstrząsało okropne łkanie żalu i wstydu, ułan coś mu

szeptał, rozjaśniony nadzieją, rozpromieniony otuchą i wiarą w poprawę.

Potem otworzył ramiona i utulił w nich to dziecko słabe i znękane, pocieszające najczulszemi wyrazy, wspominając dom i kochanie, i błagając za nim samym u niego.

Od owej nocy zaszła wielka zmiana.

Słoneczna pogoda Stacha zeszła na czoło zdegradowanego winowajcy, a oficer, co duszą był zabaw, ulubieńcem kolegów, jak ziemia sczerniał, jak drzewo znieczulał.

W pochodzie dla podwładnych był opryskliwy i przykry, w bitwie nie rozpalał się szalonem bohaterstwem, u ognia obozowego siadywał samotny i posępny, nie odzywając się, chyba z musu.

Zdawało się, że pomimo rozmowy nocnej z kolegą, pomimo łez i zgody, widok Konstantego był mu torturą, wstyd i wyrzuty nad siłę natury tej nie złej, a grzesznej, właśnie przez zbytek wrażliwości.

I znowu minął miesiąc.

Bandy gierylasów napełniały kraj; zgniecione sto razy odrastały z niepojętą szybkością, zalewały wąwozy i góry — mnożyły się coraz zuchwalsze. Ułani dokazywali cudów, szarpani na wsze strony, uchodząc z pułapek, zwyciężając pięćkroć liczniejsze od siebie bandy.

Pewnego wieczora Konstanty, stojący na posterunku u dróg krzyżowych, ujrzał samotnego człowieka, który, bez broni i tylko płaszczem po oczy osłonięty, zbliżał się wprost na niego.

— Kto idzie? — krzyknął.

— ,,Austerlitz i Marengo!'' — odparł człowiek, hasło tego wieczora.

— Do kogo idziesz?

— Do porucznika Stanisława.

Ułan pochylił się naprzód.

— Czego?

W tej chwili, tuż za nim, zmieniony, chrapliwy głos Stacha ozwał się rozkazująco:

— Znam tego człowieka. Puść go! Pójdzie ze mną!...

Chwilę zdawało się, że lanca ułana zamiast oddać honor oficerowi, utopi żelazo w piersi czarnej postaci szpiega, czy kusiciela, ale wnet niewolnica subordynacja skłoniła się tylko. Człowiek przeszedł.

Noc była chłodna i przykra. Patrol u krzyżowych dróg drżał i dygotał jak w febrze.

Wiatr przenikliwy i suchy owiewał mu twarz zmienioną, oczy zamglone strachem. Szczękał zębami i urywane, pół wargami, pół myślą, począł odmawiać pacierze. Bo i kto, co mu na tę nową zmorę poradzi. Wicher rwał mu z ust wyrazy i rzucał na obóz.

— Jezu! jakeś się przemienił na górze Tabor, tak racz przemienić smutki i pokusy jego w radości i zwycięstwa...

Ranek wszedł i słońce ogrzało drżącego żołnierza.

Otrąbiono marsz przeciw wsi, pełnej zbuntowanego chłopstwa i niedobitków brygantów, rozgromionych wczoraj.

Czarnego człowieka nigdzie nie było.

Na przedzie Stach jechał i sprawiał szyk, twarz miał bladą, ale spokojną.

Ruszono. Hiszpanie dopuścili ich blisko i nagle zionęli tysiącem kul. Powstał wir straszliwy. — Obłoki dymu, trzask, kwik koni, huk wystrzałów. Ułani złożyli lance i runęli, wszystko znosząc po drodze.

Gdy się Konstanty opamiętał i spojrzał jaśniej wkoło, dobiegali po trupach swoich i hiszpańskich do bramy osady i roznieśli jak puch tą ostatnią zaporę.

Stacha nie dojrzał, ale nie czas było szukać. Bój wrzał na ulicy dalej. Mordowano się ze zwierzęcą wściekłością, pierś przy piersi, głowa przy głowie. Rzeź trwała do wieczora. Purpura zachodu zbiegła się z purpurą pożaru. Ułani wśród

zgliszcz i trupów dobijali resztę rozbitków, nie pardonując nikomu, rozwścieczeni krwią i dymem prochu. Wówczas Konstanty rzucił konia i pieszo począł oglądać trupy, obchodzić całe pobojowisko. Przetrząsł każdą gromadę, policzył prawie zabitych, poznał każdego. Stacha nie było. Chwilę stał, jakby gromem rażony, z kroplami zimnego potu na skroni, potem upadł na ziemię i zapłakał. Nagle się zerwał. Trąbka zwoływała do chorągwi. Pobiegł po konia, ból i zgrozę wtłoczył w duszę. Już spokojny i skupiony stanął w szeregu.

Nazajutrz pogrzebano umarłych, zliczono żywych.

— Porucznik Stanisław nieobecny! — oznajmiono.

Żołnierz jeden wystąpił z szeregu, i, salutując, zaraportował:

— Porucznik Stanisław raniony. Złożyłem go u pasterza w górach.

Było to jego drugie kłamstwo. Wezwany, przysiągłby na nie! Uwierzono mu! Pomimo zdegradowania otaczał go dawny szacunek i cześć, znano ich przyjaźń i niewątpiono, że ranionego dobrze umieścił.

Rącze były konie i wielka ochota. Po paru dniach daleko była nieszczęsna, spalona osada, daleko pamięć postradanego oficera.

Tylko Konstanty pamiętał, dobrze pamiętał! Widmo dezercji, najstraszniejsze dla żołnierza, torturowało go dniem i nocą. Gorsza to była troska, niż ta nawet, którą przechodził, gdy go uważał za zabitego, zamordowanego nikczemnie. Przy biwaku jeszcze czasem otwierał Plutarcha i zmuszał myśl do uwagi, częściej płaszcz nasuwał na głowę i, znękany, pytał siebie po raz setny, co powie tam, w domu, tym kobietom, co czekają wnuka, brata, narzeczonego — bohatera. Znowu dni biegły i tygodnie w krwi i trudzie. Wróciły Konstantemu galony i szlify, odzyskał rangi i znaczenie, nie wróciła tylko pogoda, nie odzyskał nadziei.

Zdziesiątkowany, zmęczony pułk wysłano nareszcie na północ. Z kraju nadbiegły mu posiłki, nowa danina młodej krwi, z ziemi zawsze ofiarnej.

Zapełniły się kadry i animusz się odświeżył. Z pieśnią i muzyką szli cudnym krajem po nowe triumfy. Starsi ćwiczyli młódź, a rekruci opowiadali, co tam słychać po rodzinnych siołach i dworach.

Pewnego wieczora obejrzał się Konstanty uważniej po okolicy i poznał — nim posłyszał nazwę.

W prawo — istny kraj winnic, przecięty kamienną drogą, w lewo — gaj kasztanów, przed niemi czarne czeluście wąwozu.

— Gdzie zanocujemy? — spytał adjutanta.

— Ty, kapitanie, z kompanją swoją staniesz tu niedaleko, w miasteczku El Pahul! My pójdziemy trochę dalej. Anglicy czekają na nas za Puente nad rzeką. Jutro, pojutrze będziemy w tańcu.

Po licu pytającego przebiegła bladość i strach nagły.

Rozkaz był rzeczą, nie podlegającą żadnej krytyce. Spełni go i stanie znowu w znienawidzonem miejscu, kolebce wszystkich jego nieszczęść i zawodów. Wszedł pułk w wąwóz krwawo pamiętny i minął go bez przeszkody.

Pusty był teraz i głuchy.

Gdy szyk się rozwinął po drugiej stronie przejścia, ujrzano w lewo miasteczko z wieżą kościoła, dobrze znane Konstantemu. Kompanja jego oddzieliła się na komendę i pokłusowała za nim w tę stronę, reszta pułku ruszyła dalej.

El Pahul wyglądało, jak wymarłe. Ułani zajęli bramy i ulice, rozbiegli się po domach, szukając żywności i furażu; kapitan, rozlokowawszy ludzi, wydawszy rozkazy, stanął z pięciu szeregowcami przed domem Alcada i zastukał we drzwi rękojeścią szpady.

Po dość długiem milczeniu podwoje rozwarły się nieco,

w otworze ukazało się żółte oblicze starego Hiszpana. Na widok Konstantego zachwiał się i zzieleniał.

— Ave Maria purissima! — pozdrowił go oficer zwyczajem miejscowym.

— Deo gratia! — wybełkotał Alcad.

— Szlachetny panie! — rzekł kapitan. — Drugi raz przychodzę do was. Raz byłem, jako człowiek bezbronny, znalazłem miłosierdzie i prawość. Dziś przychodzę jako przyjaciel i debitor, prosząc o gościnę na dzień jeden. Mam z sobą kompanję żołnierzy, którym pod karą gardła nie wolno grabić i krzywdzić. Jeśli macie u siebie waszych, niech się nie trwożą. Przychodzę jako przyjaciel. Nikomu z was włos z głowy nie spadnie.

Przemowa ta nie udobruchała starego. Wróciła mu tylko panowanie nad sobą, dała mu ochłonąć z pierwszego wrażenia.

— A jeśli tobie nie dam gościny? — spytał niechętnie.

— Będzie to znakiem, że powątpiewasz pan o moim honorze, lub że coś gorszego, niż waszych ukrywasz... W pierwszym razie poproszę cię o satysfakcję, w drugim będę zmuszony zarządzić rewizję.

Nie wiadomo, która alternatywa była skuteczniejsza, ale Hiszpan dalej nie protestował, tylko z głębokim ukłonem zaprosił go do wnętrza domu.

Eskorta wodza uwiązała konie w galerji, sama rozłożyła się w sieni. Pokój, od dziedzińca pierwszy, zajął dla siebie kapitan. Gospodarz oddalił się, w celu, jak mówił, zarządzenia wieczerzy.

Konstanty okiem badawczem rozejrzał się po otoczeniu. Z sieni wychodziło się na dziedziniec, wyłożony kamieniem, z fontanną w środku. Za tym dziedzińcem był ogród, dokoła murem obwiedziony.

Służba i domownicy Alcada snuli się wszędzie, rzucając na wrogów niechętne, ukośne spojrzenia. Konstanty czuł się

śledzonym, zaprzestał obserwacji i wrócił do swej kwatery, skinąwszy staremu podoficerowi z eskorty, by szedł za nim.

— Załoszka — rzekł — znam cię, żeś sprawny i nie gadatliwy. Weź podobnego sobie szeregowca i zróbcie mi rekonesans ogrodowego muru, nie zwracając niczyjej uwagi, jakbyście szukali winogron lub paliwa. Nie zaraz, o mroku! Jeśli znajdziecie bramę lub wyłom jaki, jeden z nich tam zostanie ukryty, drugi niech mi tu wróci z raportem. Porozumiewać się po naszemu! Marsz i baczność!

Załoszka zrobił pół obrotu i wymaszerował, salutując.

Wtejże chwili Alcad wszedł, zapraszając swego gościa uprzejmemi słowy do jadalni. Tam też ukazała się panna Mercedes. Oficer skłonił się jej zdaleka, przyczem zauważył, że była kredowo blada i tylko zachowywała jaki taki spokój.

Nie tknęła żadnej potrawy i nie podniosła ani razu swych przepysznych oczu. Na lada hałas lub odgłos z ulicy drżała na całem ciele.

Z pod oka kapitan ją badał i utwierdzał się coraz silniej w powziętych domysłach. Wewnątrz wzbierał mu gniew i dzika wściekłość, hamował się jednak doskonale i toczył obojętną rozmowę ze starym, który z niebywałą uprzejmością podawał mu jadło i dolewał bezustannie ciężkiego, mocnego wina.

— Chcą mnie upoić — pomyślał oficer, udając dobrą wiarę w serdeczność tego przyjęcia i szczere intencje gospodarzy.

Pod koniec uczty, gdy zapaliwszy cygaro, żegnał się i zmierzał do wyjścia, Alcad wziął go na stronę.

— Panie oficerze — rzekł — na mocy waszego zapewniania przyjaźni, śmiem wnosić, że ja i moi jesteśmy wolni, możemy wchodzić i wychodzić z domu i oddawać się naszym zatrudnieniom i rozrywkom bez straty i kontroli.

— Powiedziałem i powtarzam: jestem tylko gościem i ludzie moi otrzymali zakaz krępowania was w czemkolwiek.

Eskorta pozostanie na ulicy, a ja tylko sam w kwaterze mnie wyznaczonej z jednym służącym. Czyńcie, jakbyśmy nie istnieli! Choćby Mora nawet był u was, może pozostać spokojnie przy naszej opiece.

Skłonił się raz jeszcze i wyszedł, życząc im spokojnej nocy.

W sieni czekały na niego raporty i kurjer od pułku z rozkazem, aby już, skoro świt, wyruszył dla złączenia się z głównym sztabem.

Wydał rozporządzenie, jeszcze raz powtórzył zakaz gwałtów i nadużyć w miasteczku i zamknął się w pokoju.

Szaro już było. Zamiast spocząć, usiadł przy olejnej lampce, wydobył Plutarcha i, wstrząsany tysiącem gorączkowych myśli, począł czytać półgłosem Brutusowe czyny, wypogadzając się dziwnie pod wrażeniem nadludzkich poświęceń i bohaterstwa. Było zupełnie ciemno, gdy mu ordynans zameldował Załoszkę.

Stary podoficer wszedł zaraz potem i z mazurska zaraportował:

— Znaleźliśwa scelinę w murze, krzakami okrytą. Gruda tam się ostał na strazy, a ja se wróciłem. Zreśtą nigdzie nie bramy, ni furty. Calusieńki mur i okrutnie wysoki.

— Nikt was nie dojrzał?

— Ni zywa dusa. Wino tam takie gęste, jak u nas chmielniki.

— To dobrze. Zostaniesz tu i możesz się kłaść spać. Nie będę ciebie więcej potrzebował. Wezmę tylko twój płaszcz, a ty, zanim wrócę, stąd się nie oddalaj.

— Wedle rozkazu, panie kapitanie.

Konstanty przywołał ordynnsa, oznajmił, że spać będzie i nikogo widzieć nie chce, potem go odprawił, ułożył ułana na swej pościeli, okrył z głową, sam wziął jego płaszcz i kaszkiet, popróbował pistoletów, szablę wziął pod rękę, płaszczem się po oczy otulił i wyszedł. W domu panowała już cisza. Warta przy eskorcie puściła kolegę, zamieniwszy hasło,

wszystko wróciło do spokoju, tylko chwil kilka odgłos kroków rozlegał się po kamieniach, potem i to umilkło. Konstanty wpadł między winne krzewy i, nie oddalając się od muru, szukał wzmiankowanego wyłomu. Nie dostrzegłby go, żeby nie ciche gwizdnięcie i czarna postać, co się nagle podniosła z rowu za jego zbliżeniem.

— To ty, Gruda?

— A ja! — odparł szeregowiec, ziewając. Nie poznał oficera.

— Co tu słychać?

— A nic! Spać się człowiekowi chce.

— To wracaj! ja zostanę!

— I owszem. Djablo nudno tu siedzieć i czuwać! Dobranoc, Macieju!

Mniemany Maciej nic nie odrzekł, a ułan, rad zmianie, zsunął się ze szkarpy i ruszył z powrotem.

Sam sobie zostawiony, Konstanty począł się wdrapywać na kupę rumowisk, uwieńczonych gąszczem krategusów. Pokaleczony i odrapany dosięgnął szczytu, potem z większą już łatwością zsunął się nadół. Był w ogrodzie. Noc, chociaż bez miesiąca, była dość jasna, a żołnierz z ciemnością był oswojony oddawna. Ruszył śmiało przed siebie, badając zagłębienia i gęstwiny, przeszukując wzrokiem wszelkie możliwe kryjówki. Był już może w połowie ogrodu, gdy mu zagrodziła drogę biała ściana. Przyjrzał się. Była to maurytańska altana. Obszedł ją i, znalazłszy drzwi, chciał właśnie wkroczyć do środka i przeszukać, gdy go przykuł do ziemi delikatny szmer gitary i bardzo ciche tony hiszpańskiej pieśni. Chwilę stał i zbierał myśli, może plan działania obmyślał. Decyzja żołnierza bywa krótka i szybka. Cicho, jak widmo, usunął się od drzwi do okna, wyciętego w zgrabny łuk, okrytego leciutką matą.

Tam stanął, do muru się przytulił i znieruchomiał, łowiąc uchem te szmery.

Co mu przez te minuty i kwadranse działo się w duszy,

nagle z ostatnich nadziei odartej? Nareszcie śpiew ustał, gitara umilkła. Rozległy się odgłosy inne, jakby dawanych i odbieranych pocałunków i melodja namiętnych zaklęć w śpiewnej mowie Cyda. Konstanty wszystkiego wysłuchał, postać jego nie zadrżała ani razu, żadne uczucie słabości i względów nie odwróciło go od powziętego zamiaru, żaden wybuch szału nie zmącił surowej linji oblicza. Nie namyślał się i nie wahał już — tylko czekał. Nareszcie i te szmery miłosne ucichły. Drzwi uchyliły się lekko, wiotka postać dziewczyny, w płaszczu rozwianych kruczych warkoczy, przemknęła koło niego i znikła w głębi ogrodu — a w drzwiach stanęła smukła postać młodzieńca, który za tą uciekającą rzucił spojrzenie ostatnie, pełne blasków i tęsknoty.

Spojrzał i krzyknął i, jak przed zmorą straszliwą, oczy zasłonił. Przed nim stał czarny cień przeszłości — stał sędzia.

Tak — wtedy u biwaku wypuszczonych jeńców był to brat i przyjaciel, opiekun ofiarny — w noc tę na placówce był to kolega i doradca szlachetny, przychodził ze słowem otuchy — ze wspomnieniem babki do słabego dziecka, zdanego mu przez kochające serca.

Teraz przychodził zwierzchnik — po dezertera...

— Poruczniku Stanisławie! — rozległ się twardy głos z obcym zupełnie dźwiękiem. — Zostałeś podany za ranionego po bitwie pod Puente. Jesteś zdrów... Sztandar i przysięga czeka na twą krew i służbę.

Młodzieniec odsłonił oczy i cofnął się o krok. Oficer o krok postąpił.

— Stanisławie Skabłoński! — powtórzył głos nieubłagany. — Jako narzeczonego mojej siostry, ja wzywam o słowo dane i czekam, byś szedł ze mną!

Znowu o krok cofnął się zbieg, a sędzia posągowo spokojny, postąpił także i znalazł się we wnętrzu altany.

Lampka się paliła, oświetlając stół, a na nim porzuconą gitarę i długie szpilki z włosów Mercedes. Resztę przestrzeni

mrok ogarniał i tylko w głębi blask bił o ryngraf złocisty, zdobiący wezgłowie łoża. Gdy Stach wciąż milczał, jeszcze oszołomiony tem nagłem zajściem, oficer blachę tę ręką mu wskazał.

— Na blasze tej ojców bohaterstwo splamiłeś sromem. Weź ją i chodź ze mną, bo dużo twojej krwi trzeba, zanim ją zmyjesz i oddać będziesz mógł tej matce, która ci ją dała.

Na wzmiankę sromu, młodzieniec, jak strzałą ugodzony, podskoczył.

— Milcz, na Boga! Nie rzucaj mi sromu w twarz, bo zapomnę, żeś brat!

— Tyś już dawno zapomniał i podeptał wszelkie węzły! Ja dziś nie jako brat twój przychodzę, ale jako zwierzchnik po zbiegłego żołnierza, jako brat po honor siostry. Chodź ze mną!

— Nie! — odparł krótko Stanisław, zacinając się w uporze.

Konstanty jakby nie dosłyszał protestu, założył ręce na piersi i mówił dalej:

— Zostawiłeś za sobą kraj... Gniazdo, które cię wychowało... Kobietę, która ci oddała duszę. Przysiągłeś, że ziścisz wszystkie te nadzieje, a ja poprzysiągłem, że cię przeprowadzę przez wojny i pożogi całym i dzielnym.. I oto cię tutaj szukać muszę, tutaj zastaję renegata.

Zachwiał mu się głos, ale wnet znowu stwardniał.

— Raz ostatni przychodzę po ciebie, raz ostatni przebaczam i podaję dłoń do powitania. Słuchaj! Jutro o południu pułk stanie do walki. Jutro o południu ty być tam powinieneś na stanowisku u sztandaru, i albo zapomnieć żądzy i wrócić do nas, albo zginąć z honorem!... Nad rzeką spotkamy się z Anglikami. Gdzie? Trafisz, bo nasza trąbka grać będzie na ciebie... A teraz nie mów nic, ale pomódl się i opamiętaj! Raz ostatni mówię do ciebie, jak kolega, raz ostatni! Pamiętaj i wracaj!

Stach otworzył usta i powtórzył równie twardo — Nie! — ale już oficera nie było w altanie...

O świcie kompanja opuściła miasteczko. Gdy się Konstanty obejrzał, ujrzał na galerji domu uśmiechającego się szydersko Alcada i Mercedes, pokazującą im pięść zaciśniętą. Takie było przyjacielskie rozstanie. O południu pułk się połączył z korpusem, idącym naprzeciw Anglików.

Pod gradem nieprzyjacielskich bateryj stawiano most na rzece. Piechota, zajęta tą robotą, padała gradem. Generał się zniecierpliwił. Pułkownik ułanów, gładząc bujny wąs, uśmiechał się pogardliwie i z kul tych i z gniewu dowódcy.

— Generale! dajno moim zuchom pohulać! Zakneblują oni pyski tym gadułom!

— Ba, ale jak?

— Jak, to moja rzecz i ich. Czekam rozkazu do tańca.

— Masz go, chociaż nie pojmuję...

Francuz nie dokończył. Pułkownik spiął konia i ruszył ku swoim. Zagrały trąbki i rozległ się szalony okrzyk. Jak potomkowie skrzydlatej husarji, runęli naprzód szalonym pędem. Dopadli rzeki, spięli konie ostrogami i prażeni kulami, skoczyli w nurty.

Szyk się zmieszał na chwilę, zerwany prądem, potem wynurzyły się spienione łby, zaognione twarze, nad niemi las proporców. Płynęli jak ławica delfinów.

Pierwszy gruntował kasztan oficera, który, do szyi przygięty, nie oglądając się, popędził dalej na baterje. Nim Anglicy mieli czas się opamiętać, ten jeden pierwszy dopadł armaty. Kanonier, cięty przez głowę, zwalił się, plując krwią, drugi dostał strzał pistoletowy w piersi, trzeciego już koń tratował. Rzucono się na szaleńca, posłyszał wokoło głowy deszcz kul, ale już ułani dobiegali baterji i wsiedli na karki, kłując, jak huragan, waląc wszystko po drodze.

Armaty ucichły. Piechota rzucała ostatnie przęsło mostu, wojsko ruszyło w pomoc swoim. Czas był. Ułani klinem wbili

się między główny korpus angielski i powstrzymywani murem bagnetów, siekli i bili się jak osaczony odyniec. Cofać się nie mieli zwyczaju i topnieli, zalani czerwoną ćmą piechurów.

Ale oto pułk po pułku mijał most i zdemontowane armaty, rzucał się w wir bitwy. Walka zawrzała na wszystkich punktach. Wieczorem opadły dymy. Angielskie niedobitki poszły w rozsypkę, gnane przez zawziętych ułanów.

Zwycięskie pułki defilowały przed sztabem zbierając laury i wykrzykując ile siły. Ostatni przyszli ułani. Przywlekli pod stopy wodza zagwożdżone działa, znieśli pęki zdobytych chorągwi. Sami osmaleni, zdziesiątkowani, potrząsali skrwawione proporce i sztandar swój, kulami porwany, szmatę bezkształtną, pochylili przed wodzem. Kazał im stanąć. Podjechał pod front.

— Kapitan Konstanty! — zawołał.

Oficer wysunął się naprzód i, salutując, czekał rozkazu.

Generał odpiął swój krzyż z piersi i przypiął go do podartego munduru.

— Majorze Konstanty, przyjm moje podziękowanie. Gdybym mógł, zrobiłbym cię dzisiaj marszałkiem Francji. Nie wątpię, żem nim kiedyś zostaniesz.

— Niech żyje generał! — rozległo się z tysiąca piersi.

— Niech żyje cesarz! — poprawił generał.

— Niech żyje! — powtórzono chórem.

Nastąpiły dalsze odznaczenia pochwały rozdawanie orderów. Konstanty cofnął się na swe miejsce. Późno w noc trwały okrzyki, wrzawa, ruch gorączkowy.

Nikt o śnie nie myślał. Zabici potrzebowali grobów, ranieni opatrunku, zdrowi i cali wina i pożywienia.

Tak ta noc zeszła w upojeniu triumfu.

O świcie gdy zebrano prowjant i załatwiono grabarską i lazaretową czynność, a wojsko biwakowało, warząc strawę,

zameldował się Konstanty u pułkownika i prosił o urlop na dwa dni.

— Cóż to? Ranionyś, zuchu?

— Nie. Bóg nie chce mnie brać! — odparł posępnie.

— Ejże! Wie co czyni! Cóż więc innego? Romansik? hę?

— Nie.

— No, no, nie nalegam i szanuję tajemnicę. Masz swoje dwa dni urlopu. Rób sobie z niemi, co chcesz, tylko nie oddalaj się zbytnio i wracaj, nam cały.

Konstanty podziękował i wyszedł. Nie wstąpił nawet do obozu, tylko prosto z tego posłuchania, od namiotu zwierzchnika zawrócił między pola kukurydzy i w nich przepadł.

Tej samej nocy drzwi od miłosnego gniazda pięknej Mercedes i jasnowłosego dziecka północy otwarły się bez szelestu i wpuściły do środka — już nie zwierzchnika, ale mściciela. Zbieg zdawał się być przygotowany na te odwiedziny. Siedział u stołu z głową, na dłoni opartą, a na szelest kroków podniósł oczy i spokojne, trochę mgławe spojrzenie utkwił w sczerniałem obliczu straconego przyjaciela.

Potem wstał i, zbliżając się nieco, rzekł drżącym głosem:

— Powiedziałeś tutaj przed paru dniami, że przychodzisz raz ostatni! Cóż mi teraz przynosisz?

— Ostatnią łaskę. Powinienem cię był denuncjować i pod strażą odprowadzić pod sąd wojenny, stamtąd na plac hańby, gdzie na cię czeka stryczek dezertera. Przychodzę sam jako sędzia i kat zarazem. Sztandar i przysięga onegdaj wzywały cię przez mnie do siebie — dzisiaj — w mojej osobie przychodzę po twoją krew.

Stach się zachwiał.

— Przychodzisz zatem jako morderca. Jestem bezbronny, nie zamknąłem drzwi nawet, nie uciekałem!

— Bo czujesz się winny i uznajesz słuszność mego czynu.

— Nie, ale wbrew twemu wyobrażeniu, nie jestem tchórzem nikczemnym. Nawet przed szaleńcem nie myślę kryć

i uciekać. Rzuciłem sprawę do gruntu nieuczciwą, bo mi honor broni walczyć z opryszkami pod wodzą tyrana i mordować bohaterów patrjotyzmu. Nie wrócę też do was!...

— Kłamiesz swe pobudki. Rzuciłeś sztandar nie dla honoru, ale dla czarnych oczu zalotnicy.

— Milcz, to moja narzeczona!

— Narzeczona twoja jest daleko i czeka na ciebie. A tyś zdrajca i zaprzaniec. Dosyć tego, nie przyszedłem słuchać twych kłamliwych tłumaczeń! Ratowałem cię wszelkiemi siłami, kosztem czci własnej — napróżno. Teraz zgubiony jesteś i umarły. Na liście wojskowej podany jesteś za nieżyjącego. Tak zostanie, bo ja nie chcę, byś tam stał, jako sądzony za zdradę i dezercję. Kartę twoją utrzymałem czystą — i taką zostanie.

Śmiertelnie blady oficer wydobył pistolet i drżącą ręką nasypał prochu na panewkę. Oczy mu płonęły dzikim ogniem niczem już nie cofniętej decyzji. Stach rzucił się wbok nieprzytomny.

O szczęściu marzył, żyć chciał, instynktem zachowawczym wiedziony, porwał za szablę i ciął oficera przez ramię. Konstanty nie drgnął, jakby nie czuł razu. Podniósł pistolet i wypalił w pierś młodzieńca w chwili, gdy szabla dotykała go prawie.

— Mercedes! O, Jezu! — jęknął Stach, waląc się nawznak i chwytając za piersi.

Oficer opuścił pistolet i pochylił się nad nim. Już nie żył, tknięty jak gromem w samo serce. Mściciel dojrzał go, popatrzył chwilę w zastygłą martwotę twarzy, podszedł do posłania, ryngraf zdjął ze ściany, ukrył za mundurem i wyszedł z tego skrwawionego gniazda nieszczęsnego szału.

Szedł powoli, jakby czekał, że z domu Alcada wypadną zbrojni, zwabieni strzałem i rozsiekają go.

Może pragnął tego, bo się widocznie ociągał.

Ale głuchego odgłosu nikt nie dosłyszał i Mercerdes stroiła

się właśnie na schadzkę z ukochanym, gdy tam w altanie trup leżał już, a czarny cień wykonawcy okrutnego prawa niknął w pustych winnicach...

* * *

Minęło dużo czasu. W dwóch dworcach na dalekiej północy czytano chciwie urywane sprawozdania tytanicznych bojów, w myśli dążono za armją przez grody i rzeki, od klęski do zwycięstw, chwytano wieści i posłuchy — i z wiarą, czerpaną w modlitwie, czekano wciąż dwóch tułaczy.

Byli bezustannie na ustach i w sercach, widziano ich we snach, spodziewano się codzień.

Aż pewnego zimowego wieczora zakołatała dłoń zmęczona do drzwi i człowiek samotny, szronem okryty, wychudły i czarny od mąk niezliczonych, stanął na progu.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — pozdrowił trzy kobiety, co nie poznały ni brata, ni narzeczonego młodzieńca w tym chudym, wyniszczonym mężczyźnie.

Dopiero głos go zdradził i odkrył.

— Konstanty! O, Boże!

I rzuciły się ku niemu. Ale wtem poszukały kogoś jeszcze drugiego za nim — i stanęły jak wryte.

— A Stach? — spytały blademi usty.

Ułan głowę skłonił i w zanadrze sięgnął.

— Stach poległ śmiercią walecznych na polu chwały i tylko ryngraf, krwią jego zbroczony, wam odnoszę! — rzekł uroczyście, w ręce babki, matki dzielnych synów, oddając tę z pod Cecory spuściznę.

I było to jego trzecie kłamstwo, i już ostatnie.

Szły potem pułki na wyprawę daleką — i on poszedł. A stamtąd nikt już kobietom-sierotom nie przyniósł o tym ostatnim wieści — i on już nigdy nie wrócił..

KONIEC.



